

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/579

1995



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

K. WOLICKI: **KWAŚNIEWSKI 51,72% –**
WAŁĘSA 48,28%

L. UNGER: **„THE DAY AFTER”**

A. KALININ: **WIGILIA BIAŁYCH NIEDŹWIEDZI**
NOTATKI REDAKTORA

INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW
ROCZNIKA „KULTURY” ZA ROK 1995

SPIS RZECZY

Andrzej Kalinin:	<i>Wigilia białych niedźwiedzi</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Hamlet piemoncki</i>	17

WIERSZE

Aleksander Iwanow:	<i>..Zadrzała szyba</i>	35
Adam Lizakowski:	<i>Jadąc samochodem do pracy</i>	35
Andrzej Słomianowski:	<i>Genesis</i>	36

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Kwaśniewski 51,72% – Wałęsa 48,28%</i>	38
Leopold Unger:	<i>Widziane z i czytane w Brukseli</i> ..	45
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	52

SPRAWY I TROSKI

Benedykt Heydenkom i Florian Śmieja:	<i>Prasa polonijna w Kanadzie – dziś</i>	65
Piotr Daszkiewicz:	<i>Puszcza Białowieska nie może zginąć</i>	71

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	73
Bohdan Osadcuk:	<i>Powakacyjne refleksje</i>	78

KRONIKA KULTURALNA

Bohdan Osadcuk:	<i>Michajło Dobrianskyj</i>	81
Dorota Danielewicz-Kerski:	<i>Granice poznania</i>	83
–	<i>II Spotkania Kultur</i>	89
Janusz Odrowąż-Pieniążek:	<i>Przed dwusetną rocznicą urodzin Adama Mickiewicza</i>	90
–	<i>Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim</i>	94

CI, CO ODESZLI

Stefania Kossowska:	<i>Jan Badeni</i>	95
---------------------	-------------------------	----

NOTATKI REDAKTORA

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Słowo i ciało</i>	101
M. Broński:	<i>„Wojenka” i autentyzm</i>	104
Leszek Szaruga:	<i>Antologia literatury kresowej</i>	107
Bogumił Bakula:	<i>Poezja wyobraźni</i>	110
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ..	112

Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: Z nordyckiej perspektywy, niemiecka, australijsko-nowozelandzka i kana- dyjska	124
---	-----

J. Chrościcki, Z. Gąsiewicz, B. Geremek, T. Mianowicz, G. Herling-Grudziński, Z. Jagodziński, J.E. Kleszczyński, A. Nasielski, N. Taylor:

<i>Listy do Redakcji</i>	140
<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1995</i>	147

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień–Décembre 1995

INSTYTUT  LITERACKI

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SVOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Marii Topperman – Wojciech, Karolina i Noemi Topperman (Toronto, ON, Kanada)	F. 600,00
Dla uczczenia pamięci inż. Fryderyka Topolskiego i dr. Andrzeja Semkowa – Wojciech, Karolina i Noemi Topperman (Toronto, ON, Kanada)	F. 600,00
Andrzej Cisek, Yorktown Heights, N.Y. (USA) – po raz 17-ty – Dol. 50,00	F. 240,00
Aleksander Frejszmidt, Toronto, ON (Kanada) – po raz 7-my – Dol. can. 70,00	F. 245,00
François Prause, Chiangmai (Tajlandia) – po raz 40-ty	F. 300,00
Krzysztof Feliks Pytel, Malmö (Szwecja) – zamiast kwiatów na grób oraz dla uczczenia pamięci mojej ukochanej Matki, Józefy, zamordowanej w 1984 roku w Warszawie przez komunistyczną Służbę Bezpieczeństwa (SB) – kor.szwedz. 3.000,00	F. 2.185,50
Maria Podhorska, Londyn – dla uczczenia pamięci prof. Andrzeja Zahorskiego – w trzecią rocznicę Jego śmierci	F. 500,00
Longin Edward Sztachaniński, St. Petersburg, FL (USA) – na Fundusz Kultury – Dol. 20,00	F. 96,00
– na pomoc dla Polaków w Rosji – Dol. 20,00	F. 96,00
Jan Zalewski, Chester, (Wielka Brytania) przesyła na: – Pomoc dla Polaków w Rosji – £.stg. 20,00	F. 160,00
– Fundusz Katedry Polskiej w Jerozolimie – £.stg. 20,00	F. 160,00

DZIĘKUJEMY

Gorąco przepraszamy naszych Czytelników za spóźnienie.

W chwili gdy robiliśmy rewizję grudniowego numeru „Kultury” wybuchnął we Francji strajk, który wszystko przekreślił. Strajkują wszystkie środki lokomocji od samolotów do autobusów. Trwa to już 9 dni.

Dziś – 1 grudnia – zupełnie nie wiemy, kiedy będzie można oddać numer do drukarni.

Redakcja „Kultury”

Wigilia białych niedźwiedzi...

Antoniego znali wszyscy w osadzie. W każdą niedzielę przygotowywał przecież kościół na przyjazd księdza z sąsiedniej parafii, grzebał naszych zmarłych na miejscowym cmentarzu i każdego dnia w południe rozdzwaniał sygnaturką czas na Anioł Pański.

Dzieci wołały za nim Ruski, Ruski – przedrzeźniając jego wschodni akcent – ale nie robił sobie nic z tego, przyjazny i życzliwy wszystkim. Po latach ludzie przywykli do jego ruskiego przezwiska i nikt już nie potrafił sobie przypomnieć, jak Antoni nazywał się naprawdę. Mówili o nim, że dziwak i samotnik, ale lubili go przecież za pogodne usposobienie, życzliwy stosunek do bliźnich i harmoszkę 16-basową, na której grywał chętnie i często.

– Życie jej zawdzięczam – mówił o swej guzikówce. Ot, bywało że zagrał ja na niej czastuszki wesole naczelnikom obozowym, a oni w nagrodę nawet jedzeniem obdarowali, albo od roboty ciężkiej uwolnili. Jednego razu takiej właśnie przydarzyło się, że usłyszał moją harmoszkę grającą sam najgłośniejszy komandir łagra naszego. Na chwilę tylko zatrzymał się idący i zaraz zasłuchał się a potem pochwalił: – Ot, *artist, artist* – mówiący... Tak właśnie powiedział – *artist* i po ramieniu poklepał, a nazajutrz kazał przenieść do lepszej roboty w obozowej stajni.

– Władza radziecka dba o swoich artystów – mówił potem na apelu łagiernym – bo oni klasi robotniczej radość życia niosą – ot, co.

W tej stajni to ja dopiero odżył. Lekką ja miał tamuj robotę, nie można powiedzieć – i od tamtej pory często har-

monią posługiwał się. Na akademiach 1-majowych grywał na przykład, albo chórowi łagiernemu towarzyszył, co pieśni o wodzu narodów i o szczęśliwej ziemi radzieckiej śpiewał. Bywało, że wezwał mnie do siebie sam komandir obozu. Zawsze kiedy jemu popić zachciewało się, tak i zaraz służbowego po mnie posyłał i na harmoszcze grać sobi rozkazywał. Za stołem wtedy rozwalał się, butelkę z wódką w ręce trzymający i nic tylko polskich kawałków słuchać pragnął. Najmocniej to jemu kujawiaki podobali się. Kiwał się wtedy do rytmu, na krześle siedzący, coś tam pod nosem mruczał sobi, mamrotał i samogon z butelki co chwila pociągał. Widać przy rzewnej muzyce lepiej on jemu smakował.

Od lat wszyscy w osadzie znali tę „istorię” Antoniego o ruskim komandirze, co polskie kujawiaki słuchać lubował. Była to zresztą jedyna opowieść z tamtych lat, o której Antoni mówił chętnie i wielokrotnie. Pytany o inne zdarzenia ze swojej syberyjskiej przeszłości – milkł nagle, albo mówił ostrożnie, oględnie tak, jak w Związku Radzieckim mówić się nauczył. Dlatego nikt w całej osadzie nie potrafił zrozumieć, co było przyczyną jego nagłego i zupełnie niespodziewanego aresztowania. W kilka dni po Nowym 1957 roku przyjechało po Antoniego dwóch jakichś ludzi w długich, skórzanych płaszczach i z miejsca zabrali go ze sobą czarnym, urzędowym „citroenem”. Nawet pług śnieżny sprowadzili specjalnie, żeby zaspy z drogi odgarnąć i do osady dojechać – taki, on, ten Antoni, ważny dla nich okazał się nagle.

Ludzie gubili się w domysłach i różnych posądzeniach. Jedni twierdzili, że Ruskiego przymusowo z powrotem na wschód wywieźli, inni, że sprawiedliwość go dosięgła za winy kiedyś popełnione, inni zaś byli przekonani, że aresztowanie nastąpiło na skutek kazania jakie na pasterce w naszym kościółku wygłosił Antoni w zastępstwie nieobecnego księdza, wikarego. I to ostatnie przypuszczenie okazało się najbliższe prawdy.

Wychodziło więc na to, że wszystkiemu winna była zima, nagła, śnieżna i burzowa, która tuż przed Świętami Bożego Narodzenia rozszalała się nad Sowimi Górami. Dawno nie było tutaj tak gwałtownej zamieci. Prawie dwa dni sypało śniegiem i dudniło wiatrem. Dopiero tuż nad ranem, przed samą Wigilią, wiatr ustał w końcu, chmury gdzieś odpłynęły,

a na niebie pokazały się gwiazdy duże, wyraźne i zimowe.

Dopiero rankiem okazało się, że zaspy śnieżne dokładnie zatarasowały wszystkie trakty i wszystkie drogi prowadzące do osady. Ludzie jednak nie martwili się tym specjalnie. Nieraz przecież odcinały ich od świata gwałtowne górskie śnieżyce. Bywało, że dopiero po paru dniach pługi z pobliskiego miasteczka przecierały drogi. W razie jednak jakiejś nagłej albo pilnej potrzeby można się było wydostać z osady traktem prowadzącym przez las, osłoniętym od zimowych śniegów gęstym szpalerem jałowca, głogów i karłowatych sosen.

I tym właśnie traktem, saniami zaprzężonymi w parę mocnych koni pojechał Walek Krzepiec po księdza wikarego do pobliskiej parafii, który w każdą niedzielę odprawiał u nas mszę, a dzisiaj miał celebrować świąteczną pasterkę.

Na godzinę przed północą Antoni był już w kościele. Pootwierał drzwi, zapalił wszystkie światła przed głównym ołtarzem, poprawił anielskie włosy na gałęziach świerków ustawionych przy Jezusowej stajence, a potem wyszedł przed kościół i oparty o kratę ogrodzenia czekał na ludzi. Noc była widna, rozjaśniona białym śniegiem i rozgwieżdżonym niebem. Rozsiane po wzgórzach domki migały kwadracikami oświetlonych okien a przydrożne latarnie srebrzyły oszronione dachy domów i gałęzie na drzewach. Stąd, z przykościelnego wzgórza cała dolina wyglądała niczym zimowy obrazek na noworocznej widokówce. Antoni patrzył tam przez chwilę, aż dostrzegł pierwszych ludzi idących w stronę kościoła. Szło ich coraz więcej i więcej z różnych stron osady, aż w końcu wypełnili cały przykościelny plac.

Kobiety pierwsze zaczęły zajmować miejsca w drewnianych ławach. Sadowiły się w nich, gnieździły dla ciepła i wygody, mężczyźni zaś jeszcze chwil parę zostali na dziedzińcu, aby dokończyć ostatniego papierosa.

Antoni zaczynał się niecierpliwić. Dochodziła północ a wysłanych po księdza koni ciągle nie było. Czas się dłużył i coraz bardziej denerwował czekających ludzi.

– Cosi musiało się stać, że ich jeszcze ni ma – martwił się czyjś głos.

– Zaś by ta – sprzeciwił mu się drugi. – Lasami pojechali, a tamuk tyż zaduło i jadam pomaluśku. O, widzisz, już ich słyszać.

Jak na komendę odwrócili głowy i spojrzeli w noc, skąd niewyraźnie jeszcze dobiegały dzwonki sanek.

– Jadą z księdzem – zaszeptali ludzie i od razu na placu zrobił się ruch.

Mężczyźni zaczęli pośpiesznie gasić papierosy a dymiące się jeszcze pety wciskali butami w udeptany śnieg. Z kościoła wyszedł Antoni ubrany już w białą, wykrochmaloną komżę i ruszył w stronę bramy powitać księdza.

Sanie wjeżdżały właśnie na przykościelny plac. Zmęczone konie buchały parą i miały oszronione pyski. Tuż przed bramą Walek Krzepiec ściągnął im lejce i zawołał prrr... Zaryły kopytami w śniegu i stanęły w miejscu. Wszyscy zobaczyli wtedy, że sanie były puste.

– A gdzie mos księdza? – zapytali ludzie.

– Może zginion ci kasi po drodze? – próbowali żartować, ale puste sanie budziły w nich niepokój.

– Gdzie mos księdza?

Walek, jak to miał w zwyczaju, najpierw pomału wygrałmolił się z sanek, potem wysmarkał nos z palca prosto na ziemię i dopiero wtedy powiedział:

– Zaduło kurwa drogę. Nijak się nie dało przejechać.

– A próbowałeś Waluś – dopytywali się zawiedzeni ludzie – próbowałeś?... Kunie mosz przecie mocne...

– Godom Wom, co zaduło – przerwał im Walek – i dwa drzewa przez drogę obaliło w poprzek. No to jak było przejechać?

Teraz zrozumieli. Nie mógł przejechać i nie będzie pasterki. A bez księdza żadna to pasterka. Choćby nie wiem jak gorliwie modlili się sami, odmawiali pacierze i śpiewali kolędy, to i tak zabraknie zapachu kadzidła, dzwonek przy ołtarzu i uniesionej w górę monstrancji błogosławiącej pochyłonym głowom.

Po raz pierwszy od lat, tej właśnie nocy nie wysłuchają mszy świętej i nie usłyszą kazania o Bogu, co się właśnie między nimi narodził.

Czuli się więc zawiedzeni, zrezygnowani, a ich własny kościółek wydał im się teraz inny niż zawsze, jakiś szary, obcy i nie świąteczny.

Kończyli więc pośpiesznie swoje pacierze, zegnali się krzyżem przed wielkim ołtarzem i wychodzili z kościoła.

Noc na dworze jakby jeszcze bardziej pociemniała, a wychodzący na dwór ludzie wydawali się w niej nierealni jacyś, podobni do cieni odbitych od bieli nocnego śniegu. I wtedy nagle z drewnianej wieży kościółka rozległ się głośny, rozkołysany głos sygnaturki. Jej dźwięk natychmiast rozlał się po okolicy, spłoszył zastygłą w powietrzu ciszę i zatrzymał w miejscu wychodzących z kościoła ludzi. Stanęli z zaciekawieniem.

Zaraz potem z wnętrza kościoła dobiegły ich pierwsze takty muzyki. To grał Antoni na małej kościelnej fishramonii. Najpierw jak należy wykonał głośną przygrywkę, potem nabrał w płuca powietrza i na cały głos zaintonował swoim wschodnim akcentem:

– Bóg się rodzi!

Ludzie stojący na placu i ci, którzy jeszcze nie wyszli z kościoła wnet podchwycili ten śpiew:

– Bóg się rodzi, moc truchleje.

Antoni wtórował im z natchnieniem. Oczy miał zamknięte, głowę odchyłoną do tyłu i grubymi, spracowanymi palcami naciskał klawisze.

– „Ogień krzepeni, blask ciemniei” śpiewał głośniejsz inni, a potem po kolei intonował – „Dzisiaj w Betlejem” i „Jezu malusiński” i „Pasterze mili”, i dopiero kiedy zaczęło brakować mu kolęd zapamiętanych jeszcze z dzieciństwa, cisza coraz częściej zaczęła zalegać w kościele. Niektórzy ludzie zaczęli nawet podnosić się z ławek, uznając widocznie, że oto nadszedł koniec ich świątecznej pasterki. Ktoś z tyłu otworzył już drzwi wejściowe na oścież i od razu w świątyni powiało chłodem.

– Ludzi! – zawołał wtedy Antoni. – Ta nie odchodzi jeszcze. Bóg nam si przecie narodził. Hołd Jemu oddać należy i podziękować takż, że zechciał On zejść z nieba do nas w ta pora. Kilka osób wychodzących z kościoła zatrzymało się i z ciekawością spojrzło w stronę mówiącego, inni posłusznie z powrotem przysiedli w ławach.

Antoni tymczasem wyszedł przed ołtarz i zaczął do nich mówić:

– Wy wcale nie wieci jakie to wielkie szczęści jest, świętować dzień Bożego Narodzenia pośród swoich rodaków, ludzi tej samej krwi i tej samej wiary. Nie wieci wcale. A ja, miał już w życiu takie Wigilie, że na dziesiątki wiorst szeroko,

żadnej polskiej duszy tamuj nie nachodziło sie. Ot, tylko ja jeden katolik w całym wielkim obozi ostał sie i drugi taki Jasiiek, szczupły, niewysoki harcerz z Grodna, co jemu na śledztwach rozum w głowi pomieszali. W kościele zrobiło się teraz zupełnie cicho. Pierwszy raz od wielu lat ich Ruski, jak go nazywali, zaczął opowiadać o swojej syberyjskiej niewoli. Wcześniej widocznie bał się o tym mówić, albo miał zakazane surowo. Kto mógł wiedzieć? Dopiero teraz w wigiliijną noc. Ludzie więc nie ruszali się z miejsc. Antoni stał przed nimi i pewnie musiał słyszeć tę ciszę, głęboką, nagle jakby pozbawioną oddechów, bo coś jak wzruszenie, albo zakłopotanie, przelatało mu po twarzy. Może też przestraszył się własnej odwagi, bo oto uczynił krok do przodu, jakby zamierzał zejść ze stopni ołtarza, ale wtedy zatrzymał go czyjś głos.

– Mów, Ruski, mów. Opowiadaj dalej o tej swojej Wigilii w obozie. Nie ma księdza to go zastąp na pasterce. Jesteś przecież kościelnym.

Zaskoczyli Antoniego tą prośbą. Co innego przecież prowadzić różańcowe nabożeństw, albo intonować do wtóru muzyki pobożne pieśni, a co innego niczym ksiądz przemawiać do tylu ludzi w kościele. Trwała więc cisza pełna wyciekowania i pokastywania, aż Antoni przemógł się w końcu, pomału przysunął do siebie stojące obok krzesło i na jego oparciu jak na ambonie ułożył swoje grube, sękatę dłonie. Teraz dopiero uniósł wzrok i popatrzył na zebranych w kościele ludzi.

Siedzieli w ławkach poważni, skupieni, jak w świątyni siedzieć przystoi.

– Ta historia zdarzyła się w 1950 roku – zaczął pomału przyciszonym głosem, jakby chciał zmusić ludzi do słuchania albo odnaleźć w pamięci szczegóły z tamtych lat.

– Zima wtedy trzymała mocna, mroźna ze śniegami ogromnymi, co czubków drzew sięgali.

W ten dzień, przed Wigilią, chmury także nad łagrem wisielei ciemne i skłębione, a od niskiego nieba walił gruby i ciężki śnieg. Płatki jego to byli tak duże, że naszych polskich ze cztery trzeba by do kupy złożyć, żeby tamtemu na jeden wystarczyli.

Tuż przed samym wieczorem ludzi wnet z roboty wrócili, na powalce lasu pracujący, odebrali z kuchni kipiatak z ka-

wałkiem wysuszonej ryby i na pryczach swoich w barakach legli, odpoczywający. W naszej stajni spokój także nachodził się w ta pora. Koni przy żłobach trawy i chwasty jedli, latem w lesi uzbierane, a my z Jaśkiem harcerzem do Wigilii świętej na ten raz sposobili się. W rogu stajni Jasiiek ubierał już małą choinkę z tundry przyniesioną i wieszał na niej zasuszone, kolorowe liści dębiny, szyszki sosen wapnem pomalowane i łańcuch ze splecionej słomy. Wyglądała piękni ta choinka. Boże drogi, jak piękni i po polsku bardzo. Tylko gwiazdy my na niej nie powiesili żadnej, bo gwiazd czerwonych tamuj w tym łagrze pod dostatkiem wielkim nachodziło się.

Na dworze ciemno już wtedy zrobiło się całkowicie, tak i pora nadeszła, żeby wnet stół do wieczery wigiliijnej przyszykować. Nakrył ja go dwiema stronicami *Komsomolskiej Prawdy*, żeby uroczyści było, położył na nich dwa kawałeczki ryby suszonej z kolacji dzisiejszej, a spod końskiego żłoba wyciągnął blaszany garnuszek krup jęczmiennych, cöm je tamuj przechowywał na czarnej godzinę.

W stajni na szczęści ciepło było. W piecu harcował wesoly ogień, na blasze paleniska prykała kasza, gotująca się. Koni stali spokojnie, nieruchome jakby przeczuwające, świąteczną porę. Spojrzał ja wtenczas na stół do wieczery przygotowany, na miski tamuj stojące zerknął także i pomyślał sobi, że brakui nam tylko wigiliijnego opłatka. Nie mieli my nawet żdźbła chleba ani suchara kawałka, żeby nim połamać się, życzenia sobi składający. Jakaż to będzi ta nasza Wigilia bez opłatka, bez chleba Bożego?

Usiadł ja z powrotem za stołem i tak tym rozczulił sie nad sobą, rozślimaczył, że odechciało się mnie wszystkiego: Wigilii, świąt, życia całego.

Jasiiek harcerz patrzył na mnie przy koniach stojący i musi, że wnet pomiarkował, o co mnie na ten raz rozchodzie sie, bo stanął naprzeciw i zapytał:

– Nie będzi Wigilii? Oczy miał rozbiegane, przestraszone i chociaż myśli jemu na śledztwi poplątali, to jednak, patrzącie ludzi o Bożym Narodzeniu pamiętał.

– Będzi Wigilia – odpowiedział ja rychło. – Skromna ona będzi, bo skromna, bez opłatka, bez kawałka chleba nawet, ale będzi nasza, katolicka.

– U nas w domu mama zawsze opłatkami dzieliła –

odpowiedział mi Jasiek. Opłatek musi być. Jak gwiazdka pierwsza zaświeci to tata z wojny do domu przyjedzie. Mama tak mówiła. Opłatek musi być. Pójdę go poszukać.

Nim ja zdążył coś odpowiedzieć, już go w stajni nie było. Biedny, durnowaty Jasiek z Grodna, sowiecki łagier z domem rodzinnym popłatał się jemu. Patrzył ja za nim przez szybę w okni i nie dziwował się wcale. W taki wieczór wszystko przecież przypomnieć się może. Śnieg na dworze padał dalej, ale rzadki był teraz, drobny i wirujący, widoczny tylko w smudze latarni, co świeciła się na wieżyczce strażniczej. Jasiek wrócił do stajni ucieszony.

– Mam – zawołał od drzwi – mam. Zgadnij Antoni co ja przyniósł zamiast opłatka? Jest biały, cienki – No zgadnij? Ręce miał schowane za siebie, coś w nich trzymał tamuj i zgadywać rozkazywał.

– Nie wiem, Janku. Ta nie wiem naprawdę – odpowiedział ja rychło, bo faktyczni nie domyślał się wcale, co Jasiek zamiast opłatka znaleźć mógł w wygłodniałym, sowieckim łagrze.

– Zobacz – powiedział wreszci i wyciągnął przed siebie swoją blaszaną miskę do jedzenia w której leżał biały, syberyjski śnieg. Boże wielki. Coś mnie wtedy w piersiach ścisnęło do bólu prawie. Patrzył ja na tego mojego Jaśka, co mu rozum w śledztwie pomieszało, na śnieg niewolniczy nasz w misce jego leżący patrzył także i, zabijci ludzi, ale do dzisiaj nie umiem powiedzieć, dlaczego ja wtedy tak płakać zaczął. Stary ja przecież był chłop, po więzieniach radzieckich wyciorany a w tamten wigilijny wieczór nijak gulgotania w gardle powstrzymać nie potrafił...

Wtedy na dworze uderzono na capstrzyk. Służbowy walił żelaznym prętem w kawałek szyny na słupie zawieszanej a dźwięk z tego powstały niósł się przez cały łagier niczym u nas głos sygnaturki w wigilijną noc. Siedzieli my już z Jaśkiem przy stole i jedli naszą kaszę, kiedy nagle koni, co dotąd drzemali spokojnie poruszyli się i strzyc uszami zaczęli. Musi, że oni, ci koni, czymś zaniepokoił się w ta pora. I takoj sprawdziło się, przeczuli oni gościa niespodziewanego. Niedługo trwało jak ktoś gwałtownie załomotał do drzwi naszych i głos za nimi rozległ się wnet:

– *Atwieraj swolocz. Atwieraj.*

Chryste Panie. – Poznał ja ten głos od razu. Rychło skoczył do drzwi, zasuwę odsunął i wrota otworzył.

Na progu stajni stał osobiści najgłówniejszy komandir naszego łagra. Boże wielki, miej nas w swojej opiece – pomyślał ja tylko i wszystko na ten raz zamarło we mnie. Nigdy przedtem komandir osobiści do stajni naszej nie przychodził. Kiedy koni potrzebował albo muzyki z harmoszki zachciewało się jemu to służbowego wysyłał. A teraz oto stał w otwartych drzwiach stajni, w grubym kozuchu, futrzanej na głowi papasze do której duża, czerwona gwiazda przypięta była.

Bywał ja już w różnych łagrach tak i wiedział dobrze co mnie w taka pora czynić trzeba. Wnet na baczność stanął, dłoni po szwach wyprostował i meldunek złożył, że dwaj ludzi i dwa koni w stajni obozowej znajdują się.

Komandir był pijany. Oczy u niego przekrwawione byli, twarz nagrzana samogonem i oddech kwaśny, z daleka woniejący. Nie patrzył na nas wcale. Ręką niechętnie machnął na raport składany, po stajni rozejrzał się tylko a potem ruszył w stronę stołu, butelkę z samogonem w rękę trzymający. Stamtąd dopiero zobaczył Jaśkową, wigilijną choinkę.

– Nu ładno, powiedział ochrypłym głosem i podszedł bliżej drzewka.

Skóra na mnie ścierpła w ta pora. Ta wiedział ja przecież, że zabobony wszelkie i praktyki religijne surowo w łagrze zakazane byli. A tu masz, sam komandir osobiści na gorącym uczynku nas przyłapał. Karcer za to albo słupek na mrozi czeka nas ani chybi – pomyślał ja rychło i zaraz na prędce szukać zaczął w głowi myśli i słów, które od kary uchronić nas mieli.

A komandir wciąż stał odwrócony do nas plecami i patrzył na Jaśkową choinkę. Z nerwów i tego strachu całego to ręce spotnieli mnie do mokrości. Wycierał je w poły swoi kufajki i wtedy usłyszał ochrypły głos komandira.

– U nas w domu choinka wisiała u sufitu.

Ludzi na świeci. Aż uwierzyć trudno, ale komandir powiedział te słowa po polsku. Ot, tak zwyczajni powiedział je, jakby całe życie po naszymu gadał. Może dlatego zabrzmieli one tak jakby z innego świata pochodzili. Jeszcze my z Jaśkiem w ten cud Boży uwierzyć nie mogli, jeszcze stali na baczność jak skamieniali gdy komandir głowę w nasze strone

odwrócił i dłoń do góry uniósł jakby chciał nas pozdrowić, ale ściągał tylko z głowy futrzaną papachę.

– Wilia dzisiaj – powiedział. Znaczy się stary, polski, ludowy obyczaj. Kiedyś i ja go obchodził. Znowu odwrócił się w stronę świątecznej choinki i patrzył na nią chwil parę, a ja wcale nie mógł uwierzyć, że ten wielki komandir, pan życia i śmierci setek niewolników, to nasz polski rodak. Nie może być. A jeśli tak, to dobrze to będzie dla nas z Jaśkiem czy całkowici źle?

– Wilia dzisiaj – powtórzył komandir raz jeszcze a potem odwrócił się i do stołu naszego podszedł.

– W całym obozie tylko wy dwaj polskiej narodowości jesteście. Tak i przyszedł ja pogadać trochę o naszych, polskich, ludowych obyczajach. Ot co.

– *Pozwalicie?* – zapytał i od razu usiadł na taborecie. Ruchy u niego spowolnione byli, wzrok rozmazany po wypitej wódce. Patrzył na nasz stół wigilijny, na naszą wystygłą kaszę w szarych aluminiowych miskach patrzył także, po czym sięgnął do kieszeni kozucha i wyciągnął stamtąd trzy szklanki z grubego rosyjskiego szkła.

– Siadajcie towarzysze – powiedział do nas i ustawił szklanki na stole.

– Pora wypić zgodnie z tradycją ludową. Ot, co. Teraz dopiero w twarze nam popatrzył i uśmiechnął się krzywo jakoś i powiedzieć można nieszczerze.

– Tu jest spir – wskazał ręką na butelkę. Wypijemy go zamiast, no jak to się nazywało? Wigilia tak? No to wypijem za wigilię, ot co.

Wziął flaszkę w dłoń, wyjął z niej korek i zaczął rozlewać płyn do stojących szklanek. Nie czekał na wspólne z nami wypicie. Szybko uniósł swoją szklankę do ust i pił swój samogon powolnym duszkiem od początku do końca, jakby był bardzo spragniony. Wypił i ja także swoją porcję, bo bał się bardzo zdenerwować komandira... Ten zaś wytarł usta rękawem kozucha i popatrzył na siedzącego naprzeciw Jaska harcerza. Chłopak, chociaż myśli miał nie w porządku, wiedział co to znaczy łagrowa dyscyplina. Wnet z taboreta zerwał się, na baczność stanął i meldunek zamierował składać kto on jest i z jakiego artykułu zasądzony sprawiedliwie, ale komandir nie pozwolił mu mówić. Może zobaczył jego oczy, nienor-

malne, chore i strach na twarzy, bo machnął tylko ręką i zapytał się:

– Jak cię wołają synu?

– Jasiek – odpowiedział chłopak.

– No to zaśpiewaj nam Jasiek – zaśpiewaj, ot co.

Znowu wlał sobi pełną szklankę i pił z niej małymi łykami żółtawy samogon.

– Śpiewaj synu – słyszysz? – powtórzył komandir poprzednie słowa.

A Jasiek ciągle stał nieporuszony, ciągle na baczność, jakby rozkazu nie pojmował wcale i tylko oczami wzroku swojego szukał. Tak i pokiwał ja mu głową dla zachęty, bo wiedział, że niebezpieczne było bardzo sprzeciwiać się podpitemu komandirovi. Toć nagan naładowany kulami nosił on zawsze przy sobie i strzelać z niego lubował...

– Śpiewaj Jasku – zachęcał ja go w ta pora, gdy chwila przeciągała się za bardzo...

Komandir siedział za stołem z głową schowaną w wielkie, wypasione dłoni i czekał. Jasiek przełknął ślinę, grdyka na szyi podskoczyła jemu i wnet śpiewać zaczął:

– *Szeraka strana maja radnaja. Mnoga w niej...*

– *Niet, niet* – zawołał komandir i dłonią ręki w blat stołu uderzył – *Niet...* Kolendę zaśpiewaj, ot co.

– Jasiek milczał. Myśli miał przecież poplątane tak i nie mógł pewni pamiętać kolęd w domu rodzinnym śpiewanych. Cisza więc zrobiła się w stajni.

– Komandor popatrzył na nas milczących a potem nagle sam śpiewać zaczął. Cicho na początek, jakoś cherlawie, ale głosem ludzkim całkowici niepodobnym do tego swojego ochrypłego krzyku jakim codzienni warczał na ludzi. Skoczył ja wnet po swoją harmoszkę, na ramiona ją założył i do wtoru komandirovi zagrał – „Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj”.

– I wtedy gdzieś blisko, na dworze tamuj zawyła wilczyca. Było to wycie tak głośnie i tak rozpaczliwe, że prawie ludzkie. Komandir drgnął na ten raz, nie wiedzieć kiedy zamilkła nasza kolęda i harmonia uspokoiła się. Cicho zrobiło się raptem. I oto w ciszy, jeszcze głośniejszej niż poprzednio odezwał się znowu ten wyjący głos.

Komandirovi oczy złością nabiegły. – Ki czort? – zapytał się.

Skoczył ja wnet do wyjścia, drzwi na oścież otworzył i na plac obozowy wyrzwał. Widno tamuj było jak w dzień. Księżyc wisiał wysoko na niebi i teren dookoła oświeślał.

Śnieg już padać przestał i tylko mróz skrzył się srebrzyści na dachach wartowniczych wieżyczek i drutach kolczastych obozowej zony. Na środku placu, pod świecącą się latarnią konał jakiś człowiek do karnego słupka przywiązany. Widać było wyraźnie jego postać, małą, wychudzoną, czerniejącą na białym, zimowym tle. Krzyczał coś i szamotał się w rozpacz będący a potem jeszcze raz zawył nieludzko jak wilk i głowę opuścił ku ziemi...

Boże Wielki. Kiedy ja to zobaczył zimny pot czoło mi oblał, a serce wnet do gardła skoczyło. Ta widział ja już w Związku Radzieckim będący ludzi karnie do słupka przywiazanych. Widział jak konali oni przez komary jedzeni, albo jak ich mróz na kość ścinał. Widział ja to wszystko nie raz, tak że przywyknąć powinien. Ale dzisiaj Wigilia nachodziła się, dzień święty. Przed chwilą kolędy my śpiewali a tamuj na placu łagrowym konał człowiek.

Nie wiem nawet skąd się we mnie tyle odwagi wzięło, że odwrócił ja się od drzwi i do komandira powiedział:

– *Towarysz Naczelnik izwienitie...* Toż dzisiaj wszystkim nam Bóg narodził się. Moc wszelka truchlei w ta pora i dobroć w ludziach odnajdui sie. Ta ulituj sie Naczelniku łaskawy nad tym biednym człowiekiem i życi mu daruj. Wigilia przecież dzisiaj.

Komandir nawet nie spojrzwał w otwarte drzwi. Trzymał w ręku szklankę z samogonem i pił go pomału, cierpliwie.

– To jakiś Tatar – powiedział w końcu. – Po waszemu poganin. Ot co. Nie wierzy w twojego Boga, to czemu go bronisz. Został ukarany sprawiedliwie, bo w robocie zabrał jakiemuś zmarłemu więźniowi watowaną kufajkę, znaczy chciał ukraść mienie społeczne, ot co. Więc go ukarałem regulaminowo. Porządek musi być – jasne?

Wlepił teraz we mnie te swoje czerwone, przekrwawione oczy i powtórzył jeszcze raz.

– Porządek musi być.

– Ale on umrze tamuj przy tym słupku w taki mróz – mówił ja ośmielony łagodnym głosem kamandira – kary nie przetrzyma, – ale komandir już mnie nie chciał słuchać.

– Zamknij drzwi – rozkazał, bo ciągnie po nogach. A o tamtego na dworze nie martw się, wytrzyma. To twardy azjata.

Przymknął ja więc wrota z powrotem, do stołu podszedł i harmoszkę z ziemi podniósł. Pora była grać, bo, naczelnik coraz mocniej był pijany i tylko słuchanie kujawiaków mogło go uspokoić na ten raz.

Na dworze znowu odezwało się wilcze wycie. Słabe teraz i krótsze ale ciągle przejmujące i straszne jak głos śmierci. Aż dziw brał, że ten człowiek żył jeszcze.

Nie mógł ja już dłużej słuchać tego konania. Wnet harmonię wziął w ręce, miechy jej rozciągnął szeroko, podługo wato i grać zaczął i śpiewać na cały głos.

– Bóg sie rodzi, moc truchleje – Harmonia zanosila się, dudniła żeby tylko zagłuszyć te wilcze wycia i rozpacz zagłuszyć w sobi i strach i płacz w krtani zbierający.

– Zamilcz – zawołał wtedy komandir i pięścią w blat stołu uderzył.

– Zamilcz, bo ubiju jak psa.

Tak zamilkł ja w ta pora otrzeźwiony nagle. Naczelnik pomału podniósł głowę i spojrzwał mi w oczy. Nie ma Wigilii – powiedział. – Wszystko to nieprawda, zabobon.

Podniósł się nagle od stołu, chwilę stał w rozkroku na kołyszących się kolanach, wielki i potężny jak Związek Radziecki, po czym znowu ujął w rękę szklankę z samogonem i wlał go sobie w gardło szybko i gwałtowni, jakby chciał zalać serce i pamięć.

– Nie wierzę w twojego nowonarodzonego – powiedział ochrypłym głosem – Nie wierzę.

Ruszył teraz zataczając się ku wyjściu a potem nogą pchnął drzwi od stajni. Zaskrzypiały w zawiasach i z impetem uderzyły o przeciwną ścianę.

– Nie wierzę w twoje zabobony – powtórzył raz jeszcze pijanym bełkotem. – Tylko te wspomnienia, te cholerne wspomnienia...

Powiedział te słowa w progu już stojący a potem ruszył prosto przed siebie na apelowy plac. Buty skrzypiały jemu na zamrożonym śniegu, a z dyszących ust buchały kłęby sinej pary. Wnet podszedł do słupka ze skazańcem, zza cholewy buta wyciągnął nóż i rozciął nim srebrne od mrozu postronki co ręce więźniowi krępowali.

Tatar wnet zwał się na ziemię sztywny jak kłoda. Zamrznięty był już na śmierć.

Naczelnik nogą przewrócił go na plecy a potem pochylił się nad posiniałą kukłą i ujął jej rękę. Zatrzeszczała głośno jakby łamała się w stawach kiedy ją podnosił do góry... I tak już została, zesztyniała, wyciągnięta w niebo z rozcapierzonymi palcami. Komandir machnął na niego ręką i ruszył w stronę swoich kwatery. Zatrzymał się jednak na moment i jakby sobi nagle coś przypomniał spojrzał w naszą stronę.

– A moc nie truchlei – zawołał. – Zapamiętaj to sobie durny Polaku. Sowiecka moc nie truchlei nigdy.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Plac apelowy opustoszał wnet, tylko tamuj obok karnego słupka zamrznięty Tatar wskazywał nam wyciągniętą ręką nasz los – niebo.

Boże drogi. Czy to być może, że ich moc nigdy nie struchleli? – pytał ja samego siebie a potem drzwi od stajni szybko zamknął, żeby cały tamten straszny, sowiecki świat na dworze tamuj zostawić. Kasza wigilijna już nam wystygła, na stole byli tylko dwie pełne szklanki samogonu. I ja wypił je wtedy. Wypił z całego tego zdenerwowania i ze strachu i żalu co kamieniem na sercu leżeli. Wypił jednym duszkiem obie szklanki jedna po drugiej.

– Niech się dzieje co chce. Świat zakręcił się, wszystko nagle obojętne zrobiło się. Chciał ja tylko spać i spać, niczym nie przejmować się, ani łagrem, ani komandirem, ani całym tym życiem podłym i nieludzkim.

Noc ciągnęła się niespokojnie. To zasypiał ja, to budził się na pryczy leżący, aż nagle nasza stajnia łagrowa rozjaśniła się, rozświetliła i wnet zrobiła się całkowicie podobna do bożej, berlejskiej stajenki. Wszystko w niej tamuj takie samo było, jak w naszych polskich kościołach. Koni parskali obok jedzące, gwiazdy świecili za oknami a na taboreci obok żłobka siedziała sobi Matka Boska ubrana w piękne, niebieskie szaty i trzymała na swoich rękach mojego Jaśka harcerza. I uśmiechała się do niego i głąskała go po jasnych włosach i śpiewała mu cicho:

– Płynie Wisła, płynie.

Andrzej KALININ

Hamlet Piemoncki

Telefon od piemonckich przyjaciół z miasteczka Susa koło granicy włosko-francuskiej zawierał wiadomość o śmierci Teresy Maldorno w wieku 95 lat. Zmarła w Castel Piemontese 17 kwietnia, w drugi dzień Wielkiejnocy, pogrzeb wyznaczono na 19 kwietnia po mszy żałobnej w katedrze San Gius-to.

Przyjaciele pytali – pamiętając jak bardzo pasjonowała mnie w latach pięćdziesiątych, gdy bywałem na wakacjach w Pollone, sprawa „Hamleta piemonckiego”, *Amleto piemontese* – czy przyjadę na pogrzeb. Akurat w telewizyjnym dzienniku wieczornym pokazano „piemoncką wiosnę na białą”, czyli cały rejon pod grubą warstwą śniegu. Co automatycznie przesądzało sprawę na „nie”. Pojechałbym, gdyby tegoroczna wiosna była ciepła i słoneczna? Nie umiałem odpowiedzieć na zadane mi w telefonie pytanie. Upłynęło tyle lat, wszystko wyblakło, zmarłą staruszkę znałem wyłącznie z widzenia, a jej syn Bruno, z którym spotykałem się i rozmawiałem w końcowej fazie „szekspirowskiej afery” (w przerwach długiego procesu), mieszkał do pewnego czasu w Castel Piemontese jak pustelnik, prawie nie pokazywał się ludziom na oczy i nikogo w swoim domu nie przyjmował. To prawda, że moi znajomi często wspominali matkę i syna w rozmowach telefonicznych, ale nie umiałem wskrzesić w sobie dawnego zainteresowania całą sprawą.

Nazajutrz w turyńskim dzienniku ukazał się krótki nekrolog: imię i nazwisko zmarłej, jej wiek, bez daty śmierci i pogrzebu, podpis Bruno Maldorno. Za to całą „rozkładówkę” gazety zajmował ilustrowany artykuł, wyraźnie przygotowany

zawczasu w redakcji. Tytuł brzmiał po włosku: *E morta la madre dell'Amleto piemontese*. Podtytuł: *Se ne va, quasi centenaria, la Gertrude scespiriana*. „Umarła matka Hamleta piemonckiego. Odchodzi, prawie stuletnia, szekspirowska Gertruda”. Zbity, gęsty tekst ozdobiono czterema fotografiami: Teresy Maldorno, jej dwóch mężów i jej syna.

Kiedy opowiadający staje przed problemem od czego zacząć swoje opowiadanie, należy mu dać dobrą radę angielską: *Begin from the beginning*, zacznij od początku. Na ogół jednak nie jest jasne, co można uważać za początek. Początek całej opowiadanej historii w jej rzeczywistym przebiegu? Czy początek wejścia w nią narratora przywiązanego do narracji w pierwszej osobie (a ja, z różnych względów, rzadko zdradzam pierwszą osobę)? W moim wypadku w grę wchodzi drugie rozwiązanie.

Lato 1956 spędzałem w Pollone, piemonckiej wiosce (dziś już sporym miasteczku) u stóp Przedalp. U progu czerwca przyjechała do mojej żony para jej przyjaciół z Susy, przyjaciół wczesnej młodości, kiedy letnie wakacje spędzała z rodziną w Meana di Susa. Dość znany i ceniony pisarz Volpone pochodził z Umbrii, dokładnie z cudownego Gubbio, ale ożenił się z nauczycielką szkoły średniej w Susie. Nie mieli dzieci, co zazwyczaj podsyca skłonność do życia towarzyskiego. Ponieważ Mirella (nauczycielka) odziedziczyła po rodzicach ładną willę na przedmieściach Susy, Goffredo (pisarz) przeniósł się po ślubie do żony, wychodząc ze słusznego założenia, że pisać można wszędzie (jeżeli ma się coś do powiedzenia). Moja żona była najpierw przyjaciółką Mirelli, a potem polubiła także jej męża. Przeniesienie się na lato rodziny mojej żony z Meana di Susa do Pollone nie rozluźniło tej przyjaźni, która rozwijała się i umacniała to w jednej, to w drugiej miejscowości. Czerwiec 1956, w rok blisko po osiedleniu się w Neapolu, był moim zapoznaniem się z Pollone; natychmiastowa wizyta państwa Volpone podyktowana była chęcią zapoznania się z nowym mężem ich przyjaciółki.

Zaraz po ich porannym przyjeździe poszliśmy w czwórkę na długi spacer do Bagneri. Zapropnowała go moja żona, znawczyni okolic Pollone.

Za sąsiednim Sordevolo, które co dwa lata przygotowuje

widowisko pasyjne w stylu Oberammergau, otwiera się rozległa i głęboka dolina, zarośnięta na dnie zdziczałymi krzakami i chwastami; nie ośmielają się tam zejść nawet myśliwi w sezonie łowieckim. Na przeciwległym zboczu doliny widać dość niewyraźnie z daleka wieżyczkę kościelną i obok niej kilka domów. To jest Bagneri, trzy godziny marszruty zaniedbaną, słabo wydeptaną ścieżką. Mówiło się o nim *villaggio morto*, martwa wieś, jedyna i osobiwa atrakcja dla letników i wycieczkowiczów w tym zakątku Piemontu.

W samej rzeczy, martwa wieś robiła wrażenie, w którym poza smutkiem i przygnębieniem rozpościerał się szczególnie lęk pustki, jak istnieje u pewnych osób lęk przestrzeni. Wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem bardzo już starych, uciekli z Bagneri na „tamtą stronę” doliny, przeważnie do uprzemysłowionej Bielli, a czasem i dalej. Wśród siedmiu zbudowanych w jednym rzędzie domów cztery były próżne i zapuszczone w przejmujący sposób. W pozostałych trzech, o trochę tylko porządniejszym wyglądzie, który stanowił nędzny dowód zamieszkania, gnieździło się około dziesięciu starych kobiet i trzech zupełnie zniedołężniałych starców. Nie było obór i bydła, ani też skrawka uprawnej ziemi. Z czego żyli ostatni mieszkańcy Bagneri? Drzwi zrujnowanego kościółka zaryglowano deską, zapewne ksiądz z Sordevolo zjawiał się tu (jeżeli się zjawiał) od wielkiego dzwonu; wątpliwe czy chrzczył dzieci i grzebał umarłych. Za kościołem, aż do lekkiego wzniesienia terenu, znajdował się cmentarz; wszystkie nazwiska na nagrobkach i drewnianych krzyżach były jednobrzmiące. Bagneri stało się więc dogorywającą rodziną, gdzie niegdyś dzieci rodziły się jako płód rozmaitych form kazirodztwa.

Usiedliśmy na długiej i wąskiej ławce, pod dróżką czy uliczką wzdłuż domów. W pewnej od nas odległości siedziały dwie kobiety, na oko po siedemdziesiątce choć okazało się że po pięćdziesiątce, w łachmanach, straszliwie wychudzone, brudne i rozczochrane. Bez słowa i bez ruchu patrzyły na „tamtą stronę”. Nie, nie z wyrazem pragnienia, raczej z wyrazem ledwie podtrzymywanego życia. Nigdy, być może, nie widziałem oczu tak bezbarwnych, pustych, wydrążonych; nawet za kratami więzienia i za drutami obozu.

Sądziłem zawsze, że w naszym przejściu przez życie mamy do czynienia z pasmem następujących po sobie, szybko

lub w czasie celowo przez los spowolnionym, bardzo różnych klimatów duchowych; i że to one nadają takie czy inne zabarwienie naszym przeżyciom i doświadczeniom. Wracając ścieżką na zboczu doliny do Sordevolo, milczeliśmy z takim uporem, jakby ktoś wydał nam zakaz posługiwania się ludzką mową. Jestem pewien, że tkwiliśmy w klimacie Bagneri, w najtrudniejszym dla ludzi klimacie otarcia się o jedną z ostatecznych granic życia. Mimo zmęczenia, szliśmy prędkim krokiem, rzekłbyś: w odruchu i pod ciągłym naciskiem ucieczki. Uciekaliśmy przed wyglądem martwej wsi i przed wzrokiem jej dwóch niedoumarłych mieszkanek. Ocknęliśmy się w szynku w Sordevolo, przed czajnikiem gorącej herbaty i przed butelką miejscowej grappy.

Tam Goffredo „zaczął od początku” opowieść o Hamlecie piemonckim. Miało to jakiś podskórny związek z naszym spacerem do Bagneri? Jestem zdania że tak, ale nie umiałbym powiedzieć na czym on polegał. Cechą życiowych klimatów jest niewidzialność (dla naszych oczu) łączących je nici.

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Bruno Maldorno miał dokładnie dwadzieścia lat. Studiował prawo w Turynie, ale mieszkał z rodzicami w Castel Piemontese. Jego ojciec Francesco, adwokat, kursował między rodzinną willą w Castel Piemontese i swoją kancelarią w Susie. Wyjątkowo piękna matka Teresa zbliżała się do czterdziestki, na oko nikt nie dałby jej więcej niż trzydzieści lat. Trzyosobowa rodzina zajmowała jedno skrzydło willi. W drugim mieszkał młodszy brat adwokata Claudio, faszystowski *podestà* (burmistrz) Susy, awanturnik, pijak i kobieciarz. Ponieważ adwokat wierny pozostał liberalnym poglądom zmarłego ojca, komunikacja między dwoma skrzydłami willi sprowadzona została do absolutnego, chłodnego, z czasem wrogiego wręcz minimum.

Nie było jasne, i nie wyjaśnił tego do końca proces w roku 1943, kiedy Teresa Maldorno przełamała lodową ścianę i nawiązała najpierw przyjazny kontakt, a potem romans ze szwagrem. Adwokat wracał do domu późnym wieczorem, syn dwie doby w tygodniu spędzał w Turynie, zmuszony do tego przez zajęcia uniwersyteckie (zwolniono go ze służby wojskowej). Teresa i jej szwagier mieli więc dość sposobności aby, pod jednym dachem, zapewnić sobie bezpieczną intymność swoich spotkań.

W maju 1942 rozegrał się pierwszy akt tragedii. Adwokat znalazła żona, wczesnym ranem, bez życia u stóp krętych schodów, prowadzących do wspólnego hallu willi na drugim piętrze, gdzie z korytarza wchodziło się do trzech pokoi mieszkalnych i dwóch łazienek w amfiladzie, w skrzydle rodziny adwokata. Miał głęboką, śmiertelną ranę w głowie od uderzenia w ostatni, okuty metalową listwą schodek. Był w szlafroku. Wypadek zdarzył się podczas dwóch turyńskich dób syna, zdawał się jednak na pierwszy rzut oka wypadkiem naturalnym. Przed świtem (jak sądzono) adwokat wstał, nie zapalając światła ani w sypialni, ani w korytarzu, ani w łazience, aby nie obudzić śpiącej jeszcze żony, i przypuszczalnie w drodze powrotnej do łóżka potknął się jak zaczadzony o pręt przybity do sukna na szczycie schodów. Teresa spała tak głęboko, że nie usłyszała upadku i być może krzyku spadającego.

Pozorna naturalność wypadku nie powstrzymała syna od domagania się sekcji zwłok ojca. Wykryto obecność resztek bardzo mocnego środka nasennego, który w aptekach dostępny był tylko za okazaniem recepty lekarza. W koszu na śmieci znaleziono dwa gatunki niedopałków, z czerwonym śladem szminki i bez. Adwokat nie palił w ogóle; jego syn spędził ostatnie dwa dni i dwie noce w Turynie.

W lutym 1943 odbył się proces w Cuneo. Panowanie faszystów było już wtedy mocno nadszarpnięte, co wyraźnie nadwątliło uprzywilejowaną pozycję burmistrza Susy. I on i jego kochanka Teresa występowali z wolnej stopy. Proces był czysto poszlakowy. Oboje oskarżeni z oburzeniem odparli zarzut zbrodni. Bruno przysłuchiwał się przewodowi sądowemu w milczeniu, nie odrywając wzroku od matki. Zapytany przez sędziego czy miałby coś do ujawnienia jako świadek, opowiedział swój trzykrotny sen: śnił mu się mianowicie aż trzy razy ojciec, powtarzając za każdym razem to samo zdanie: „Zabili mnie”. Ani słowa więcej. To wówczas właśnie gazety nazwały młodzieńca „Hamlet piemoncki”. Oskarżonych uniewinniono z braku dowodów winy, a nie według tzw. „pełnej formuły”: przestępstwo nie miało miejsca. Burmistrz został wkrótce potem zwolniony ze swego stanowiska, a pod koniec 1943 ożenił się ze swoją szwagierką. Zamieszkali w jego skrzydle willi. Bruno pozostał sam w dawnym skrzydle rodziców i po

roku, jako świeżo upieczony adwokat, zajął kancelarię ojca w Susie.

Pomyślałem słuchając relacji pisarza Goffredo Volpone przy szklance herbaty i kieliszku grappy w Sordevolo, że chyba zbierał materiał do zaplanowanej powieści i uważnie przestudiował prasę epoki. Tak było istotnie, dodał bowiem, że wszystkich sprawozdawców sądowych uderzył sposób, w jaki Bruno wpatrywał się w twarz matki o przymkniętych oczach: „Tak patrzy nie syn zakochany w matce, lecz mężczyzna zakochany w kobiecie.”

W styczniu 1945, podczas surowej zimy piemonckiej, rozegrał się drugi akt tragedii, który Goffredo poznał również z gazet nowej już epoki; w ogólnych zarysach, gdyż nieco dokładniej poznaliśmy go obaj w trakcie drugiego procesu w Cuneo, w połowie czerwca 1956.

Kończyła się wojna, na północy Włoch, szczególnie w Lombardii i w Piemonie, roilo się od większych czy mniejszych oddziałów partyzanckich. Bruno Maldorno należał do małego oddziału działającego w okolicach Pinerolo. Znaczniejsi faszyci (szeregowych nie ruszano), jeżeli nie udało im się uciec na tereny kontrolowane przez niedobitki reżymu, ukrywali się gdzie mogli. Przeważnie na strychach w domach przyjaciół lub krewnych, nierzadko na plebaniiach.

Czas sprzyjał samowoli i samosądom. Pod pretekstem wymiaru nowej „demokratycznej” sprawiedliwości załatwiano stare porachunki rodzinne i osobiste.

Claudio ukrył się na plebanii w Saluzzo, a właściwie ukryła go tam Teresa, bratanica księdza proboszcza. Popęłniła jeden błąd: co jakiś czas wyprawiała się samochodem do Saluzzo, z wizytą do drugiego męża. Prawdopodobnie jej wyjazdy zostały zauważone i naprowadziły na trop kryjówki faszystowskiego exburmistrza Susy, bardzo nie lubianego przez mieszkańców miasteczka.

W zimową, ciemną noc wdarła się na plebanie pięcioosobowa grupa partyzantów. Wojenny zakaz używania w nocy oświetlenia sprzyjał napastnikom. Opierającego się proboszcza, który odmawiał wskazania kryjówki, a z początku zaprzeczał nawet że kogokolwiek ukrywa, zamknięto na klucz w jego sypialni. Partyzanci wiedzieli i tak, że należy iść do pokoi-

ku na poddaszu. Zachowywali absolutne milczenie, tylko dowódca zaopatrzonej w latarkę stawiał krótko żądania i wydawał rozkazy. Claudio wybiegł z pokoiku strzelając na oślep, miał widocznie nadzieję, że uda mu się dotrzeć do drzwi plebanii. Jeden z partyzantów skoczył za nim i zaszytłetował go na podeście schodów. Po czym cała piątka dała się pochłoniąć ciemnościami.

Z oskarżenia Teresy wytoczono proces jej synowi za zabicie jej drugiego męża. Wielokrotnie odraczany w atmosferze bezkarności, otaczającej większość samosądów na byłych hierarchach obalonego reżymu, odbył się w końcu w połowie czerwca 1956 roku w Cuneo. Na ten proces pojechałem z pisarzem Volpone (obie nasze żony odmówiły). Zamieszkaliśmy w hotelu *Savoia*, w którym (jak się okazało) stanął również odpowiadający z wolnej stopy Bruno Maldorno. Teresa przyjeżdżała codziennie rano ze swoim duchownym stryjem z Saluzzo (tam mieszkała podczas całego procesu).

Proces trwał pięć dni, w trzecim przez godzinę rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Ciągłe rodziło się pytanie na jakiej podstawie został przez Teresę Maldorno wytoczony. W gruncie rzeczy nie miała żadnych dowodów, ani nawet poważniejszych poszlak, bezustannie krążyła – ku zniecierpliwieniu sędziów i ławy przysięgłych – wokół niechętnego stosunku syna najpierw do stryja a potem do ojczyma (formalnie), mimo że Claudio „uwielbiał” bratanka od dzieciństwa i zamierzał to samo uczucie okazać pasierbowi. Opo- wiadała szczegółowo o tej „czarnej niewdzięczności”, która w końcu przeobraziła się w „obsesyjną nienawiść”. Przerwał jej syn drwiącym chichotem, ale zachęcony przez sąd do zeznania, wzruszył ramionami i mruknął: „Nie warto”. Na pytanie sędziego o pożycie z pierwszym mężem, Teresa odpowiedziała: „Proszę o wysłuchanie mnie przy drzwiach zamkniętych”. Przychylnono się do jej prośby. Cuneo jest niewielkim miasteczkiem, przysięgli nie byli zbyt dyskretni, więc tego dnia wieczorem powtarzano sobie na ucho, że na kilka lat przed śmiercią pierwszego męża Teresa „przestała z nim dzielić małżeńskie łóżę”, po czym podała powody, dość intymne. Sędzia zażądał, by przeszła wreszcie do swojego oskarżenia. „Czas najwyższy, czas najwyższy”, powiedział dwukrotnie z odcie-

niem irytacji w głosie. Zamilkła, ale widać było z jej wyrazu twarzy, że chowa w rękawie kartę atutową. Często, nie tając oczekiwania, odwracała się na chwilę i zerkła na drzwi sali sądowej. Tymczasem zgłosił się jako świadek oskarżenia, jej stryj, proboszcz z Saluzzo. Jego długie wywody, w tonie umoralniającego kazania, utkane były jednak wyłącznie z pogłoszek. W okolicach Saluzzo wiedzano o oddziale partyzanckim, wiedzano też że należał do niego Bruno Maldorno. Czy to nie on znał dobrze rozkład plebanii z czasów, gdy w chłopiectwie przyjeżdżał z matką do jej stryja?

Znudzony monotonną nijakością rozprawy, skupiłem się na obserwacji – niekiedy spod oka, niekiedy wprost i bez zakłopotania – matki i syna. Teresa miała wtedy pięćdziesiąt sześć lat, ale zachowała dawną urodę, więcej – zdawał się służyć jej wiek matronalny. Było coś władczego w jej ruchach i sposobie mówienia. Patrzyła tylko na sędziów i na ławę przysięgłych, ani razu nie spojrzała na siedzącego z boku syna. On zaś przesunął lekko krzesło, aby móc patrzeć jedynie na nią. I rzeczywiście w jego spojrzeniu, intensywnym i nieruchomym, dostrzegało się coś dalekiego od synowskiej miłości do matki.

Kolację w hotelu jedliśmy w trójkę, Goffredo i Bruno byli przecież dobrymi znajomymi z Susy. Syn Teresy liczył sobie wtedy trzydzieści sześć-siedem lat, a zadziwiał swoją młodością. Miało się ochotę powiedzieć o nim „chłopiec”; i rzeczywiście raz wczesnym ranem zobaczyłem go w hotelowym ogrodzie pogrążonego w lekturze i równocześnie przechadzającego się między kwietnikami i drzewami; ten widok wyrwał mi natychmiast z ust szekspirowskie zdanie „młody chłopiec z książką w ręku”. Pod młodością powłoką połączyły się w jedno powaga i smutek, z osobliwym rezultatem półobecności. Naprawdę nie wiadomo było, czy uważnie słucha tego co się do niego mówi, jakkolwiek – z natury milkliwy – odzywał się czasem krótko całkiem do rzeczy, w sposób świadczący, że robił tylko wrażenie półobecnego, roztrąconego, myślącego o czymś innym. Proces był w naszej rozmowie tabu, za to Bruno ożywał się nieco, gdy Goffredo poruszał tematy partyzanckie, a ja wschodnio-europejskie. Znowu jednak nie było stuprocentowo pewne, w jakiej mierze jego wyraz twarzy odpowiada prawdziwej uwadze. W

ogóle, przy doskonałej kontroli nad sobą, nie wydawał się w pełni zrównoważony. Należał do ludzi – zdarzają się tacy, – których myśli chcielibyśmy odgadnąć, nie żeby się czegoś ważnego dla nas dowiedzieć, lecz by nawiązać kontakt nie tylko powierzchowny. Śledząc go przy kolacyjnym stole, uprzytomniłem sobie, że na tym właśnie polegało „szaleństwo” Hamleta w tragedii Szekspira: na sztuce szybkiego wywijania się z pułapki (dla niego) kontaktów z otoczeniem. Bruno był, jak królewicz duński, nieuchwytny. Co poczytywano, u Szekspira, za znaki obłądu. A co było grą.

Niewątpliwie element gry tkwił także w piemonckim Hamlecie. Ale kto gra, nie chcąc tego pokazać w nadmiarze, i nie chcąc na szwank narazić swojej dumy, jest gdzieś głęboko pod spodem śmiertelnie zraniony. Taka sama była rana obu Hamletów, duńskiego i piemonckiego?

W piątym dniu rozprawy zjawiła się „karta atutowa”, a raczej rzekoma „karta atutowa” Teresy. W postaci starszego, siwego pana, kulejącego i opierającego się ciężko na lasce, który z wysiłkiem pokonał przestrzeń od drzwi sądu do stołu sędziowskiego. Skłonił się, podał rękę sędziemu i położył przed nim arkusz papieru. Rzuciłem w tej chwili okiem na matkę i syna: ona uśmiechała się, on zbladł.

Sędzia przyjął do wiadomości zaświadczenie lekarskie, które usprawiedliwiała spóźnienie świadka koronnego, przykutego okresami do łóżka na skutek ran odniesionych w partyzantce. Był majstrem-mechanikiem w Chivasso, po lądowaniu aliantów na południu Włoch zorganizował spory początkowo oddział partyzancki, przybrawszy przydomek Terrone (pochodził z Kalabrii). To on był dowódcą pięcio-osobowej w końcu grupy, działającej w okolicach Pinerolo. Rozkaz „eliminacji” byłego burmistrza Susy przyszedł z dowództwa w Asti; uważano go za niebezpiecznego w razie przelotnej choćby zmiany sytuacji w rejonie. Kto konkretnie wykonał ten rozkaz po włamaniu się grupy na plebanie w Saluzzo? Zapadła długa cisza, otarłem się wzrokiem o napiętą twarz Teresy; jej syn opuścił głowę. Zabójca już nie żyje – wyjaśnił świadek – poległ krótko przed *Liberazione* 25 kwietnia. Teresa drgnęła jak tknięta prądem, było aż nadto widoczne jej zaskoczenie, Bruno wstał z krzesła. „To nie-

prawda – powiedział spokojnym i donośnym głosem, patrząc nie na stół sędziowski, lecz na matkę – zabiłem burmistrza Susy, który zabił mojego ojca”. Na sali powstał szum, nie bez trudu opanowany przez sędziego.

Aresztowany po zamknięciu rozprawy, Bruno został odwieziony do Novary, w tamtejszym więzieniu miał czekać na kolejną rozprawę w tamtejszym sądzie. Czekał sześć miesięcy. Wyrok był niski i z zawieszeniem, roił się przesadnie od okoliczności łagodzących. Bruno wrócił do Susy, do rodzinnej willi, do której wróciła też z Saluzzo jego matka. Nie porozumiewali się ze sobą, jedynym ich łącznikiem była wspólna służąca. Nie widywano ich, żyli z oszczędności i ze spadku po pierwszym mężu Teresy (drugiego, pośmiertnie, pozbawiono wszystkiego co posiadał na mocy konfiskaty majątku). Bruno, skreślony z listy adwokackiej, prowadził w domu małe biuro porad prawnych.

Coraz rzadziej jeździłem latem do Pollone. Z początku wypoczynek u stóp Przedalp, łąki na wzgórzach pełne krzaków jeżynowych i czasem grzybów, lodowate strumienie obfite w pstrągi, mocny sen w nocy, ciężkie wino piemonckie, uładzone życie w wiosce – wszystko to działało na mnie jak prysznic obmywający czystą wodą brudne i spocone ciało. Ale z biegiem lat poznawałem Piemont ukryty, rejon ludzi zamkniętych i pracowitych, maskujących swój przyrodzony egoizm, chciwych na każdy grosz, niechętnych „intruzom” z innych stron Włoch, pozbawionych odruchowej serdeczności południowców, pod powłoką czy za fasadą schludności i uczciwości zamkniętych w swoich chorobliwych na ogół układach rodzinnych. Gdy wyostrzył się stopniowo mój węch (a także wzrok), nabawiłem się alergii posuniętej dosyć daleko, skoro unikałem wizyt u sąsiadów i niechętnie zachodziłem do sklepów i barów, wzorowych zdawałoby się pod każdym względem, zwłaszcza w porównaniu z Południem.

Jeździłem więc do Pollone rzadziej, nie mogłem jednak całkowicie z tych wyjazdów zrezygnować, opowiadając się za morzem przeciw górcom. A podczas moich pobytów wakacyjnych częściej chyba niż w Pollone przemieszczywałem u przyjaciół w Susie, sam albo z żoną. Goffredo i Mirella przyjeżdżali do nas niekiedy na dzień, lecz zrozumieli szybko, i z

radością zaakceptowali, naszą (moją przede wszystkim) słabość do Susy. Która rosła wciąż, aż do punktu kulminacyjnego w życiu Hamleta piemonckiego i piemonckiej Gertrudy.

W Susie podobała mi się jej dbałość o zachowanie resztki dalekiej przeszłości. O ile w Pollone główną, nieznosną dla mnie, ozdobą były ogromne wille secesyjne na drodze do Sordevolo, budowane przed pierwszą wojną przez bogatych przemysłowców z Bielli, Susa (rzymska Segusto) mogła się poszczycić katedrą *San Giusto*, kościołem lombardzkim z XI wieku, z imponującą dzwonnica; rzymską bramą z V wieku, dziś zwaną *Porta Savoia*; łukiem Augusta z VIII przed Chrystusem. Obręcz surowych gór otoczyła szczątki historii. Więcej, pilnowała ich. Każdy spacer, najkrótszy nawet, umacniał we mnie to uczucie w sposób zabarwiony szczerą emocją.

Willa Teresy Maldorno i jej syna znajdowała się jakieś cztery kilometry za Susą, w Castel Piemontese, w ogrodzie zasłoniętym od drogi wysokimi drzewami tuż za murkiem. Przechodząc czy przejeżdżając, można było w szparach między drzewami zobaczyć zapuszczony ogród (dziko rozrosły się klomby, krzaki i grządki, zaniedbany był trawnik przed zajazdem). Dominowało wrażenie pustki, jakby willa nie była w ogóle zamieszkała, co podkreślały jeszcze story w oknach, nigdy nie podnoszone. „Żyją wciąż w mroku czy w półmroku”, myślałem wpatrzony w budowlę w stylu dużego angielskiego *cottage'u* z dwiema wieżyczkami poddasza. Willa miała dwa wejścia, jedno w środku frontonu, drugie w bocznej ścianie.

Raz jeden tylko zdarzyło nam się ujrzeć Teresę Maldorno, w gorący dzień opalała się w hamaku rozpiętym między palikami. Widocznie wyczuła cudzy wzrok w twarzach znieruchomiałych nad murkiem, bo zeskoczyła młodzieńczo z hamaku (miała wtedy sześćdziesiąt lat!), narzuciła szlafrok na kostium kąpielowy i pobiegła do natrysku w podcieniu wejścia głównego. Widzieliśmy ją dobrze, choć krótko, pod ostrą strugą wody. Była piękną wysmukłą kobietą, nikt nie wtajemniczony nie uwierzyłby, że ma czterdziestoletniego syna.

Zależało mi w owym roku (1960) na odnowieniu przełotnej znajomości z synem. Goffredo natychmiast przekreślił

pomysł zaproszenia go na herbatę: „nie udziela się”, niezmieranie rzadko spotyka go się w miasteczku, w którymś z urzędów. Znalazłem niezły pretekst. Ponieważ moja żona zamierzała wytoczyć proces jednemu z sąsiadów w Pollone, chciałem w jej imieniu poprosić o poradę prawną cenionego niegdysь adwokata.

Wybrałem się do niego sam, ale powołując się naturalnie na moich susańskich przyjaciół. Nie jestem pewien, czy pamiętał nasze spotkanie w Cuneo, więc przemilczałem je, by nie przypominać związanych z nim okoliczności. Wysłuchał mnie, zrobił parę rozsądnych uwag, polecił mi znajomego adwokata w Bielli. Zapłaciwszy honorarium, nie miałem powodu przedłużać wizyty. Wymyśliłem coś na prędce, byle nie wychodzić z jego gabinetu. Nie okazał żadnego zniecierpliwienia, przeciwnie wydawał się zadowolony, jakby rzadko miewał klientów. A ja? Czemu było dla mnie ważne spędzenie z nim dodatkowych dwóch kwadransów? Czy rzeczywiście śledziłem nadal Hamleta piemonckiego, być może przyszłego bohatera jednego z moich opowiadań? Pewnie tak, nie znajduję bowiem innego wytłumaczenia mojej natarczywości.

Potwierdziła się cecha, którą pamiętałem z Cuneo. Trwała jego półobecność, dziwne uczucie że słucha i nie słucha. I trwała też, mimo wieku, jego chłopięcość. Trudno było uwierzyć, że ma czterdzieści lat ten chłopiec o marzycielskim spojrzeniu, które niekiedy, na mgnienie oka, twardniało nie bez przymieszki zawziętości. Nowością było jego ciągłe nasłuchiwanie: z drugiego skrzydła willi dobiegały czasem nieokreślone dźwięki, każdy działał na niego jak oparzenie przytkniętym do skóry papierosem; podrywał się z krzesła i dłońmi chwycił za krawędź biurka. Na co czekał w takim napięciu?

Ileż istnieje interpretacji Hamleta! Ilu wielkich aktorów, dla których Hamlet jest „rolą życia”, usiłujących więc odcisnąć w nim piętno swojego „niepowtarzalnego” spojrzenia na dramat królewicza duńskiego! Lista byłaby długa, wspomnę tytułem przykładu o jednej tylko interpretacji, której źródłem była książka Salvadora De Madariagi *On Hamlet*. W oczach pisarza i dyplomaty hiszpańskiego Szekspir stworzył postać renesansowego księcia, który świadomie i na zimno

rozgrywał swoją walkę o tron. Widziałem w Londynie przedstawienie *Hamleta*, oparte na książce De Madariagi. Przebiegłego, nawykłego do dworskich intryg, księcia renesansowego grał Alec Guinness z małym brzuszkiem, bródką w szpic i sztyłem przypiętym do pasa. Publiczność londyńska przeżyła szok i wygwizdała spektakl bezlitośnie, skończyło się zatem na premierze. Dla tradycyjnych admiratorów Szekspira taki Hamlet był nie do przyjęcia; tradycja przekazała różne wcielenia płomienia drżącego na wietrze, głosu nasyconego szeroką amplitudą wahań, pasji, zrywów i cofnięć. Mnie Guinness podbił sugestywnością swojej roli, podobnie jak Da Madariaga finezją swojego wywodu.

W czasie jednego z pobytów u susańskich przyjaciół Goffredo wciągnął mnie w wielogodzinną rozmowę nocną o elsynorskim Hamlecie, z aluzjami do piemonckiego. Co dla mnie stanowiło dowód, że zrezygnował z projektu powieści, żaden bowiem pisarz nie wyklada tak swoich kart przed położeniem słowa „koniec” na ostatniej stronicy manuskryptu. I istotnie: świeża już, gdy postanowiliśmy zamknąć dyskusję i iść spać. Goffredo dał mi „do poduszki” (jutrzejszej, oczywiście) pękniętą teczkę z napisem „Materiały do Hamleta piemonckiego”.

Przewertowałem ją nazajutrz, przed obiadem i po obiedzie. Było jasne, że musiał zrezygnować z projektu powieści. Zapiski autora do planowanego dzieła mogą być na pozór chaotyczne, nie wolno im jednak tracić z oczu pewnej linii nawet w tej chaotyczności. A taki niestety był wypadek zapisków mojego przyjaciela. Goffredo zmieniał wciąż punkt widzenia, dawał się opanować pewnej wizji aby ją szybko porzucić dla innej, osoby i wypadki szkicował chwiejną ręką, słowem – zgubił ścieżkę w lesie i błąkał się w nim bez poczucia kierunku. Nie mogła z tego powstać powieść. Lepiej było dać za wygraną, nie brnąć jeszcze głębiej w nieprzenikniony gąszcz.

Uderzał w niefortunnym rękopisie szkic o szekspirowskim *Hamlecie*. On był ozdobą grubej niby, lecz w rzeczywistości chudawej teczki.

Miał prawdopodobnie być postowiem do powieści, ale wnikliwa dysertacja krytyczna o dramacie elżbietańskim nie wiązała się (albo wiązała bardzo słabo) z dramatem współczesnym. Goffredo trzymał się konsekwentnie, bez żadnych wa-

hań czy wątpliwości, „swojego osobistego” poglądu na *Hamleta*, brakowało mu jednak stanowczości w użyciu tego „klucza” do otwarcia historii *Hamleta piemonckiego*. Ilekroć mogło się wydawać, że powziął wreszcie decyzję, następował krok do tyłu, i to tak bojaźliwy, jakby chwyciło go za rękę groźne ryzyko własnej, nadmiernej śmiałości. Kluczył, rozsiewał po drodze aluzje, mówił i nie mówił, wykreślał hipotezy z pierwszej redakcji i wypisywał nad nimi zupełnie lub częściowo odmienne – słowem, sam siebie przekonywał stopniowo, że nie zdoła wydobyć się z pisarskiego paraliżu.

Szkic o *Hamlecie* (w ogólnych zarysach) wyrastał z głębokiego przeświadczenia jego autora, że załączkiem tragedii na Zamku Elsynorskim była miłość syna do matki. Ale nie miłość „synowska”.

Królowa: Jak można tak porywczo, tak okrutnie?...

Hamlet: Okrutnie? Czyżby mniej okrutne było zabójstwo króla i ślub z jego bratem?

Królowa: Zabójstwo króla?

Hamlet: Tak, dobrze słyszałaś.*

Jest pewne, że Gertruda wiedziała o zabójstwie króla, swego pierwszego męża. Udawała, że nie wie.

Wiele przemawia za tym, że brała nawet pośredni udział w zamachu na jego życie. Dlaczego, co ją skłoniło do uczestnictwa w mężobójstwie? Była królową, matką królewicza i następcy tronu, jakie nadzieje i pragnienia wiązała z królewskim bratem, swoim szwagrem? Syn mówi do niej:

Czy jesteś owcą, która z górskich pastwisk

Bezmyślnie zbiega na grząskie mokradła?

Skąd ta ślepotą? To przecież nie miłość,

Bo w twoim wieku gorąca krew stygnie

I serce słucha nakazów rozumu...

A jednak nie stygnie. Rozumie to, chcąc nie chcąc, sam Hamlet.

* Ten i dalsze cytaty z *Hamleta* pochodzą z przekładu Stanisława Barańczaka.

*Jak widać,
nawet szron może zapłonąć, a rozum
Stać się rajfurem żądy.*

Królowa wybucha:

Dość Hamlecie.

Zmuszasz mnie, abym zajrzała w głębię własnej

Duszy i widzę tam szkaradne plamy:

Ich czerni nic nie zmyje.

Na co Hamlet ze zdwojoną furią:

Tak, to brud

Przepoconego, plugawego łóża,

To brud zepsucia, pieścizna na śmietniku,

Miłości w chlewie...

Trudno (ciągnął Goffredo) nie zauważyć, że przez *Hamleta* przemawiała zazdrość seksualna, że fizycznie przeżywał jej wiarołomstwo, jakby chciał krzyknąć: „Możesz należeć tylko do mojego ojca, albo do mnie!” Wraca w nim ciągle rozjątrzenie zdradzonego kochanka (a nie syna).

Pewnie król znowu zwabi cię do łóżka,

Nazwie cię myszką, uszczypnie w policzek,

Oślni cię obłeśnym pocałunkiem

Albo obmaca paluchami pierś...

Historia z Ofelią była, zdaniem Goffreda, dodatkowym dowodem erotycznego odrętwienia *Hamleta* wobec wszystkich kobiet, z wyjątkiem matki. Przecież nie można nie dostrzec składnika okrucieństwa, podświadomej chęci unicestwienia, zabójstwa wręcz, w stosunku *Hamleta* do Ofelii.

Pozostaje pytanie, czy uświadamiała to sobie Gertruda. Z początku nie; potem otworzyła szeroko oczy; z przerażenia i przy wtórze gwałtownego bicia serca. „Nie jest bynajmniej wykluczone (zamknął swój szkic Goffredo), że gdyby Szekspir wyrzekł się był elżbietańskiej reguły parady trupów przed ostatecznym zapadnięciem kurtyny, Gertruda odkryłaby największą, choć grzeszną, miłość swego życia.”

Sierpień 1965 okazał się moim ostatnim miesiącem piemontckim. Przyjechałem niechętnie, na wyraźne naleganie żony, w pociągu już przewidując stan przesylenia. Bywa tak, że niespodzianie ale i nieodparcie zamyka się pewien rozdział naszego życia. Nie wiadomo na ogół dokładnie z jakiej przyczyny, wiadomo tylko że dalej ciągnąć nie można. I trzeba wtedy skapitulować, nie stawiając zbyt długo oporu.

Przyjechałem tak zmęczony wykańczaniem terminowych prac w Neapolu, że pierwszy tydzień wakacji w Pollone stał się rzadko i na krótko przerywanym snem. W drugim wybie-rałem się rano na kilkugodzinne wycieczki: zbrocze nad naszym domem, w drodze ku szczytowi Mucrone, obfitowało w łąki, zagajniki i, co najważniejsze, rwące strumienie, w których niekiedy powstawały skalne wanny. Tam zatrzymywałem się, to wskazując na kilka sekund do lodowatej wody, to prze-siadując cierpliwie z wędką aż jakiś nieostrożny pstrąg decy-dował się trącić przynętę na haczyku. Od dzieciństwa byłem zafascynowany nałogiem wędkarstwa, potrafiłem godziny spędzać wpatrzony w nieruchomy spławik.

Wypoczęty wreszcie, choć znudzony i zubożniony, postanowiłem sam odwiedzić raz jeszcze, na pożegnanie, Bagneri. W martwej wiosce proces dogorywania posunął się, w ciągu minionych lat, bardzo daleko ku ostatecznej śmierci. Przy życiu pozostały już tylko trzy osoby, z trzynastu, które zastaliśmy tam poprzednim razem. Siedziały na ławce pod rzędem domów, całkowicie teraz zrujnowanych. Bardzo stary chłop, który to drzemał to otwierał zmęczone, przekrwawione oczy, i dwie młodsze od niego kobiety. Moje powitanie utonęło w milczeniu. A gdy pozostanie tylko jedna? Będzie do ostatniego tchnienia wpatrywać się w „tamtą stronę”? Kto ją pochowa? Ksiądz wyruszy z Sordevolo na cały dzień marszu? Kto go zawiadomi?

Szedłem wolno z Bagneri, planując przyspieszony wyjazd do Neapolu. Ale w domu znalazłem wiadomość, że Goffredo i Mirella wrócili do Susy z podróży do Hiszpanii. To była deska ratunku. Przynajmniej miła Susa...

Oboje, Goffredo i Mirella, byli podnieceni. Szczególnie Goffredo, który nie zwracając większej uwagi na nasz przyjazd, powtarzał do siebie: „Miałem rację, zabrakło mi uporu,

teraz za późno na powtórny redakcję.” I do nas: „Odgrzewana potrawa zalatuje zawsze spalenizną.” Brzmiało to zagadkowo, dopiero wrzucenie teczki „Materiałów do Hamleta piemontckiego” za rząd książek na najwyższej półce biblioteki uświadomiło mi, że stało się coś nieoczekiwanego.

Teresa Maldorno i jej syn Bruno wyjechali razem z Castel Piemontese w nieznanym kierunku. Tyle tylko potrafiła odpowiedzieć na pytania ich wspólna służąca, rumieniąca się na przemian i blednąca, mówiąca naraz głosem podobnym do zająkanego bełkotu. Rzecz nabrała w Susie charakteru małej, plotkarskiej sensacji. Co do nas, odłożyliśmy powrót do Pollone.

W parę dni po *Ferragosto*, kulminacji sierpnia, rozeszła się błyskawicznie wiadomość, że w Villa Maldorno otworzyły się rano wszystkie okna, jej właściciele zeszli w południe do ogrodu. Wypytywana znowu służąca potwierdziła, że „państwo przyjechali nocnym pociągiem”. Goffredo uśmiechał się tajemniczo, uśmiechem człowieka, który zawczasu odgadywał czy przeczuwał bieg wypadków.

Dawniej zaglądaliśmy na zamiejskich spacerach do willi, dzięki odstępom między drzewami, w sposób nie urągający regułom dyskrecji; w sposób najzupełniej naturalny, jak zagląda się mimochodem do mieszkań wietrzonych na partarach kamienic. W nowych okolicznościach zagłądanie stało się podglądaniem. Tak właśnie, w przeddzień opuszczenia Susy, staliśmy w czwórce na skraju willi w Castel Piemontese, dobrze widząc ogród, gdy mało było prawdopodobne by nas dojrzano z ogrodu. Teresa siedziała w fotelu blisko drzwi willi. Ślady dawnej urody, ślady bogate i niezwykle w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, kazały wierzyć z daleka, że oszczędzał ją wciąż czas. To raczej jej syn postarzał się widocznie. Pochylił nad nią siwą głowę, słuchał tego co opowiadała, od czasu do czasu otaczał ją czule ramieniem.

Tu kończy się Hamlet piemontcki w *moich* wspomnieniach. Nie ulegnę pokusom rozkołysania wyobraźni na tropach tej skażonej miłości. Zrobi to może mój przyjaciel z Susy podczas kolejnego „kryzysu powieści” i jej „tematyki”.

W roku 1985 Teresa straciła władzę w nogach; aż do śmierci, w dziesięć lat później, syn popychał wolno na spacerach jej inwalidzki wózek. Wyglądali oboje (donosił w

liście Goffredo) tak, jakby poznali wreszcie, po tylu złych, zatrutych latach, sekret szczęścia doskonałego. Mogliby (wraz z autorem) powiedzieć za królewiczem duńskim w momencie agonii:

*Wstrzymaj się chwilę przed bramami niebios
I wciągnij w płuca jeszcze parę razy
Ostre powietrze okrutnego świata...*

Czerwiec 1995

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Wiersze

Aleksander IWANOW

Zadrzała szyba, zgęstniał mrok
I płomień świecy się pochylił –
To na mnie swój skierował wzrok
Tajemny mocodawca chwili.

On serce mi zamienił w słuch,
Myśl za ulotnym wysłał dymem
Tam, gdzie fantazji dumny duch
Szybuje nad nieznanym rymem

Aleksander IWANOW
(przełożył Ziemowit Fedeki)

Adam LIZAKOWSKI

JADĄC SAMOCHODEM DO PRACY

Jadąc samochodem do pracy
w radiu usłyszałem informacje
o ponad 300 zgonach z powodu upałów
co robić, co robić – myślałem nerwowo
nic – odpowiedział mój wewnętrzny głos
musisz mieć umysł zimny, serce z lodu
upał silniejszy jest od
burmistrza i rady miejskiej
demokratów i kościoła

nic nie zrobisz
upał – dwudziestoletni młodzieniec
o ustach czerwonych od malin lub ognia
czarnych oczach jak dwa węgle
i włosach słomianych jak płomień
zapiera dech, wstrzymuje tętno
zatrzymuje bicie serca, całuje do utraty
przytomności, następnie
zostawia swe ofiary z szeroko otwartymi oczami
z poblakłą twarzą
wychodzi przez niedomknięte okno
dziurkę od klucza
bez poprawiania krawatu czy włosów

Lipiec 1995, Chicago

Adam LIZAKOWSKI

Andrzej SŁOMIANOWSKI

GENESIS

Józefowi Baranowi

Nicość trwała
całą wieczność
Była starsza
niż wszystko

Nudziła się
śmiertelnie
(A co
miała robić?)
W końcu
powiedziała
Niech się stanie
coś

Zamknęła oczy

Błysnęło

Huknęło

I stało się

Coś

przenicowało

nicość

na drugą stronę

Andrzej SŁOMIANOWSKI

Kraj

**Kwaśniewski: 51,72%,
Wałęsa: 48,28%**

Aby uchwycić sens wyboru dokonanego w głosowaniu 19 listopada, warto przytoczyć (za Leną Kolarską-Bobińską, dyrektorem CBOS) takie oto porównanie. Wśród osób zdecydowanych, przed drugą turą, głosować na Wałęsę akceptowało go tylko 58% a 37% deklarowało, że motywem ich decyzji jest głównie chęć niedopuszczenia do wyboru Kwaśniewskiego. Natomiast Kwaśniewskiego akceptowało aż 83% tych, którzy szykowali się na niego głosować, podczas gdy do przewagi motywacji negatywnej przyznało się 14%. Oznacza to, że o wiele więcej polskich wyborców chciało, aby ich prezydentem został Kwaśniewski niż Wałęsa; w tym sensie ostateczny wynik jest poniekąd mylący, a głosowanie potwierdziło faktyczną degrengoladę Lecha Wałęsy w sympatiach Polaków.

O degrengoladzie tej wiadomo było od dawna, ale przebieg kampanii i stały, od czerwca, awans Wałęsy w sondażach przedwyborczych zdawały się świadczyć o odwróceniu tendencji. Tymczasem Wałęsa jest nadal nie lubiany i nieakceptowany i w porównaniu z bardzo złymi notowaniami z wiosny zyskał niewiele. Był tylko lepszy od innych rywali Kwaśniewskiego.

Tymczasem Kwaśniewski, któremu niechętni socjologowie i publicyści coraz to przepowiadali, że już wyczerpał „rezervę poparcia” – kolejno po zdobyciu 20%, 25% i 30% wskazań w sondażach – nadal pozyskiwał, jak widać, zwolenników. Jego wynik jest bezspornym, wielkim sukcesem w każdym rachunku, zarówno w porównaniu z Cimoszewiczem w wyborach prezydenckich 1990, jak w zestawieniu z SLD w wyborach parlamentarnych 1993.

Przed pierwszą turą, kiedy w szrankach było 17 kandydatów, negatywny charakter kampanii nie rzucał się jeszcze w oczy. Najdobitniejszy jego przejaw stanowiła bodajże „Inicjatywa 3/4” Jana Rokity z Unii Wolności – 3/4 miało znaczyć, że Kwaśniewski ma poparcie co najwyżej pozostałej 1/4 elektoratu. Ostatnie dwa tygodnie przyniosły natomiast prawdziwą erupcję negatywnej propagandy.

Jej wcale nie najważniejszą dla wyborców, choć pasjonującą dla sztabów i gazet częścią, były tzw. numery: akcje rodziny Kwaśniewskich, podatki Wałęsy, brak dyplomu Kwaśniewskiego, recydywista zbierający pieniądze na fundusz wyborczy prezydenta Wałęsy... Gołym okiem można było zauważyć w przygotowaniu tych numerów długie pałki policji politycznej bądź pokrętną pomysłowość Jerzego Urbana, co nie wyklucza prawdziwości zarzutów. Czytelnik obeznany z praktykami demokracji zachodnich dostrzegał natomiast, że polscy politycy, nawet ci uchodzący za najsprytniejszych jak Kwaśniewski, wykazali się, przy okazji, nie tylko bezradnością i skłonnością do kręactwa, ale zwłaszcza nieostrożnością, nieobeznaniem z regułami demokratycznej obyczajowości, bądź, gdy ktoś woli, demokratycznej hipokryzji. Są jeszcze najzwyczajniej nie przyzwyczajeni, że im się patrzy na ręce. Zarazem w atmosferze tej „bójki na numery” była jakaś zgrzebność: w bardziej kulturalnych warunkach kandydaci sami i ich sztaby trzymaliby się z dala od dintojry nad kontrkandydatem, od brudnej roboty są najmici. Ale cieszymy się taką demokracją, jaką mamy. Tym bardziej, że „numery” najwyraźniej nie wypaliły.

Prawdziwym negatywem kampanii nie było grzebanie „w brudnej bieliźnie” w koszach z naprzeciwnika. Było tym natomiast koncentrowanie się na powodach, dla których wyborca nie powinien głosować na rywala, zamiast powodów, dla których powinien by powierzyć losy kraju właśnie drugiej stronie. I trzeba stwierdzić fakt całkiem wyraźnie: negatywizm był po obu stronach, ale w porównywalnych dawkach i nie porównywalnym zasięgu. Kwaśniewski atakował Wałęsę jako rzecznika dzielenia społeczeństwa według dawnych linii konfliktu, a także poddawał krytyce styl jego prezydentury, natomiast starał się nie odrzucać ani deklarowanych przez Wałęsę wartości, ani sił zgłaszających poparcie dla prezydenta. Wałęsa i jego zwolennicy

atakowali natomiast frontalnie i bez pardonu zarówno samego kontrkandydata jak jego zaplecze polityczne prezentowali najchętniej jako „pajęczyna z nomenklatury”. Przy tym negacją obejmowano zarówno to, co Kwaśniewski głosił, jak i to czego nie głosił, zarzucając mu jednym tchem, że chce źle i głosi zło oraz że kłamie, a prawdziwe intencje ukrywa. Dotyczyło to np. takich dziedzin jak: bezpieczeństwo kraju, przynależność do sojuszy zachodnich i stosunki z Rosją, stosunki z Kościołem i stosunek do religii, samorząd, centralizacja władzy, podtrzymywanie etatyzmu itd. Kwintensencję tych argumentów tak ujął Jerzy Turowicz (*Gazeta Wyborcza*, 17.XI.95): „Mimo to (tzn. mimo negatywnej oceny prezydentury Wałęsy – K.W.) 19 listopada w poczucie obywatelskiej odpowiedzialności będę głosował na Lecha Wałęsę, bowiem zwycięstwo jego przeciwnika uważałbym za nieszczęście. Nie ma to nic wspólnego z osobą Aleksandra Kwaśniewskiego. Chodzi tylko o to, że jego ewentualne zwycięstwo oznaczałoby, że prezydentura, rząd i parlament, a więc tak władza wykonawcza, jak i ustawodawcza, znalazłyby się w rękach spadkobierców obalonego sześć lat temu reżimu (...). Spadkobierców i kontynuatorów (...). Zwycięstwo Kwaśniewskiego oznaczałoby zwolnienie tempa niezbędnej reformy gospodarczej, zahamowanie również niezbędnego procesu decentralizacji władzy, dalszy rozwój niebezpiecznych powiązań na styku gospodarki i polityki, arogancję dawnej nomenklatury oraz zagrożenie procesu integracji Polski ze strukturami europejskimi. Oznaczałoby to – wbrew stanowisku wszystkich ludzi odpowiedzialnych i krytycznie myślących – uznanie ciągłości między nie rozliczonym do końca za swe zbrodnie PRL-em a III Rzeczpospolitą, ciągłością rzekomo tylko przerwanej nawiasem ‘Solidarności’ i krótkiego okresu rządów postsolidarnościowych”.

Z obfitego strumienia deklaracji rozmaitych grup i osobistości oznajmiających, że będą (na ogół – „mimo wszystko”) głosować na Lecha Wałęsę, wybrałem słowa Jerzego Turowicza, któremu zajadłość i zaślepienie są jak najdalej. A jednak jego argumentacja była w gruncie rzeczy bardzo podobna do tej, którą posługiwali się politycy prawicy na pewno nie kultywujący cnoty umiaru. (Tylko dla ilustracji ze wstępniaka pt. „Polska jest Ojczyzną” w *Słowo – Dziennik*

Katolicki z 17-19.XI.95, pióra Jerzego Marlewskiego: „I tura wyborów prezydenckich doprowadziła do wyboru i decyzji na miarę tych wydarzeń, które symbolizują daty 11 listopada 1918 i 15 sierpnia 1920 (...). Od nas, obywateli RP, zależy, czy Polska będzie Ojczyzną czy tylko regionem Europy, w którym obce prawa i rządy będą wydzielać ‘kartki’ na wolność tym, którzy uznają dyktat zniewolenia ideologią i polityką antychrześcijańską i antypolską (...). Ja chcę mieć Ojczyznę tę samą, która była Ojczyzną moich rodaków tysiąc czy pięćset lat temu (...) będę głosować tak jak na katolika i Polaka przysłało: tak by Ojczyzny nam nie ubywało. Wybrałem już dawno i teraz przy nazwisku Lecha Wałęsy wybór ten potwierdzę”.

Zdumiewająca, zaiste, jednomyślność jeśli zważyć, że ponad połowa głosujących Polaków była najwidoczniej przeciwnego zdania. Czy rzeczywiście połowa kraju 19 listopada oślepla i przestała dostrzegać rzeczy najpierwsze? Czy nie byłoby rozsądniej uznać, że Polacy nie sądzili na ogół, że wybierają między PRL-em i wolnością, lecz kierowali się innymi, mniej dramatycznymi i bardziej praktycznymi względami?

Programy polityczne Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego, w tym zakresie w jakim były wygłoszone, różniły się w sposób istotny tylko w dwóch punktach: konstytucyjnej roli prezydenta, którą Wałęsa chciał wydatnie wzmocnić, a Kwaśniewski utrzymać, oraz relacji państwo-Kościół.

W tym drugim punkcie różnice zostały bardzo uwydatnione w toku kampanii i w czasie wieczoru wyborczego w publicznej TV. Sekretarz episkopatu, bp Pieronek, skarżył się nawet, że Kwaśniewski okazał „wrogość” wobec Kościoła. Jest rzeczywiście prawdą, że kandydat SLD, który jako przewodniczący komisji konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego długo zabiegał o kompromisową formułę dotyczącą relacji między państwem i Kościołem i ostatecznie został przez kierownictwo Kościoła zdezwuowany i ośmieszony – teraz „utwardził” swoje stanowisko. Aby zadowolić swój elektorat afiszował nawet, że się „nie boi biskupów”. Ale prawdą jest przecież, że hierarchia zaangażowała się w tę kampanię w sposób wyjątkowo jątrzący. List episkopatu z sierpnia zawierał charakterystykę, jakim przyszły elekt być powinien, tak sformułowaną, aby wykluczała Kwaśniewskiego. W listopa-

dzie bardzo wielu biskupów zaangażowało siebie i swoje diecezje bezpośrednio. „Polacy winni głosować na Polaka, katolicy na katolika, wierzący na tego, który uznaje wartości religijne i moralne” – pisał w liście pasterskim przed drugą turą abp szczecińsko-kamieński, Marian Przykucki, a był to tekst niejako modelowy. W przeddzień II tury (mimo ciszy wyborczej) odprawiano wszędzie na polecenie Prymasa msze w intencji wyboru Lecha Wałęsy – i wygłaszano odpowiednie kazania, podobnie w niedzielę, tyle że w tym dniu prymas prosił o „unikanie agitacyjnego tonu”. Nic dziwnego, że w tych warunkach hierarchia Kościoła jest obok Lecha Wałęsy drugim wielkim przegrywającym wyborczej rozgrywki. Co gorsza, rzesznicy katolicyzmu otwartego, bliscy Unii Wolności, towarzyszyli tym razem dość bezkrytycznie kampanii negatywnej rozpętanej przed decydującą turą wyborów, toteż poczucie klęski i wręcz katastrofy dotyczy również tej inteligencji katolickiej, która zazwyczaj starała się miarkować swoich hierarchów.

Zważywszy natomiast, że Kwaśniewski najlepsze rezultaty uzyskał na wsi i w małych miastach (w przekroju socjalnym: wśród bezrobotnych), to znaczy tam, gdzie katolicyzm tradycyjny i parafialny jest najmocniejszy, można przypuszczać, iż środowiska ludowe pozostały obojętne wobec kościelnej kampanii politycznej. I oto zapewne z najprostszego powodu: ktokolwiek zna rzeczywistość tzw. Polski powiatowej, na pewno nie może dać wiary nawet papieżowi, iż Kościół, religia czy katolicyzm są w Polsce dyskryminowane pod rządami Oleksego.

Zaprzysiężenie nowego prezydenta nastąpić ma 23 grudnia.

Przez ten miesiąc powinny się już zarysować kontury nowej sytuacji. Przegrywający zaczęną się oczywiście szykować do rewanżu w wyborach parlamentarnych we wrześniu 1997 (wcześniej mogłyby być one rozpisane tylko, gdyby PSL wyszło z koalicji, to jest teraz zupełnie nieprawdopodobne; nb. Kwaśniewski uzyskał 2/3 głosów elektoratu PSL), a pierwszą wielką próbą sił będzie referendum konstytucyjne wyznaczone na 18 lutego. Referendum z pytaniem: „Czy chcesz powszechnego uwłaszczenia?” może się natomiast tylko przyczynić do kolejnego skłócenia. Jaka będzie strategia tych

przygotowań? Na pewno nie jednolita, gdyż tzw. zjednoczenie prawicy znów się przenosi za horyzont, a pierwszym dla niej pytaniem będzie: zjednoczenie wokół kogo? Wałęsa przegrywający jest doświadczeniem zupełnie nowym, i dla niego samego, i dla jego otoczenia politycznego. Tymczasem rysuje się już wyraźnie sylwetka jednego przynajmniej konkurenta: Jan Olszewski jako jedyny na prawicy odniósł w tych wyborach względny sukces, jego 7% głosów w pierwszej turze pozwala mu liczyć na mandaty parlamentarne w 1997 roku. Aby jednak odegrać większą rolę na prawicy ten radykał będzie musiał dolać trochę wody do swego wina, bo retoryki prawego skrzydła jego koalicji, tego które jest za prawą ścianą – Kurskiego, Macierewicza, Parysa – prawica bardziej tradycyjna zupełnie nie wytrzymuje, nawet po klęsce 19 listopada.

Najważniejsze będą jednak pierwsze kroki nowego prezydenta. Aleksander Kwaśniewski, giętki, pragmatyczny polityk o wysportowanej sylwetce będzie mógł dopiero teraz okazać swą rzeczywistą miarę. W przeciwieństwie do Wałęsy, który był zawsze „Zosią samosią” nawet otoczony doradcami, Kwaśniewski od zarania jest przyzwyczajony do pracy w zespole. Problemem teraz będzie jednak czy zdoła skonstruować prawdziwy zespół. Oczywiście nie chodzi tutaj o umiejętność zaangażowania do kancelarii prezydenckiej postaci pokazowych. Zostając prezydentem Aleksander Kwaśniewski przestaje być działaczem SLD i nie powinna to być tylko formalność. Tu jednak zaczynają się schody. Prezydent-elekt wygrał drugą turę pod hasłem: „Wspólna Polska” i było ono też wypisane na trybunie, z której wygłaszał swoje pierwsze oświadczenie publiczne. To hasło jest bezpośrednią repliką na dominujące wśród opozycji przeświadczenie, że Polska wychodzi z wyborów 19 listopada głęboko skonfliktowana, głęboko podzielona i jedyne czego można się spodziewać, to wielkiej rekonkwisty ze strony przegranych. Ustępujący prezydent Wałęsa od razu na swojej pierwszej konferencji prasowej, w poniedziałek 20 listopada, niedwuznacznie uczynił to przeświadczenie wytyczną swej strategii osobistej w sposób bardzo brutalny. Uznał, że 19 listopada dostał policzek i że musi oddać jak w starym testamencie, tak żeby „szczęka opadła”. A z nowym prezydentem nie zamierza się spotkać ani niczego mu przekazywać. Dla przyszłości politycznej Wałęsy

jest oczywiście ważne, by sklecony na potrzeby wyborcze obóz utrzymać wokół siebie, a w tym celu przydatna jest gotowość i zapał bojowy. Ale wskazany problem jaki charakter ma polaryzacja, uwidoczniła 19 listopada jest realny również i bez Wałęsy. Najkrócej mówiąc: czy jest to podział typu zachodniego na dwa obozy politycznie wymieniające się okresowo u władzy (*alternance*) czy też rozbitcie na dwie Polski („czyja jest Polska?” – pytanie Jana Olszewskiego, który jednak ostatnio zaczął mówić: „Jaka jest Polska?”). Innymi słowy jest tu kwestia zasobu wspólnych wartości oraz zakresu akceptowanych i wspieranych przez obie strony struktur państwowych. Otóż należy mieć na uwadze, że wprowadzie wszyscy głoszą poparcie dla demokracji, wolnego rynku i praw człowieka i zgadzają się, że nie ma powrotu do PRL, ale struktury nowej państwowości polskiej nie są ukończone – by wymienić konstytucję i sieć podstawowych przynależności międzynarodowych (Unia Europejska, NATO). Bieżące posunięcia polityczne, dotyczące tych struktur, mają więc zasadnicze znaczenie dla kwestii czy wspólne wartości są rzeczywiście wspólne i czy obyczaj demokratycznej wymiany u władzy, bez trzęsień ziemi, można uznać za utrwalony.

W momencie kiedy to piszę są już pierwsze sygnały, że nowy prezydent będzie musiał dusić w zarodku rozmaite pokusy triumfalizmu – w rządzie, we frakcji poselskiej i w aktywie SLD – o które teraz nie trudno. Czy zechce i czy potrafi? Zwłaszcza, że odchodząca ekipa zrobi wiele, żeby udaremnić strategię wspólnej Polski, szczególnie jako ponadpartyjnej polityki kadrowej.

Dymisje zgłoszone natychmiast przez „prezydenckich” ministrów Okońskiego, Milczanowskiego i Bartoszewskiego (i oczywiście Goryszewskiego z Biura Bezpieczeństwa Narodowego) można jeszcze uznać za normalne, ale Wałęsa zapowiada, że „na tym się nie skończy!”. Jak gdyby chodziło o wytworzenie pustki wokół elekta i zmuszenie go do partyjnej polityki kadrowej! Im gorzej, tym lepiej?

20 listopada 1995

Krzysztof WOLICKI

Widziane z i czytane w Brukseli

„THE DAY AFTER...”

Jak starsi ludzie pamiętają, w amerykańskim *political-fiction*, filmie pod tym tytułem, chodziło o wizję świata w 24 godziny po wybuchu bomby atomowej. Wiele lat po finansowej klapie tego złego filmu, jego tytuł (reszta i słusznie uległa zapomnieniu) robi nareszcie karierę. Okazał się jak znalazł. Podwójnie. Po pierwsze, aby wyrazić wzruszenie, żal, a nawet, gdzieś tam, wstrząs prasy światowej wobec przegranej Lecha Wałęsy. I po drugie, aby uzasadnić krótki dystans w pisaniu tego artykułu: autor miał dokładnie 24 godziny na przejrzenie, wynotowanie, streszczenie i napisanie tego przeglądu wielkiej prasy światowej na temat upadku „Wielkiego Elektryka”.

ROBIN HOOD W PANTEONIE

Ostatnie dwa słowa nie znalazły się tu przypadkowo: postawieni w owej, trudnej, zaskakującej dla nich sytuacji, najwięksi nawet komentatorzy woleli powoływać się na „Historię” oraz uciekać się do synonimów, skrótów, odwoływać się do porównań zamiast – z braku czasu, a nieraz z braku kompetencji – ryzykować próbę poważniejszej analizy.

Sygnał dał Adam Michnik, naturalnie nie z braku kompetencji, a w poszukiwaniu skrótów zdolnych trafić do zachodniego czytelnika. W błyskawicznym wywiadzie dla brukselskiego dziennika *Le Soir*, redaktor naczelny *Gazety Wyborczej* odwołał się do historii Anglii. Tłumacząc zachodnim odbiorcom epopeję Wałęsy, Michnik określił go jako „Robin Hood’a na Downing Street”, a analizując jego porażkę porównał go do „Churchilla, który wygrał wielką wojnę, a przegrał wybory”.

Z kolei *Le Monde* postanowił odwołać się do (nie wdzięcznej) Historii, którą zresztą przywoływano bez przerwy, i to przez wielkie H, aby wykazać, że Wałęsa stała się krzywdą. „Polska bez Wałęsy”, człowieka, który wyrwał pierwszą cegłę z muru berlińskiego, oznajmił najpoważniejszy dziennik francuski w tytule wstępniaka, dodając, że zamknięty został wielki rozdział w historii Europy i że taka (bez Wałęsy) Polska, to koniec całej epoki; Wałęsa, który ustąpić musiał miejsca post-komunistycznemu aparaczkowi, zostanie w Panteonie (znowu) Historii jako symbol nadziei nie tylko Polaków, ale tych wszystkich na wschodzie, którzy sprzeciwiali się komunistycznemu młochowi.

Gdyby jednak dać spokój Historii (przez wiekie H) i wyjść poza sugestywne skróty, można podjąć próbę przedstawienia w – z konieczności krótkiej – syntezie i bez przywoływania poszczególnych tytułów, poglądów zachodnich na klęskę Wałęsy przedstawioną nieraz jako „trzęsienie ziemi w Polsce” (to też jest cytat). W kilku punktach. W kilku, dla ułatwienia syntezy, „końcach”.

a) Koniec charyzmy

Po pierwsze więc, na przykładzie Wałęsy świat doszedł do wniosku, że nastąpił chyba koniec epoki człowieka opatrnościowego. Ogromna i widoczna wszędzie sympatia dla Wałęsy nie uchroniła go od otrzeźwiającej krytyki. Tak więc, zdaniem większości specjalnych wysłanników do Warszawy, odmiennie niż Mandela czy Havel, Wałęsa okazał się niezdolny do przekształcenia się z rewolucyjnego przywódcy w instytucjonalnego polityka, udowodnił, że łatwiej mu było kierować rewolucją niż administrować państwem.

Jego charyzma była niezbędna aby położyć dyktaturę na łopatkę (znowu cytat), ale okazała się niewystarczająca aby móc pokierować wielkim, nowoczesnym państwem, była konieczna dla wyprowadzenia narodu z niewoli, ale okazała się nieprzydatna, a nawet szkodliwa, przy budowie państwa mającego wkroczyć w XXI wiek. Według obserwatorów zachodnich, całą swoją energię, która mu pozwoliła niszczyć komunizm, Wałęsa jako prezydent użył najpierw do zniszcze-

nia Solidarności a potem do niszczenia sześciu rządów, jakie przewinęły się przez jego kadencję.

Ogólny i uzasadniony podziw świata dla jego roli w wyzwoleniu Polski z komunizmu Wałęsa, niesłusznie i nie-ostrożnie brał za uznanie dla swej mądrości politycznej. Jego humor, folklor i urok (to cytat) rozwiały się w klimacie narzuconej przez niego polityzacji i brutalizacji dnia codziennego. To nieporozumienie mogło tylko jeszcze bardziej uwydatnić ujemne cechy jego charakteru: pychę i zarozumiałość, które doprowadziły w konsekwencji do chaosu w kraju i upadku jego, prezydenta.

Rozwód Wałęsy z „historycznymi” jego doradcami, brak (z niewielkimi wyjątkami) w jego otoczeniu ludzi znanych na Zachodzie z ich roli w pierwszej „Solidarności” czy w pierwszych rządach demokratycznych, z ich przywiązania do demokracji i prozachodnich opcji, nie ułatwiał rozeznania w sytuacji. Do Polski na wybory przyjechało wielu „weteranów” i dziennikarskich przyjaciół demokratycznej Polski. Swoje dawne kontakty odnajdywali wszędzie, tylko nie w otoczeniu Wałęsy. „Wałęsa był sam – zauważył jeden z korespondentów – przypominał kiczowate opowieści o losie osamotnionego przywódcy”. Do jednego z „weteranów” Wałęsa miał nawet pretensję, że „Pan bywa tylko u moich przeciwników, a nie u mnie”. Dziennikarz musiał zwrócić uwagę Wałęsy, że ci wszyscy przeciwnicy do niedawna byli przyjaciółmi prezydenta.

Korespondenci zachodni, dobrze znający mediatyczny mechanizm i zasięg telewizji, a którzy w Warszawie oglądać mogli pierwszą, śmiertelną według nich debatę (żeby to tak łagodnie określić) Wałęsy z Kwaśniewskim, doszli do jedno-myślnego wniosku: król był nagi.

b) Koniec widma

Po drugie, nastąpił koniec kwarantanny postkomunistów. A tym bardziej zjawy, chmury, groźby (niepotrzebne skreślić) komunizmu. Żaden dziennik zachodni nie oparł się naturalnie pokusie cytowania „czerwonej pajęczyny”, „republiki skorumpowanych towarzyszy” itp. ale wszyscy się

zgodzili, że alarm ogłoszony przez Wałęsę: „Uwaga, czerwony nadchodzi” polskich wyborców nie przekonał. Ktoś słusznie zauważył, że byli komuniści wcale powrotu komunizmu nie chcą, bo wiedzą, najlepiej, że im się to nie opłaci, że starsi ludzie wiedzą, iż o powrocie komunizmu mowy być nie może, i że dla młodych cała ta sprawa mieści się w kategoriach prehistorii. Można tego żałować, podobnie jak trzeba już nie żałować a rozpaczać, że i pre, jak i historii w ogóle, źle albo wcale się młodych nie uczy, ale ogólne wrażenie jest takie, że obsesyjne wręcz i anachroniczne, 150 lat po Marksie i sześć lat po upadku muru, straszenie przez Wałęsę widmem komunizmu, nie trafiło do wyborców. Był to błąd metodologiczny i psychologiczny. Część średniego, nie mówiąc już o starszym pokoleniu, tęskni do małej choćby stabilizacji, a ta kojarzy się z „tamtymi” czasami, a młodzi uznali, zresztą chyba słusznie (zwłaszcza po debacie telewizyjnej), że wałęsowska napastliwa i prymitywna (bo przecież mogła być inna) retoryka antykomunistyczna, stanowić miała „temat zastępczy”, substytut dyskusji na prawdziwie ważne, zwłaszcza dla nich, tematy. Dialogu z młodym narodem właściwie nie było, albo, jeżeli był, to bez Wałęsy. Kwaśniewski to zrozumiał. Reszta jest znana.

c) Koniec stereotypu

Po trzecie, nastąpił (tu chyba moi koledzy nieco przesadzili w optymizmie) koniec mitycznej zbitki „Polak-katolik”. W tych wyborach, według zgodnej opinii, wielkim zwycięzcą jest Kwaśniewski, ale wielkim przegranym jest nie Wałęsa (to nie koniec jego obecności w polityce), a Kościół katolicki. Kościół, ku zdziwieniu obserwatorów, nie potrafił wysnuć żadnych wniosków z sukcesu lewicy postkomunistycznej w wyborach sejmowych we wrześniu 1993 roku. Kościół katolicki, który odegrał tak zasadniczą rolę w latach komunizmu w Polsce, nie potrafił znaleźć sobie miejsca w pluralistycznej demokracji, nie potrafił dostosować się do warunków powstawania i funkcjonowania społeczeństwa obywatelskiego, społeczeństwa, jak ktoś zauważył, „dorosłego”.

Prasa światowa śledziła, z rozmaitym stopniem zrozumienia, podwójne i bardzo ryzykowne kościelne *crescendo* w poparciu dla Wałęsy. Z jednej strony chodzi tu o okopanie się Kościoła na najbardziej reakcyjnych pozycjach i to w sytuacjach najbardziej żenujących. Wyklęcie filmu „Ksiądz”, potępienie pierwszej próby udostępnienia polskiej młodzieży poważnego podręcznika seksuologicznego, nie mówiąc już o sprawie aborcji i konkordatu, kompromitująca afera ks. Jankowskiego, pazerność na dobra doczesne, no i nacisk na konkordat, to tylko niektóre „sceny z kościelnego polowania” (na czerwone czarownice?) z okresu kampanii wyborczej.

Otóż, i to jest druga strona medalu, taki Kościół identyfikował się całkowicie z Wałęsą, a Wałęsa z nim. Nie chodzi tu o szczegóły „garderobowe” (wzbudzający stale i ciągle jeszcze zdziwienie wizerunek Matki Boskiej w klapie marynarki; czy ktoś może sobie wyobrazić Chiraca lub Clintona z takim znaczkiem w klapie, w telewizji, na wakacjach czy w czasie joggingu np.), ale o pryncypialne stanowisko polityczne. No i oddanie całego arsenału ambony w służbę jednego „neopogańskiego” (*dixit* kardynał Glemp) kandydata. Bezceremonialne, faktyczne wyklęcie Kwaśniewskiego i bezwzględne poparcie Kościoła dla Wałęsy nie przyniosło pożytku ani Wałęsie ani Kościołowi.

Prawdopodobnie stało się wprost przeciwnie. Wizja państwa konfesjonalnego, klerykalnego, obawa przed Kościołem coraz bardziej nachalnie ingerującym w życie prywatne a nawet intymne obywateli, zagoniła wielu wyborców, zwłaszcza młodych (i zwłaszcza kobiet), nawet wierzących i nawet antykomunistycznych, do obozu Kwaśniewskiego. Ponad połowa społeczeństwa polskiego głosowała na kandydata postkomunistycznego napiętnowanego przez Kościół, ale duża część tej ponad połowy głosowała właściwie przede wszystkim za alternatywą wobec klerykalizmu.

Niektórzy już się nawet zastanawiają czy i jaki wpływ porażka Kościoła w Polsce będzie miała na politykę Watykanu? Czyż polski model religijny, uznany za symbol odrodzenia chrześcijaństwa, jego prężności i dynamiki w porównaniu z bezbożnym i ropijącym Zachodem, nie został 19 listopada zdezwuowany?

d) Koniec dogmatu

Po czwarte, padł dogmat reform za wszelką cenę. Nie wiem czy taki dogmat istniał rzeczywiście (może tylko krótko, w pierwszej fazie Balcerowicza), ale na Zachodzie uważa się, że Wałęsa płaci także za identyfikowanie się z polityką, która doprowadziła do niewątpliwej pauperyzacji sporej części społeczeństwa, i do powstania, jak ich nazywa Jerzy Giedroyc, klasy „profitariuszy”, za fiasko fatalnej próby wytłumaczenia narodowi przy pomocy statystyk nieuchronności ogromnych, i z reguły niezrozumiałych, poświęceń. Wiadomo tutaj, naturalnie, że to nie Wałęsa wymyślał te statystyki, ale jego jest wina, iż nie potrafił znaleźć innego argumentu na wytłumaczenie trudności niż stale powtarzaną tezę o odpowiedzialności komunistów.

To, naturalnie, jest w zasadzie argument prawdziwy, ale tylko w zasadzie i częściowo. Po pięciu latach ultra zarozumiałego sprawowania prezydentury, szef dużego państwa nie może sobie wyłącznie przypisywać wszystkich sukcesów, a całej winy za biedę, bezrobocie, zdżiczale aspekty polskiej drogi do kapitalizmu – przypisywać komunistom czy inteligentom. W 1990 roku, postkomuniści uzyskali ok. 10 procent głosów; w 1995 roku ponad 50 procent. To przecież o czymś świadczy. Także o prezydencie. Można, to jasne, żałować, że naród nie ma pamięci, że odbiór trudności dzisiejszych w większym stopniu wpływa na świadomość ludzką (i na decyzje wyborcze) niż wspomnienia lat pogardy, że daje się nabrać (jak sądzą niektórzy) na tanią propagandę i obietnice bez pokrycia, ale takie są pułapki demokracji i taka już jest natura ludzka. Naród tęskni do normalności. Wałęsa ją obiecywał, uczynił z niej nawet swoje główne hasło wyborcze, ale postępował wprost przeciwnie. Jego „wojny na górze” i jego agresywna retoryka nie przekonały narodu, że on akurat potrafi być człowiekiem budowy spokojnej przyszłości. To się natomiast, w dużym stopniu udało jego przeciwnikowi.

II. MOJĘSZ W BELWEDERZE

Szok by za wielki, aby *The Day After*, 24 godziny po „trzęsieniu ziemi” mogły wystarczyć i na żale po Lechu Wałęsie i na dokładniejsze przyjrzenie się postaci Aleksandra Kwaśniewskiego. Zdołano tylko odnotować, że „Kwaśniewski ma bardzo specyficzny („kompleksowy” w oryginale) stosunek do prawdy i do swojej przeszłości”, i że, jak na przywódcę partii, która swoją wiarygodność czerpie z obrony najuboższych i pokrzywdzonych, ma także dość „specyficzny” stosunek do pieniądza.

Zdołano jednak zauważyć, że upadek Wałęsy stwarza w Polsce sytuację nie pozbawioną ryzyka. Skupienie w ręku postkomunistów pełnej puli stanowisk uzasadnia pytanie czy exkomuniści, spadkobiercy – w pewnym sensie – partii, która dokonała w Polsce, i utrzymała ją przez długich kilkadziesiąt lat, brutalnej konfiskaty władzy, potrafią traktować ten swój ponowny „monopol” z umiarem? Nastąpi, naturalnie, „rzut na taśmę”, ruszy nawała dawnych i nowych „towarzyszy” po stanowiska i przywileje z nimi związane. Czy Kwaśniewski potrafi ich przekonać, a może i zmusić, do „samoograniczania” się (paradoks sprawia, że hasło to wymyślono dla zdefiniowania rewolucji solidarnościowej)? No i powstaje pytanie czy jego pragmatyzm, na który stale się powołuje Kwaśniewski („pragmatyk bez kompleksów”, jak zauważył *Le Soir*), wystarczy aby zapobiec hipotezie najgorszej, tej, żeby zacytować szeroko przejętą na Zachodzie formułę Michnika, „zimnej wojny domowej”? Czy starczy mu autorytetu aby poddać ostrej dyscyplinie dawnych „nomenklaturyszczyków” i innych „towarzyszy Szmaciaków” (tutaj mieli ogromne trudności w oddaniu po francusku czy angielsku tego pojęcia), tak aby zapobiec zwyczajnej zemście, i co byłoby katastrofą dla Polski – usuwaniu fachowców.

Czy to wszystko składa się na nowy polski dramat? Nikt tak nie uważa. W sumie, w tym co się stało 19 listopada wszyscy dostrzegają wiele niewiadomych, ale widzą w tym także udany egzamin z demokracji, nową fazę w powstawaniu nowoczesnego pejzażu politycznego w Polsce, gdzie, pewnego dnia, obywatele zaczną się samookreślać i organizować nie

wokół magicznych jednostek czy czcigodnych instytucji (jak Kościół np.) a wokół czytelnych i odpowiedzialnych programów.

Nie ma naturalnie żadnej pewności, że Kwaśniewski okaże się na tej drodze bardziej sprawny i skuteczny niż Wałęsa. Ale, Polacy postanowili, na ich własne ryzyko, ofiarować mu taką szansę.

Należy mu więc życzyć, aby – jak powiedział Michnik w wywiadzie dla *Le Soir* – Kwaśniewski stał się postacią na miarę potrzeb Polski. Sądząc z prasy zachodniej, nie będzie to bardzo trudne. *Le Monde* – to prawda – porównał Wałęsę do de Gaulle'a, który rzucił wyzwanie sowieckiemu Goliatowi w pełni zimnej wojny. Ale angielski *Independent*, nie był gorszy i porównał Kwaśniewskiego do Mojżesza, który wyprowadził polską lewicę z (solidarnościowej zapewne) niewoli. Pod taką opieką, Polacy mogą spać spokojnie. Przynajmniej, według prasy zachodniej.

Pisane w Brukseli 22 listopada 1995.

Leopold UNGER

Z ukosa

17 kandydatów na prezydenta wlało do naszych domów poprzez okna telewizyjnych ekranów. Niektórzy całkiem zgrabnie, inni gramolą się jak złodzieje przyłapani na gorącym uczynku. Niemal wszyscy starają się być grzeczni, wielu radykałom urosła nagle owcza sierść.

W telewizji napuszczono na bidaków dziennikarzy, którym kazano warczeć i kąsać – codziennie w drugim programie było wielkie przesłuchanie kolejnego kandydata. I oto dzień po dniu widzę jak dziennikarze tracą skromność, puszą się i

popisują zagadując na śmierć swoich gości. Polski syndrom pawiego ogona – ci co mają być służącymi, suflerami, a co najwyżej prowokatorami zaczynają otwierać kolorowe ogony. Czasami już nie wiadomo kto kandyduje, czy nie przypadkiem dziennikarz?

A sami kandydaci? Wszyscy oświadczyli, że „zmiany są konieczne”, lecz hasło wyborcze z tego zrobił tylko Kuroń. Na czym jednak te zmiany mają polegać? Ci, którzy zaryzykowali konkrety bajdurzyli, jak Pietrzak, oferując Katowicom szybką kolejkę miejską, która zlikwiduje bezrobocie na Śląsku. Do szczególnych jednak bęćwałów należał Leszek Bubel.

Gorzej, że *Życie Warszawy* wytropiło, że liczne akcje firmy ubezpieczeniowej „Polisa” są własnością żony Kwaśniewskiego i żony premiera Oleksego. To smutne, że władza w tym biednym kraju tak gorliwie korzysta ze swojej pozycji, by wypatrywać źródeł bogacenia się. Czasem jest to poza prawem, zawsze poza dobrym smakiem. Ale doprawdy, ten grzech po równo obarcza wszystkie ekipy, z największymi cnotliwcami z dawnego podziemia włącznie. Przykro mi to pisać, bo rzecz dotyczy też niektórych moich dawnych kolegów z podziemia – może ja im po prostu zazdroszczę?

Ze szczerym smutkiem oglądałem w programie wyborczym znanego satyryka Jana Pietrzaka. Już dawno nie widziałem człowieka równie wypranego z poczucia humoru, jakby go odwirowano w pralce i długo suszono. Był kiedyś oficerem i nagle wszedł w dawną rolę. Bredził coś o niszczeniu Polski i o jakichś „agentach carycy”. Bubel mistyfikuje szarą strefę i drukuje obskuranckie dowcipy, a Pietrzak ma swoich „agentów carycy”, którzy rządzą Polską. Właściwie wszyscy kandydaci drugiego sortu snują wizję jakiegoś spisku, co pęta Polskę od środka i grozi jej od zewnątrz.

Najgroźniej ten spiszek zwisa spod zasępionych brwi Olszewskiego. Polska jest przecież opanowana przez konspirację agentów i aferzystów. Pomyśleć, że on przez lata jako dzielny adwokat bronił dziesiątków ludzi oskarżanych w oparciu o spiskową teorię dziejów. Bronił też tych, których teraz uważa za spiskowców. Pytany o antysemickie hasła wrzeszczane wielokrotnie przez bojówki z Ursusa – a tam ma swoją twierdzę wyborczą – mówił, że w tłumie są zawsze różni ludzie, ale samych okrzyków nie potępił. „Czy pan jest anty-

semitą?" – zapytała dziennikarka. Ja? Obruszył się niebywale Olszewski, przecież byłem świadkiem holocaustu. W jego programach Wałęsa pokazywany jest jako agent, zdrajca, podlec sterowany przez Wachowskiego. Obrywa mu się sto razy bardziej niż Kwaśniewskiemu.

Kandydat Kazimierz Piotrowicz reklamuje swoje cudowne wkładki do butów, to jedyna rzecz, która daje się zapamiętać z jego monologów. I że zamierza zlikwidować partie polityczne, a sam nie chce być politykiem. Przy okazji zarzeka się, że nie tylko o wkładki do butów mu chodzi. Podczas telewizyjnego przesłuchania wypadł zupełnie wariacko, dziennikarze albo kpili albo odmawiali z nim rozmowy.

Nijaki Witold Pawłowski z Wielkopolski, właściciel ziemi i biznesu jest tak przerażony kamerą, że przypomina dopiero co złapanego kryminalistę z pistoletem przy skroni. Ukryty w gęstym zaroście recytuje głupstwa. Ma ideę spisku Warszawy przeciwko reszcie Polski, „Koniec dyskryminacji Polaków we własnym kraju”. I proponuje federację zjednoczonych regionów, przeciwko Warszawie.

Zaskoczyło mnie dwóch kandydatów, za którymi, mówiąc delikatnie, nie przepadałem, Leszek Moczulski i Lech Kaczyński. Widziałem obu nieraz w roli populistów, a teraz proszę, co za cudowna przemiana w stronę rozsądku. Moczulski egzminowany przez dziennikarzy był niewzruszenie spokojny, robił długie odstępstwa między słowami i zamurował nastawliwych dziennikarzy traktując ich po ojcowsku. To był rzeczywiście popis dobrej gry politycznej, a przy okazji powiedział Moczulski kilka sensownych rzeczy i nie było populizmu. Szkoda, że nikt nie zadał mu pytania – jak zręcznie myślący polityk mógł urodzić i wychować dziecko z zespołem Downa, czyli KPN. Takie nieszczenia się zdarzają, problem, że Moczulski tej choroby nie widzi. W innych jego programach nagle wyłazi cała tandeta tego człowieka i polityka, jakby przemokła mu tektura.

Lech Kaczyński też nadzwyczaj dobrze wypada podczas przesłuchań. Co prawda jego idea surowych kar dla przestępców jest nie tylko błędem, ale pachnie brzydko. I jak oddzielić Lecha Kaczyńskiego, rzetelnego prezesa NiKu, od jego brata i od PC. Ludzie, którzy stoją za plecami Kaczyńskiego i Moczulskiego, wypisują na ich plecach rzeczy, pod którymi

nigdy by się oficjalnie nie podpisali, a jednak nieoficjalnie te plecy nadstawiają niezwykle usłużnie.

Marek Markiewicz, posiadał rzadką u nas umiejętność znakomitego mówienia, co łączy, trzeba przyznać, ze ścisłością rozumowania prawnika. Tacy ludzie, a zaliczam do nich np. prof. Geremka, zagrożeni są przez własny głos. Zaczynają swoją umiejętność celebrować pieszcząc słowa, które, pieszczone, tracą wiarygodność, mimo swej urody. Są jak piękne manekiny, uwodzą, ale nie ma w nich życia.

Tych czterech kandydatów tuż przed pierwszą turą wycofuje się. Do tego doszło, że można ów nagły akt abstynencji poczytać za ich wielką zaletę. Nie wycofa się rzecznik praw obywatelskich Tadeusz Zieliński, profesor, inteligent. Niby wszystko jest w nim mniej lub więcej w porządku, ale zarazem tak wiele podmyte próżnością własną. Nie widzi grzechu, że wybiega z bloków startowych Rzecznika Praw Obywatelskich. Czasami wpada w tony populistyczne. Wielce jest dumny, że poddał się badaniom lekarskim i ogłosił, że jest zdrowy. Szkoda, że brzydko się to zbiegło z wypadkiem Kuronia.

Aleksander Kwaśniewski niestety bardzo dobrze wypada na przesłuchaniach. Jak rasowy polityk. Nie potrafię nie czuć do niego sympatii. Co mnie szczerze martwi, na szczęście to są tylko małe chwile małej słabości. Nosi świetnie skrojone i dobrane garnitury, a to co mówi, też wydaje się w rzetelnym gatunku. Tylko jak uwierzyć w zakład krawiecki z tak paskudną przeszłością? A na marginesie – mówi się dosyć powszechnie, że mama Kwaśniewskiego była podejrzana pochodzeniowo, ewentualnie tata? Stoltzman – dopisują Kwaśniewskiemu na wyborczych plakatach. Ze zdumieniem odkrywam, że takie rzeczy nadal są w tym kraju możliwe i uprawiane. Można by strawestować przysłowie: „Na bezŻydzium i Kwaśniewski Żydem”. Dobrze świadczy o Kwaśniewskim, że nie pokazuje metryki, którą na wszelki wypadek nosi przy sobie prof. Tadeusz Koźluk, kandydat monotonny, nudny i zupełnie wyblakły. Napisałem głupstwo. Bo właśnie jak zła gęś syczy mój zgaszony telewizor, w którym przed chwilą obejrzałem nowy blok wyborczy Kwaśniewskiego. Cały poświęcony sprawie tych strasznych podejrzeń. Oczyścił się. Zaprezentował głosy publiczności na

swoich wiecach, żądające by się ujawnił jako Żyd. Kwaśniewski zawrzał oburzeniem. Ale nie na używanie rasistowskiej argumentacji, a że w tych plotkach uśmiercano mu matkę, która wtedy jeszcze żyła. Jego matka rzeczywiście zmarła kilka tygodni temu. Kwaśniewski łka – „jej serce nie wytrzymało tych pomówień, słowa mogą zabijać”. Zabiło ją posądzenie, że jest Żydówką? A więc to może zabić? Kwaśniewski na wszelki wypadek pokazał całemu narodowi pogrzeb mamy, który celebrowało aż czterech księży. Niech naród odetchnie, nie będzie krwi żydowskiej w żyłach polskiego Prezydenta.

Jacek Kuroń też o żydostwo posądzony pokazuje swoje rodzinne korzenie. Pradziadka, dziadka, babcię, są wszyscy. Oddychamy z ulgą. Jest czysty jak łza.

Moja znajoma z odległego kraju obejrzała te popisy z szeroko otwartymi ustami. – „Czy to jest kabaret, nie rozumiem?” – Po raz pierwszy w życiu widziała kabaret, gdzie humorysta używa pogrzebu własnej matki. – „I powiedz mi zapytała – czemu ja tu nieustannie słyszę, jak ktoś mówi, porządny człowiek, chociaż Żyd”.

– „To wiara w duchy” – tłumaczę jej – „pomieszanie umysłu od nadmiaru nie szczęść”. – „Jeśli mi nie wierzysz to powiedz na takie *dictum*, że sama jesteś Żydówką”.

– „Zrobię to” – zapaliła się. „A co będzie potem?” – pyta z nagłym niepokojem.

– „Ci ludzie zaczną się wic jak prosiaki na ruszcie, ze wstydu, upokorzenia, będą przepraszać i zarzekać, że oni nie...”

– „Dziwny kraj” – deliberuje – „ale chyba nie za to go tak lubię”.

– „Ja też nie za to, a mimo to” – odparłem.

Z Andrzejem Lepperem, przywódcą populistycznej „Samooobrony” sam się kiedyś boksowałem na żywo w radio i dałem sobie radę tylko dlatego, że pierwszy na powitanie walnąłem go w łeb. Mój wniosek był taki: do niego podchodzić należy tylko z buldożerem, bo nawet biała broń nie skutkuje kiedy atakuje się hipopotama. Sfora dziennikarzy w Dwójce znakomicie o tym wiedziała. Zdawało mi się, że włożyli gumowe rękawiczki by się nie pobrudzić. Odraza

inteligencji do chama wyszła w całej krasie, czasami nawet było to niesmaczne. Wszystko było niesmaczne i sam Lepper i nagonka na niego. Przywódca „Samooobrony” tego wywijał kłonicą opędzając się od napastników. Oskarżany o rzucanie hasel antysemickich oburzył się i oświadczył, że skądże znowu, „nawet dzisiaj był u Żyda na obiedzie, w restauracji Samson”. Zapytany czy, jeśli zostanie Prezydentem, Polska w ogóle będzie miała jakąś politykę zagraniczną, odpowiedział łaskawie, że tak. A na koniec wstał i zasłonił się od napastników książką Jana Pawła II, którą polecił do codziennej lektury.

Waldemar Pawlak, też chłopski kandydat, nadal szokuje swoją nieruchomą twarzą. On chyba nigdy nie będzie miał zmarszczek. Był kiedyś ponury a trafny dowcip: „Pawlak – portret pamięciowy”. Nieruchomy, ale nie z wewnętrznego spokoju, siedzi cały czas na nie rozbrojonej bombie i boi się poruszyć. Trochę jednak wyrobił się w gadaniu, ale nie wystarczająco, bo jednak mówienie jest następstwem myślenia.

Janusz Korwin-Mikke dowcipnie, inteligentnie i zupełnie wariacko kompromituje liberalne koncepcje doprowadzając swój liberalizm do absurdu. To on zastępuje Pietrzaka na scenie politycznej w roli aktora kabaretowego. Polska jest rządzona przez gangi polityczne, które niszczą kraj podatkami. Porównuje społeczeństwo do krowy w oborze, której trzeba tylko otworzyć drzwi i pokazać pastwisko, zamiast by państwo tę trawę ścinało i niegospodarnie ją krowie przynosiło. To prawda, że nowe ustawy podatkowe zmierzają w kierunku absurdu. Gorzej, że wszystkie poglądy Korwin-Mikkego są o jeden lub kilka mostów za daleko. I skąd wokół niego grupa ludzi o poglądach bynajmniej nie liberalnych, gdy chodzi o rolę kobiety, sprawy obyczajowe. Liberał, który promuje tyle obskurantyzmu, otoczony przez obskurantów, sam optujący za karą śmierci, zakazem aborcji – oto polski paradoks.

Wałęsa w rozmowie z *Gazetą Wyborczą* wypadł nadzwyczaj prawdziwie i całkiem nieźle, jak na Wałęsę. Taka sama konfuzja, gdy słucha się wywodów Szwejka – geniusz czy...? Mówi: „Kaczyńscy to są ludzie podwójnie mali”. Czy nie świetnie? Potem na ludowo: „Pośpiech jest dobry przy

łapaniu pcheł”. Kiedy oświadcza: „mój komputer pracował na najwyższych obrotach”, to znaczy, że mówi o swojej głowie. Wnętrze głowy Wałęsy kojarzy mi się z różnymi dziwnymi rzeczami, ale przepraszam, nie z wnętrzem komputera. Wałęsa przewiduje, że może powstać w Polsce sytuacja, kiedy dla obrony Ojczyzny „trzeba będzie strzelać. Tylko wiem, że żadna pańcia tego nie robi. A ja to zrobię dla dobra ojczyzny” (pije do Gronkiewicz-Waltz). W innym programie jakże niezręcznie nawiązuje do nielicznych przykładów sztuki, którą zna, do amerykańskich westernów. Roztacza wizję bydła, „które biegnie w kierunku skarpy, a wtedy trzeba wystrzelić i je spłoszyć”. Tłum rzeczywiście ma istotne cechy bydełka, ale czy wypada?... Wałęsa łączy chwile zręczności z bełkotem wprost monstrualnym. Pytany o używanie antysemickich chwytów podczas poprzedniej kampanii, tłumaczy się szczerze: „Ja, wychowany gdzieś tam daleko na prowincji”. Nie zdawał sobie sprawy, że problem jest tak delikatny. To prawda. Czy nie podobnie można wytłumaczyć okres jego upadku, bo po roku 70 jednak podjął jakąś formę współpracy z bezpieką. O tym w wywiadzie jednak nie ma mowy. A jednak coś tam podpisał. Mały, bezradny człowiek wobec maszyny totalitarnego państwa. Można to zrozumieć i uwierzyć, że szybko i raz na zawsze z tym zerwał. Dlatego tak mnie oburza tekst Krzysztofa Wyszowskiego w *Gazecie Polskiej*. Ten tygodnik naprawdę wydziela z siebie coraz bardziej obrzydliwy zapach, szukam słowa, ale nie znajduję, to chyba jednak śmierdzi faszyzmem. Ta gazeta winna być sprzedawana łącznie z *Nie Urbana* jako dwa bieguny tego samego obrzydlistwa, nazywa się ono – „nienawiść i pogarda”. Wyszowskiego znałem kiedyś dobrze, był jednym z tej niewielkiej gdańskiej opozycyjnej rodziny, wieloletni przyjaciel i współpracownik Wałęsy. Kilka lat temu Wyszowski podobnie jak szef *Gazety Polskiej* walczyli na śmierć i życie by Wałęsa został prezydentem. Wierzbicki nawet napisał apologetyczną książkę o Wałęsie. Dzisiaj nikt tak nie opluwa Wałęsy jak jego narodowy organ. „Moskiewski agent i szubrawiec” – oto opinia Wyszowskiego o naszym Prezydencie. Pamiętam jak kilka lat temu Krzysztof wsiadł z trudem do mojego małego samochodu i powiedział – „za wszelką cenę trzeba blokować Mazowieckiego, tylko Wałęsa”. Teraz w myślach, cofając się

w czasie, wsadzam do ręki Wyszowskiemu jego dzisiejszy tekst, który zaczyna się słowami: „Wałęsa jest ambitny, leniwy, tchórzliwy i przewrotny. Dlatego szybko wpadł w łapy Służby Bezpieczeństwa (...). Zrobił karierę na pośrednictwie między SB a organizacjami antykomunistycznymi”.

Oj Krzysiu, nie wstyd ci? Na tym to jednak polega, oni nie mają organu wstydu, mają tylko organy narodowe i patriotyczne, chociaż nie wstydzą się bynajmniej słowa nacjonalizm. Szef tygodnika Piotr Wierzbicki pisze tekst zupełnie w stylu przemówienia Gomułki z roku 68, gdzie dzieli nacjonalizm na różne postacie, złe i dobre. Bardzo zły jest „obłąkańczy”, (który, np. Papieża posądza o złe pochodzenie). Jest „zaczepny”, „obronny”, „zakneblowany”, ho ho, ile ich jest, ale istnieje też „trzeźwy”. Ten jest reprezentowany przez *Gazetę Polską*, czyli, cytuję: „elitę antykomunistycznego odłamu społeczeństwa”. Ale najlepszy jest „nacjonalizm twórczy”: Polsce – wedle Wierzbickiego – „potrzebny jest ozdrowieńczy zastrzyk nacjonalizmu”. Bo „Polska potrzebuje organizacji, które byłyby w stanie zmusić działające w ukryciu tutejsze lobby żydowskie do działania z otwartą przyłbicą i ustanowić takie reguły życia publicznego, w których politycy reprezentujący mniejszości nie udają, że reprezentują większość”. Oto pestka „nacjonalizmu twórczego”. Z tego jednak może wyrosnąć tylko obłąkane drzewo, Biedny Wierzbicki.

Korwin-Mikke, jeden z konkurentów Wałęsy do prezydenckiego fotela, w drugim programie oglądanym przez miliony widzów mówi wprost, że Wałęsa był agentem. Dowodów w rękę nie ma, ale słyszał, wie, jest pewien.

Wałęsa egzaminowany przez dziennikarzy w TV wypada całkiem solidnie. Imponuje masywność namiętności bycia ponownie Prezydentem. Kiedyś jakiś anonim napisał na ścianie „Wałęsa kawał mięsa”. To jest raczej mięsna góra, to robi wrażenie! Kiedy się poci przed kamerami, mam wrażenie, że poci się wieloryb. Pot namiętności władzy i poczucia misji wylewa się z mojego odbiornika, rozglądam się niespokojnie za ścierczką, coś niebywałego! Jego bezgraniczna pewność siebie jest podminowana, ale żadna z min nie wybucha, co tylko tej namiętnej górze dodaje rumieńców.

Wałęsa pytany o współpracę z bezpieką w latach 70-tych odpowiada, że każdy kto wtedy z milicji wychodził, coś

podpisywał. Pytany o szczegóły, jak to Wałęsa – przyciśnięty do muru – zawsze znajduje okno, przez które gramoli się na zupełnie inne podwórko.

Tyle gadania, puszenia się, ja, ja wiem, tylko ja umiem, tyle zrobiłem, a za tą ofertą same pustki. W nr 10 *Kultury* znamienne słowa Janusza Onyszkiewicza, który wspomina: „Gdy byłem ministrem obrony narodowej, prezydent Wałęsa nie zwrócił się do mnie z ani jedną sprawą, z żadną sugestią, co trzeba by zmienić w wojsku”. Czyli żadnej inicjatywy, pomysłu, propozycji, żadnych pytań. A potem te obiady z generałami i załatwianie spraw po wałęsowsku, boczkciem, kątem, przy kurzym udku. Polska jest dla Wałęsy jak wielkie gospodarstwo wiejskie, po którym krząta się w gumowym fartuchu, to krowie cycki umyje, to nawet traktor naprawi.

Akcje Wałęsy rosną nagle i w zdecydowanym tempie. Ta namiętą górą jednak przyciąga jak magnes, bo obok rośnie góra postkomunizmu. Pomyślałem z rezygnacją – co za ponury wybór nas czeka.

Poświęcam się dla *Kultury*, idę na dwa wiece wyborcze. Aby się odmłodzić idę na Uniwersytet i na Politechnikę. Patrę na bramę uczelni. Za moich czasów było tu szaro, pachniało pomarcową nudą. Dzisiaj wszystko w ramach pubów, eleganckich sklepów. Jeden z pubów o nazwie Giovanni schodzi w podziemia uczelni, to bodaj tu mój syn, obecnie student, spędza miłe chwile degustując różne gatunki piwa. Wtedy jedyny gorzki smak jaki degustowałem to był mój antykomunizm.

Sala wypełniona po brzegi młodzieżą. Reagują na pojawienie się Gronkiewicz-Waltz, jak kibice na widok swojej drużyny. A więc jednak te wybory wciągnęły nawet młodzież, która wydawała się już zupełnie odporna na politykę. Pani Waltz czyta z kartki, ale głosik ma srebrzysty, jakby drżała w jej ustach srebrna blaszka. Same banały. Ona jest banalna do szpiku kości, wielu to uwodzi, jak głos Ireny Santor. Pani kandydat oszczędza swoje struny głosowe i cenne szare komórki, więc mówi krótko. Potem długo grano Chopina i Mozarta, a jakaś niewiasta śpiewała operowo. Doprawdy gdyby muzyka Chopina mogła zostać Prezydentem RP, czułbym się lepiej. Tego samego dnia przesłuchiwana przez

dziennikarzy w TV pani Waltz wypada doprawdy nędznie. Bez ikry, bez pomysłu – gospodyni domowa.

Przez wilgotny warszawski wieczór jadę na Politechnikę. Tam buszuje Jacek Kuroń. Identyczny entuzjazm młodzieży, jakby ta sama publiczność mogła popierać dwóch różnych kandydatów. Kuroń w niezłej formie, on przynajmniej potrafi błysnąć jakąś myślą i dowcipem. A ja dziwnie się czuję wśród tej młodzieży, która wydziela z siebie zapach młodości, który miesza się z lekką wonią niedomycia. Sam czuję się w ich wieku, ale palec niebieski puka mnie w głowę i mówi: – „TY jesteś już inny gatunek”. Wpada na mnie X. Dyszy takim optymizmem, że patrzę na niego niemal z zazdrością. Myślę o znajomym, którego gościem byłem trzy miesiące temu. Bolało go jak diabli po prawej stronie. Ja byłem przerażony, on rzecz lekceważył. Już umierał na raka wątroby. Na szczęście szybko poszło. Nowa wiadomość, że J. ma przerzuty, a wyglądało to tak niewinnie. Zmarł dopiero co na raka szef „Radia Zet” Woyciechowski. Kilka miesięcy temu stukaliśmy się z nim kieliszkiem pełnym czerwonego wina – bardzo smutny człowiek bardzo wielkiego sukcesu. Czuję, że niedźwiedź dobiera się do półki z konfiturami, gdzie stoi mój słoik. – „Trzeba brać swoje i w krzaki”, mówi X. Zgadzam się z nim. Co za szczęście, że interesuje nas ta sama kępka krzaków.

Budzi mnie radosna wrzawa. Co za entuzjazm! Biedny Kuroń, stał się małą w naszym zoologicznym ogrodzie. Sztabowcy kazali mu się chwalić w stylu amerykańskim, włożyć garnitur, wygląda jak przebieraniec, bywa dowcipny, ale jest wielki smutek w jego oczach. Rozpacz człowieka, który stracił wiarę w człowieka. A jednak lubię go, chyba jako jedyne go ze smutnej 17.

Wybory nie służą zdrowiu naszych chorych partii politycznych. Rozkład partii istniejących. Koalicja w stanie nieustannych wojen podjazdowych i sporów. Ale też same partie SLD i PSL rozdzielane są przez konflikty wewnętrzne. Unia Wolności więcej zaszkodziła swojemu kandydatowi, Kuroniowi, niż jego przeciwnicy. Od chwili połknięcia liberałów UW męczy nowa forma chronicznego zaparcia. „Taki potencjał się marnuje, tylu świetnych intelektualistów” – wszyscy jęczą i tylko jęczą.

W „ZCHNie zupełne piekło” – to słowa znanego działacza tej partii, gdy spytałem co słyszeć. Są piekielnie skłócenia i rozdarci czy poprzeć Waltz czy Wałęsę? Wszyscy prawicowi kandydaci mówią, że trzeba się połączyć, ale wszyscy wydają się zanurzeni po uszy w pierzynie próżności własnej, pieszczeni na spotkaniach, gdzie tworzy się mały, intymny, fikcyjny świat. „Nie możemy zawieść tych ludzi”, tłumaczy się. Zwolennicy prawicy biadolą, że tak rozbite są ich głosy, ale każdy trzyma się swego kandydata jak tonącej trawy. Dawno już nie wiedziałem takiej autodestrukcji i tak uroczystego publicznego aktu kanibalizmu, jak to co wyprawa nasza prawica.

Myślę sobie – cała ta wyborcza karuzela przypomina ramię miksera. Namiesza ten mikser w głowie Polski aż strach. Im dłużej słucham głosów kandydatów tym czuję się bardziej skołowany i głupszy, tym mniej wiem gdzie żyję, czym jest Polska i jaka ma być nasza przyszłość.

Niemal 90% ankietowanych Polaków odpowiada, że polityka i decyzje władzy są dla nich niezrozumiałe. Gdybym nie naczytał się książek psychologicznych, o narcyzmie, o neurozach, o psychozach, też bym nic z tego nie kapował.

Ze szczerym przerażeniem obserwuję jak prawo awansu niekompetencji nadal w Polsce żyje, a nawet wydaje się farbować na ciemno siwe włosy. Sprzyja mu podział swoi-obcy, typowy dla naszego życia społecznego i politycznego. Lepiej bałwan, ale swój, niż nie nasz geniusz. W ciągu ostatniego miesiąca byłem świadkiem kilku znacznych awansów ludzi, którzy przez ostatnie lata udowodnili, że nie nadają się do pracy, którą wykonywali. Byłem blisko, naprawdę blisko i nie myślę się. To są decyzje personalne – paranoiczne. Zamiast dymisji, skoczyli w górę. Gapię się teraz tam do góry z rozdziawioną gębą. Myślałem, że już nic mnie nie może zaskoczyć, a jednak stoję jak wryty.

Jeśli Wałęsa zostanie Prezydentem, mechanizm nagradzania niekompetencji włoży na głowę koronę. Polska – gigantyczny przykład tolerancji materii na niekompetencję, bo przecież jednak idziemy do przodu.

I już po pierwszej turze wyborów! Jedni powiedzą – jaki mądry naród, odkopnął bałwanów i szaleńców, odsunął

amatorów. Bubel jest w samym ogonie, co za sukces rozsądku! Pesymiści powiedzą – naród nie miał wyjścia. Głosował na Kwaśniewskiego bądź na Wałęsę, albo symbolicznie na Kuronia (mój przypadek), bo chce spokoju i stabilizacji. Nawet sfrustrowani nie wyskakują z jadącego nad rzeką pociągu. A tak naprawdę moim zdaniem naród ma zupełnie pomieszane w głowie. Ilekroć z kimś rozmawiam o polityce, to jakbym włożył w jajecznicę.

Naiwnością jest wyciągać wnioski na temat chemii politycznej Polaków po tych wyborach i snuć plany budowy nowych bloków politycznych. Głosowano na ogół przeciw komuś, a nie za kimś, czy za czymś. Nic dziwnego, że badania mówią iż wstrząsająco duży procent głosujących na Olszewskiego, który ciął po oczach antykomunizmem, w drugiej turze może głosować na Kwaśniewskiego. Uderza upadek chłopskiej solidarności, wielka porażka Pawlaka i jeszcze większa Leppera. Biorąc pod uwagę spożycie alkoholu na wsi, bałbym się jednak mówić o otrzeźwieniu naszej wsi, to raczej rezygnacja, która, gdy się obudzi, da nam jeszcze w kość. Dostaliśmy też potwierdzenie jak płytkie są wpływy Kościoła, który dzielnie wstrzymywał się od agitacji w trakcie kampanii, ale wcześniej kazał nie głosować na postkomunistów.

Wybór między Kwaśniewskim a Wałęsą jest wielkim ambarasem dla wielu z prawej i lewej strony, tych ze strony rozsądku, jak i ze strony szaleństwa. Ta bezradność łączy nawet bardzo skrajne bieguny. Polska powinna w niedzielę aż zatrzęszczeć w posadach od powszechnego wahania. Jestem pewien, że sejsmografy na całym świecie to wykażą. Jan Olszewski, który dostał zaskakująco wiele głosów wzywa (z obłudą w oku) do bojkotu – bo obaj kandydaci są zgubą dla Polski. Pani Waltz z uśmiechem głębokim do białej kości – który w jej twarzy wyrzeźbiła czy raczej wygryzła wyborcza kampania – oświadcza uroczyście by nie głosować na Kwaśniewskiego. Pytana czy więc należy głosować na Wałęsę – pokazuje w milczeniu kość swojego uśmiechu. Jest w tej sytuacji jakiś komizm. Kogo spotkam to hamletyzuje. Dramat w rodzinie K. On chce mimo wszystko na Wałęsę, ale żona mu grozi, że wtedy ona pójdzie głosować na Kwaśniewskiego. „Co mam robić?” – pyta mnie.

To jest sytuacja przykra, ale luksusowa, bardzo wielu lu-

dzi ma tę podwójność w sobie, z żoną od biedy można się rozejść.

Najbardziej jednak wydaje się prawdopodobne, że Wałęsa znowu zostanie Prezydentem, chyba, że zrobi jakieś głupstwo w międzyczasie, co trudno wykluczyć. Kwaśniewski po ujawnieniu, że nie zadeklarował w swoim zeznaniu podatkowym udziałów żony w „Polisie”, jest zmuszony by teraz ujawnił całe swoje dochody. Mówi, że to zrobi jeśli to samo uczyni Wałęsa, tu wspomina o dwóch domach, który ten miał kupić dla synów. Prezydent wielce rozsierdzony nagle staje się dawnym robotnikiem ze stoczni, mówi niemal gwarą – jak Kwaśniewski będzie mnie szarpał o przyszłość, to ja mu się dobiore do przeszłości, do ojca i do dziadka”. Tu broń Boże nie chodzi „o te rzeczy”, to było w poprzedniej kampanii, teraz Wałęsa już wie, że nie wolno. Jemu teraz chodzi symbolicznie o komunizm, a w gniewie niezręcznie się wyraża. Postanowiłem nagle – na drugą turę wyborów nie idę. Nie moimi rękami. Ale nagle staje mi w oczach wielki słup soli mojej nienawiści do komunizmu, z nim w ramionach budziłem się przez tyle durnych lat. Może więc jednak, na Wałęsę... miotam się wśród sprzecznych uczuć. Brzmi to chyba zbyt głupio i zbyt dramatycznie? A przecież ani Wałęsa, ani Kwaśniewski nie niosą dla Polski dużych zagrożeń, to raczej smętny dramatyzm wyboru między dwoma niesmakami.

SMECZ

Prasa polonijna w Kanadzie – dziś

„Bądźmy szczerzy (...) emigracja to nie ucieczka DLA Polski, to ucieczka OD Polski...”

Andrzej Bobkowski

Powstanie i rozwój prasy polonijnej w Kanadzie związane były z historią i losami polskiej emigracji. Aczkolwiek pojedynczy Polacy osiedlali się w Kanadzie już w osiemnastym i na początku dziewiętnastego wieku, to masowa emigracja datuje się dopiero od przybycia w 1858 roku grupy Kaszubów z zaboru pruskiego. Oficjalny spis kanadyjski podaje liczbę osób pochodzenia polskiego jako: 617 w 1871 roku, 53.403 w 1921 roku, 467.905 w 1991 roku.

Poszczególne fale imigrantów polskich różniły się bardzo pod względem wykształcenia, kwalifikacji zawodowych, wieku i rejonu Polski, z którego pochodzili, stąd również wykazywali niejednolite cechy społeczne, regionalne i polityczne.

Do wybuchu pierwszej wojny światowej imigranci przyjeżdżali spod zaborów, potem z niepodległej Polski, a w czasie i po drugiej wojnie światowej z rozproszenia po świecie. Pierwsze fale rekrutowały się spośród robotników rolnych. Byli to ludzie bez kwalifikacji gnani potrzebą poprawy swojego losu, gotowi do najwyższego wysiłku fizycznego w najtrudniejszych warunkach, idealni wówczas dla Kanady imigranci. Ledwo potrafiący pisać po polsku, nie znali kompletnie języka angielskiego.

Najpierw Polacy osiedlali się na preriiach, karczowali lasy i budowali domy. Później, na skutek pierwszej wojny światowej, zaczęli opuszczać rolę i przenosić się do innych prowincji, do lasów, kopalń i fabryk. Lata depresji nakazały wielu innym szukać zajęcia w miastach. Z czasem nabyli kwalifi-

kacje zawodowe, pracowali w tych zawodach oraz otwierali sklepy i różne przedsiębiorstwa. Zaczęli też zakładać pierwsze organizacje świeckie na preriiach i w środkowej Kanadzie. Pojawiły się wówczas pierwsze pisma. Ich zadaniem była służba oraz pomoc imigrantom. Pisma te były pismami społecznymi, wydawanymi przez organizacje dla celów społecznych, a nie dla zarobku. Najstarszym z nich była *Gazeta Katolicka*, wydawana przez OO. Oblatów w Winnipegu.

Pełniąc ważną funkcję społeczną pisma organizacyjne utrzymywały się w Kanadzie długo, bodajże do lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych. Były, rzecz jasna, również próby prywatne: w Winnipegu, w Montrealu i w Toronto. Były to jednak tylko nieudane epizody. Wyjątek stanowił *Czas*, wydawany jako propozycja handlowa przez emigranta czeskiego Dojacka. Nie utrzymał się jednak długo bez pomocy Polonii, a nawet rządu polskiego w Warszawie. Wykupiły go polskie organizacje w 1931 roku. Językowo, pismo, które wydawali OO. Oblaci było lepsze, gdyż księża posiadali wykształcenie, znali języki i umieli przystępniej przedstawić zagadnienia. Trzeba podkreślić, że w zasadzie ograniczali się oni do wychowania religijnego, pozostawiając osobie świeckiej redagowanie innych działów.

Redaktorzy i wydawcy wyczuwali potrzeby fał emigracyjnych starając się dotrzeć do nich i przekazać im informacje niezbędne na nowym terenie. Na początku pisma nie oferowały wcale polskiej tematyki politycznej. Dopiero z odzyskaniem niepodległości w 1918 roku zaczęły się bardziej angażować w sprawy, które nie łączyły się bezpośrednio z losem imigranta. Poprzednio natomiast zajmowano się nieomal wyłącznie kwestiami pracy, stosunku do innych, wynajmu mieszkania, życia rodzinnego. W miarę jednak jak rosła świadomość narodowa, zagadnienia natury polskiej zaczęły pojawiać się na łamach pism. Wojenna fala emigracji nałożyła się na zastane zręby organizacyjne i wzmocniła bazę. W 1944 roku powstał Kongres Polonii na wzór sytuacji panującej w USA, gdzie o wiele starsza i liczniejsza Polonia od dawna uważała się za dodatkową, wolną dzielnicę Polski.

Od kilkunastu lat jednak mamy do czynienia z wielkim napływem ludzi z Polski do Kanady. Ogromne rzesze przyjechały w latach osiemdziesiątych a jeszcze w 1991 roku przybyło 15.479 osób, w 1992 – 8.279, w 1993 – 6.874, a w roku 1994 – 3.345. Reemigracja była minimalna. Wracali jedynie pojedyncze osoby.

Jak jest z czytelnictwem prasy? Jeden z doskonałych

znawców Polonii zapytany, ilu jest społecznie zorganizowanych Polaków w Kanadzie, odpowiedział, że tylu ilu ma czytelników i abonentów prasa polonijna. Kiedy wygłosił tę opinię *Związkowiec* miał nakład największy – dziesięć tysięcy egzemplarzy – wychodził dwa razy w tygodniu. Prosperował *Głos Polski* o nieco mniejszym nakładzie, miał sporo czytelników nawet komunistyczny tygodnik *Kronika Tygodnia*. I różne inne jeszcze miesięczniki.

A dziś *Związkowiec* oficjalnie podaje, że ma trzy tysiące abonentów. Nie wiadomo ile sprzedaje egzemplarzy ponad tę cyfrę. Próbował wychodzić trzy razy w tygodniu, ale wrócił do dawnej częstotliwości i ukazuje się we wtorki i piątki. *Głos Polski* chyba nie ma nakładu powyżej tysiąca. Najwięcej egzemplarzy sprzedaje *Gazeta*, założona w 1988 roku, a od 1993 ukazująca się pięć razy w tygodniu, z tym że w piątki staje się magazynem. Jest to przedsiębiorstwo prywatne, nie ma abonentów ani ogłoszeń rządowych, ale za to dużo reklam prywatnych, świadczących o prężności ogłoszeniowców i kolporterów. Szacuje się, że w dni zwyczajne drukuje 6-7 tysięcy egzemplarzy, w piątek nakład wzrasta do 9 tysięcy. Raz w miesiącu jest wkładka literacka składająca się zasadniczo z tekstów z Polski, skąd całe pismo bierze lwia część materiałów przesyłanych drogą elektroniczną. Ma (miało?) we Wrocławiu krajowe biuro. Oprócz tych pism próbują się utrzymać na rynku tygodnik *Echo Tygodnia*, ongiś robiony żywo i wychodzący regularnie, po zmianie redaktora i nazwy na *Echo*, a następnie właściciela, przeżywa kryzys i ukazuje się obecnie z przerwami – czy dwutygodnik *Nowy Kurier* – kontynuacja dawnego *Kuriera Polsko-Kanadyjskiego* założonego w 1972 roku – bodaj najbardziej obecnie polonijne czasopismo. Od 1984 wychodzi regularnie w dwutysięcznym nakładzie miesięcznik katolików *Pielgrzym*. W Edmonton ukazywał się ambitny kwartalnik *Dialogi* w latach 1984-1987. Było wiele innych prób, które się nie powiodły. Do nich należał *Sukces w Ameryce*, pismo ilustrowane i nieźle redagowane. W październiku 1992 wyszedł numer *Magazynu rozwoju potencjału człowieka – Motyw*. Nie przyjął się polsko-angielski miesięcznik *Polish Voice – Głos Polski*. Przestał wychodzić prywatny *Przełom* i zasłużone *Wici Harcerskie*, uciął *Kwartalnik SPK*. Od 1992 wychodzi nieregularnie miesięcznik *High Park*, wiele miejsca poświęcający sztukom plastycznym. Były próby wydawania pism sportowych, obecnie sportowi poświęcają spore działy same pisma. Także filmowi. Pojawiły się rubryki o

samochodach i motocyklach, o myślistwie i rybołóstwie. Popularne stało się reklamowe, bezpłatne pismo *Tygodnik Polski*, przynoszące różnorodne informacje i sensacyjki, taki groch z kapustą, ale reklamowo jest bardzo dobre i reprezentuje obecne tendencje na Zachodzie. Dużo jest publikacji lokalnych (np. tygodniowy magazyn informacyjno-reklamowy *Korespondent* w London oraz *Skaner*, darmowy miesięcznik młodych), biuletynów parafialnych (*Zbliżenia* w parafii św. Kazimierza w Toronto) i organizacyjnych (*Nasza Credit Union*). Niemniej, skoro tyle Polaków mieszka obecnie w Ontario, to musimy dojść do wniosku, że jednak ludzie nie czytają gazet wydawanych dla nich w Kanadzie. Wielu zresztą preferuje pisma z Polski, które drogą lotniczą szybko docierają do kiosków.

Redaktor nowojorskiego *Nowego Dziennika* Bolesław Wierzbiański powiedział, że dawna prasa polonijna była parafialna, nie zajmowała się sprawami postronnymi. On natomiast wprowadził serwis prasowy, agencyjny itp. W Toronto od szeregu już lat nastąpiły w prasie zmiany. Pisma takie jak *Związkowiec* i *Głos Polski* nabrały innego charakteru. To już nie są pisma społeczne, organizacyjne. Najwięcej informacji organizacyjnych zamieszcza ciągle jeszcze *Związkowiec*, a to dlatego, że działają nadal niektóre oddziały czy organizacje w terenie i przesyłają swoje sprawozdania i komunikaty. W prasie języka polskiego zaszła zasadnicza zmiana w porównaniu z tym, co było dawniej, powiedzmy jeszcze dziesięć lat temu. Nie było ze strony pisma polonijnego zaangażowania się w wewnętrzne sprawy Polski. Było negatywne nastawienie do całości, ogólne nastawienie, ale nie do wewnętrznych rozgrywek komunistów, dobrych czy złych posunięć partii czy rządu. Nawet komunistyczny redaktor *Kroniki Tygodnia*, Dudkiewicz, informował wyłącznie o całokształcie zagadnień polskich czy partyjnych, ale nie wchodził w kłótnie polityczne. Dzisiaj obserwujemy w prasie np. w *Głosie Polskim* absolutne zaangażowanie się po stronie kandydatury Olszewskiego. Jeszcze pięć lat temu nie było organizowania czy powstawania komitetów popierających jednego protagonistę. Kilka lat temu w *Związkowcu* angażowano się po stronie Wałęsy. Tego przedtem nie było, i to do tego stopnia, że w rezultacie nie opowiadano się nawet po stronie poszczególnych lokalnych działaczy politycznych. Na dodatek teraz cały serwis prasowy przychodzi z Polski, powtarzany jest bez komentarza, sytuację wewnętrzną w Polsce krytykuje się głosami z Polski. I to jest bardzo istotne.

Teoretycznie przynajmniej dwa pisma w Toronto i jedno w Winnipegu, *Czas*, są nadal pismami organizacji, pozostałe są prywatnymi przedsiębiorstwami. Wiele z nich zresztą zeszło już z rynku. Związek Narodowy, wydawca *Głosu Polskiego*, słabnie. W Związku Polaków, sponsorze *Związkowca*, były potężne organizacyjne i finansowe krachy, co się niewątpliwie odbiło również na losie pisma. Skoro nakłady są tak niskie, zainteresowanie czytaniem prasy polskojęzycznej ukazującej się w Kanadzie jest minimalne. Bardzo niewielu nowo przybyłych wchodzi do starych organizacji, a te które sami zakładają, to raczej kluby sportowe czy salony towarzyskie, artystyczne czy muzyczne nie mające charakteru więzi organizacyjnych. Najlepszym dowodem na to, że organizacje są słabe i nieliczne jest Kongres Polonii. Składki organizacji członkowskich spadły gwałtownie, bo zmniejszyła się liczebność zarówno organizacji, jak i ich członków. Nie stać go prawie na opłacanie sekretariatu. Kongres powinien zmienić swój charakter i dostosować się do nowej sytuacji. Znamienne jest, że wiele imprez natury kulturalnej odbywa się pod protektorem konsulatu czy ambasady, a nawet mają one miejsce na ich terenie. Jednak fakt, że organizacje nie stać na samodzielną działalność, jest sam przez się wystarczająco wymowny. Obecnie organizacje polonijne po prostu nie mają ani organizatorów, ani chętnych do przyścia na zebrania czy imprezy. Nie ma ludzi, którzy by się podjęli zrobienia czegoś społecznie, a przecież teraz niemal na wszystkich uczelniach są polscy pracownicy naukowci. Nie widać, żeby oprócz tego, że są może zapisani do Polskiego Instytutu Naukowego, gdzieś działali społecznie, z bardzo nielicznymi wyjątkami. Dawniej było jednak inaczej. Nie ma też tego, co nazywamy więzią organizacyjną, łącznością, choćby do wystąpienia wobec władz kanadyjskich, poza słabym Kongresem. Nie ma prawdziwych kontaktów z innymi mniejszościami. To, co jest, to fikcyjna zabawa. A tymczasem inne mniejszości w Kanadzie zastanawiają się, czy by nie założyć mini-kongresu w Ottawie, żeby na miejscu mieć mocne lobby. Na to jednak trzeba znaleźć chociażby kilku aktywnych, oddanych ludzi, a takich nie widać.

Wzmiankowana wyżej *Gazeta* już nie jest pismem wiążącym czytelników. Kiedyś, po przeczytaniu *Związkowca* czy dawnego *Głosu Polskiego*, ludzie wiele się o sobie dowiadawali, czuli pewną więź. Dziś *Związkowiec* jest słabo pobiony organizacyjnie. Małym spotkaniom na prowincji poświęca niekiedy dwie strony i ozdabia je licznymi fotografiami. A

tam nic się nie stało. Te same wiadomości z Polski (żywcem z serwisu wzięte) powtarzają się w tym samym numerze. Starzy, lojalni abonenci wymarli lub zrazili się.

Po wielkiej kampanii werbunkowej na pielgrzymkę do Midland wybrało się 240 osób, a dawniej z ks. Capigą szły tysiące, bywało że i kilkanaście tysięcy. To teraz w okresie rzekomej pobożności jest 240.

Nie ma ludzi do roboty za darmo. Jedna z działaczek harcerstwa chciała wciągnąć do pracy niedawno przybyłą panią, a ta zapytała ile płacą. W harcerstwie! I tu chyba leży największa różnica między tym co było, a tym co jest. Wielka radiowa i telewizyjna zbiórka na zapłacenie przelotu do Gdańska specjalisty, który miał ustawić podarowany przez torontoński szpital mikroskop elektroniczny, po czterech tygodniach przyniosła dziewiętnaście tysięcy dolarów. W 1956 roku na apel red. F. Głogowskiego, by zbierać pieniądze na „Chleb dla Polski” w krótkim czasie zebrano 144 tysiące ówczesnych dolarów, a ludzi było mniej i byli znacznie biedniejsi. Dla przykładu, redaktor zarabiał wtedy 50 dolarów tygodniowo. Wielu współpracowników prasy pisało bez honorarium, tylko niektórzy, potrzebujący, dostawali symboliczne pieniądze.

Niedawno, jakimś cudem, konsul w Ottawie doliczył się w Kanadzie 740 tysięcy ludzi polskiego pochodzenia, z tego 370 tysięcy w Ontario, i nie potrafili utrzymać organizacji?

Polityczne powody emigracji z Polski przestały istnieć całkowicie po zlikwidowaniu systemu komunistycznego. Zmiany te, oczywiście, bardzo radośnie przyjęte przez Polonię, nakazywały niejako inne formy działania. Zarobkowa i polityczno-zarobkowa emigracja zakończyła się. Nowa emigracja zarobkowa jest odmienna, ma inne cele.

Solidarnościowcy? Okazuje się, że przybyli tu robić interesy. Nazywanie ich emigracją solidarnościową nie jest właściwe, jest sztuczne. Oni się tak sami nazwali. Najwięksi działacze, dziennikarze, rzecznicy itp. pozostali na emigracji. Do wolnej Polski wrócili jednostki, które można policzyć na palcach jednej ręki.

W poszukiwaniu właściwego miejsca w społeczeństwie kanadyjskim emigranci polscy zasadniczo ignorują zastane formy organizacyjne, które z wyjątkiem kas pożyczkowych, rozporządzających zasobami finansowymi i udzielających chętnie pożyczek, nie oferują materialnych korzyści.

Nie zdają się rozumieć, że lojalności zasadzające się na wspólnym pochodzeniu, kulturze i języku mogą na tym kon-

tyncencie stanowić siłę zdolną kształtować, a przynajmniej wpływać na życie publiczne, a więc pośrednio także na indywidualne losy przybyszów, że potrafią pośredniczyć między narodowymi ambicjami a ograniczoną sytuacją nowo przybyłego imigranta.

Hasło „razem młodzi przyjaciele” pozostaje sentymentalnym, poetyckim zawołaniem bez poważnych konsekwencji wśród Polaków, obawiamy się, nie tylko w Kanadzie.

Benedykt HEYDENKORN, Florian ŚMIEJA

Puszcza Białowieska nie może zginąć

„Lutter pour la nature, c'est éviter la condamnation de l'homme”

Robert Hainard

Puszcza Białowieska umiera. Degradacja białowieskich lasów osiągnęła już taki stopień, że prasa coraz częściej używa słowa „zagłada”. Na nic zdały się analizy i raporty środowisk naukowych. Bez echa pozostała akcja prowadzona przez prasę. Nie po raz pierwszy ze szkodą dla społeczeństwa zlekceważono głos polskiej emigracji. Nie doczekał się realizacji gotowy projekt objęcia ochroną całości polskiej części puszczy.

Na temat unikalnych walorów przyrodniczych i jej znaczeniu dla światowego dziedzictwa kulturowego napisano już bardzo wiele. Nie zdołało to jednak przekonać polskich decydentów politycznych. Swoją arogancję i brak kompetencji kryją oni za nieprzekonywającym argumentem o wzroście bezrobocia związanym z ewentualnym zmniejszeniem eksploatacji puszczy. Nie wolno dopuścić aby „logika natychmiastowego zysku” była jedynym wyznacznikiem polityki dużego środkowo-europejskiego państwa. Kierując się podobną logiką równie dobrze można by podjąć decyzję o przeznaczeniu Wawelu na rozbiórkę. Sprzedaż cegieł dałaby z pewnością jakiś zysk, a bezrobocie chwilowo uległoby zmniejszeniu. W tym prymitywnym

pseudoekonomicznym wyliczeniu nie bierze się pod uwagę społecznych kosztów zniszczenia dziedzictwa kulturowego, kosztów degradacji zdrowia związanych z pozbawieniem Polski najważniejszej części jej „zielonych płuc”, zapomina się o zyskach związanych z turystyką i z możliwością promocji polskiej myśli naukowo-przyrodniczej. Nawet w krajach bardziej zalesionych niż Polska wyłącza się ze sfery produkcyjnej lasy o pierwszoplanowej roli przyrodniczej i kulturalno-historycznej.

Wraz z zagładą puszczy Polska traci szansę odegrania niezależnej jej roli politycznej w tej części Europy. Polsko-litewsko-białoruska polityka wobec puszczy mogła i ciągle jeszcze może stać się wzorem rozwiązywania wspólnych problemów. Nasz kraj traci także wiarygodność na arenie międzynarodowej. Zagłada puszczy dokonuje się w momencie, gdy w Brukseli zapadają decyzje nad przyznaniem miliardowych kredytów na zdefiniowanie i realizację europejskiej polityki przyrodniczej.

Polityka jest sztuką kompromisu, nierzadko bardzo trudnego. Trudno jest jednak mówić o kompromisie, gdy w imię małego zysku niewielkiej części populacji poświęca się dobro należące do całego społeczeństwa. Przyrodniczy Drugiej Rzeczypospolitej, którym przecież zawdzięczamy zorganizowanie Białowieskiego Parku Narodowego, wielokrotnie pisali o odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń, jaką ma każda władza zarządzająca puszczą. Niezrozumienie podstawowych społecznych interesów, arogancja wobec głosów opinii publicznej i nieliczenie się z opinią specjalistów wystawiają złe świadectwo nowej elicie politycznej. Ochrona Puszczy Białowieskiej jest jeszcze jednym z ważkich polskich problemów, których jak dotychczas młoda demokracja nie potrafi rozwiązać.

Najbliższe lata pokażą czy Puszcza Białowieska zdoła przetrwać arogancję i niekompetencję władzy. Co można zrobić aby uniknąć katastrofy? Czy możliwa jest ochrona polskiej przyrody wbrew polskiej władzy? Co robić gdy zawiodą mechanizmy demokratyczne? Wydaje się, że ostatnią już możliwością ratowania białowieskich lasów jest mobilizacja międzynarodowej opinii publicznej. Nie jest to perspektywa zbyt miła dla polskich decydentów. Ogromne zainteresowanie ekologią i wyczuwanie społeczeństw Zachodniej Europy na problematykę ochrony przyrody powodują, że zorganizowanie podobnej akcji nie byłoby specjalnie skomplikowane. Być może nie jest jeszcze za późno. Może polska administracja zgodnie z polskim interesem podejmie odpowiednie decyzje i zdoła uratować puszcze.

Piotr DASZKIEWICZ

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Zawsze wiedziałem, że totalitaryzm ma wiele zalet – dla tego, który sprawuje w nim władzę... Utwierdziło mnie w tym przekonaniu – po raz kolejny – oświadczenie ukochanego wodza Korei Północnej, Kim Jong Ilji. Jedyna publiczna wypowiedź przywódcy narodu koreańskiego składa się z czterech słów: „Chwała bohaterskiemu wojsku ludowemu!” Co za urzekająca lakoniczność w porównaniu z milionami słów, które leją się z ust rosyjskich przywódców i kandydatów na przywódców!

Nagła choroba Borysa Jelcyna zachwiała spokojem mówców, bo możliwość odłożenia wyborów do Dumy na późniejszy termin stała się prawdopodobna. Prezydent Rosji chlubi się co prawda długą historią choroby, ale nikt nie przewidywał, że podroże do Francji i Stanów Zjednoczonych tak go wymęczą. Zaskoczone otoczenie prezydenta zaczęło przemawiać różnymi głosami. Premier Wiktor Czernomyrdin odwiedził chorego i nieopatrznie zasugerował, że należałoby go zwolnić z niektórych obowiązków. Na przykład z kierowania kluczowymi ministerstwami obrony, spraw wewnętrznych, policji politycznej.

Tymczasem okazało się, że syn uralskich chłopów trzyma się mocno. Ze szpitala zaczęły płynąć jeden za drugim ukazy, świadczące o tym, że prezydent czuwa nad krajem. Wydał też oświadczenie, że wybory prezydenta odbędą się 16 czerwca 1996 roku. Do czerwca przyszłego roku daleko. Oświadczenie Jelcyna znaczyło, że wybory do Dumy odbędą się w przewidzianym terminie, w grudniu 1995.

Obie kampanie wyborcze są ze sobą ściśle związane. Po

pierwsze dlatego, że choć konstytucja ogranicza możliwości Dumy, spodziewane zwycięstwo partii przeciwnych Jelcynowi utrudni mu działanie. Po drugie dlatego, że liczba głosów, jakie padną na niektórych kandydatów, w znacznej mierze zdecyduje o ich przyszłości. Mam na myśli kandydatów do Dumy, którzy następnie chcą kandydować na stanowisko prezydenta.

Zostańmy na razie przy Dumie. Wszyscy obserwatorzy i wszystkie sondaże wskazują na prawdopodobieństwo zwycięstwa komunistów i agrarników. Niektórzy komentatorzy uważają, że do Dumy może wejść 75% opozycji. Obok komunistów i wyznawców Żyrynowskiego ważne miejsce w szeregach opozycji zajmuje Zjednoczenie Wspólnot Rosyjskich (KRO). Pisałem już o tej formacji. W ostatnim okresie znaczenie Wspólnot wzrosło. Zjednoczenie skupia Demokratyczną Partię Rosji, rozmaite związki zawodowe, stowarzyszenia weteranów, zjednoczenia producentów. Jednym z zadań KRO jest obrona interesów 25 milionów Rosjan, którzy po rozpadzie Związku Sowieckiego znaleźli się nagle za granicą.

Rosnące znaczenie KRO związane jest z faktem, że na jego czele stoją ludzie, którzy wiedzą, czego chcą. Zjednoczenie założył Jurij Skokow, który wprowadził doń zjednoczenie producentów, reprezentujące interesy drobnego przemysłu. O Skokowie pisuję od dawna, bo śledzę jego uporczywe, spokojne postępy ku władzy. Niedawno udał się w podróż do Ameryki, czym dał wyraz zainteresowaniu dla „amerykańskich imperialistów” i pokazał, że także Waszyngton interesuje się obiecującym liderem. Dotychczas ulubieńcem amerykańskich mediów był Grigorij Jawliński. Niewykluczone, iż amerykańscy eksperci zrozumieli, że choć młody i przystojny, Jawliński ma niewielkie szanse, mimo że jest dość popularny wśród widzów.

Sława Jawlińskiego datuje się z czasów, kiedy przy Gorbaczowie był członkiem rządu i przedstawił projekt „500 dni”, które miały uratować gospodarkę rosyjską. Nikt się nie dowie, jak było naprawdę, ale mówiono, że Gorbaczow projekt odrzucił.

Dziś obok Jurija Skokowa rządzi KRO wódz Partii Demokratycznej Rosji, Siergiej Głaziew. Jest to człowiek młody, poniżej czterdziestki, i uchodzi powszechnie za naj-

zdolniejszego rosyjskiego ekonomistę. Był w rządzie Gajdara, ale popadł w niełaskę w 1993 roku, bo nie zgadzał się z polityką Jelcyna. Siergiej Głaziew jest ważną figurą w Zjednoczeniu Wspólnot Rosyjskich. Chodzą słuchy, że to on jest autorem programu ostrych reform, które mogą wyciągnąć Rosję z kryzysu. Sam Głaziew mówi, że najważniejsze w działalności KRO jest „stworzenie nowej idei narodowej, zdolnej zespolic cały kraj”. Taką ideą może być, jego zdaniem, „idea państwowości rosyjskiej”, którą jakoby odrzucają komuniści i radykalni liberałowie.

Znaczenie KRO wzrosło, kiedy szeregi jego zasilili generał lejtnant Aleksander Lebied' obejmując stanowisko wiceprzewodniczącego. Jurij Skokow zajmuje się organizacją, Siergiej Głaziew gospodarką, a Aleksander Lebied' sprawami wojskowymi. Gazeta *Zawtra* (Jutro) wydrukowała w listopadzie 1995 komunikat: „Stosunkowo niedługo po tym, jak zaczęła urzędowanie kancelaria wiceprzewodniczącego Zjednoczenia Wspólnot Rosyjskich gen. lejtnanta Aleksandra Lebiedia, zwróciły się już do niej setki żołnierzy, poczynając od generałów Sztabu Naczelnego, a kończąc na podporucznikach IV Kantemirowskiej Dywizji Pancerniej”. W komunikacie mowa jest o tym, że Aleksander Lebied' jest „najpopularniejszym przywódcą wojskowym i wyraża interesy ogromnej większości rosyjskiego korpusu oficerskiego”. Całkiem niedawno zgłosiła się do Aleksandra Lebiedia grupa oficerów i generałów Sztabu Głównego Strategicznych Broni Nuklearnych, aby poskarżyć się na brak funduszy.

Jedna z gazet Żyrynowskiego, zatytułowana skromnie *Sokół Żyrynowskiego* (na okładce widnieje rzeźba czarnego sokoła z rozpostartymi skrzydłami i duży portret wyprostowanego jak struna Żyrynowskiego), opublikowała duży artykuł pod tytułem „Trzy błędy generała Lebiedia”. Trzy błędy sprowadzają się do jednego, tego mianowicie, że gen. lejtnant nie wstąpił do partii podpułkownika (z niedawnego mianowania ministra Graczowa).

Aleksander Lebied' nie poszedł do Żyrynowskiego nie tylko z powodu jego niskiej rangi. Zainteresowanie Żyrynowskim w ogóle osłabło, tym bardziej że inni politycy przechwycili wiele jego haseł. W szczególności Lebied'. Poza tym KRO jest znacznie poważniejszym ugrupowaniem aniżeli

Liberalno-Demokratyczna Partia rozmiłowanego w skandalach podpułkownika.

Skoro mowa o wyborach, należy wziąć pod uwagę fakt, że ludność Rosji się zdecydowanie starzeje. Jedna trzecia liczy ponad 45 lat, a jedna piąta ponad 60. Na 150 milionów obywateli Rosji około 35 milionów jest na emeryturze. Ponad 20 milionów z tej grupy pójdzie do urn. Jest to najpotężniejszy blok wyborczy w Rosji. Młodzi, jak wynika z sondaży, głosować nie chcą. „Szare pantery”, jak swoich starszków nazywają Amerykanie, będą głosować na własną młodzież. Ale ekstremizm Żyrynowskiego i jawnych faszystów (Żyrynowski oburza się, kiedy nazywać go faszystą) budzi strach. W ustach Skokowa, Głaziewa, a zwłaszcza Aleksandra Lebiedia, te same hasła brzmią znacznie bardziej zachęcająco.

Z sondażu przeprowadzonego w październiku 1995 wynika, że popularność ewentualnych kandydatów na stanowisko prezydenta kształtuje się następująco: Lebied' – 14%, Jawliński – 12%, Czernomyrdin – 10%, Jelcyn – 7%, Ziuganow – 6%, Żyrynowski – 6%, Ruckoj – 5%, Sołżenicyn – 5%, Gajdar – 3%.

23% indagowanych nie wiedziało, na kogo będą głosować. Liczby te przekonywająco świadczą o tym, że Aleksander Lebied' zbiera głosy, które mogły rozłożyć się na Żyrynowskiego, Ziuganowa, Ruckiego. Jednak do prezydenckich wyborów daleko. Aleksander Lebied' musi najpierw zdać egzamin wyborów do Dumy. Do tego dochodzi dodatkowa okoliczność. Jurij Skokow ma 57 lat. Od co najmniej 4 lat systematycznie i starannie buduje sobie strukturę władzy. Niedługo przed chorobą Borys Jelcyn, niezbyt zadowolony z działalności premiera, zrobił aluzję do innej stosownej kandydatury, mianowicie Jurija Skokowa. Kiedyś, wkrótce po tym jak został wybrany, Borys Jelcyn uważał Skokowa za swego najwierniejszego sojusznika. Jurij Skokow stworzył Radę Bezpieczeństwa przy prezydencie i był jego pierwszym sekretarzem. Wszedł jednak w konflikt z Jelcynem i opuścił go. Kiedy Jelcyn zachorował, Skokow ostro skrytykował działalność prezydenta: „System stworzony w imieniu Borysa Jelcyna na gruzach państwa sowieckiego – oświadczył na konferencji prasowej 3 listopada – nie jest ani demokratyczny, ani praworządny, nie zna normalnych praw

ani odpowiedzialności i możliwości swoje wyczerpał” (*Niezawisimaja Gazeta*, 4.11.1995).

W polityce wszystko jest możliwe. Niewykluczone więc, że Jelcyn sprzymierzy się ze Skokowem, zwłaszcza jeśli blok „Rosja naszym domem” pod przewodnictwem Czernomyrdina poniesie dotkliwą porażkę w wyborach do Dumy. W takim przypadku Jurij Skokow może wystawić swoją kandydaturę na stanowisko prezydenta, a Lebiediu zostawić ministerstwo obrony.

Są to wszystko spekulacje. W rzeczywistości Rosja czeka na wyniki wyborów. Jak bardzo kraj zastętył w oczekiwaniu, widać wyraźnie w Czeczenii. Wojna skończyła się i zarazem nie skończyła. Kto zwyciężył? Kto przegrał? Nie wiadomo. Jedna trzecia republiki na północ od rzeki Terek nie była historycznie ziemią czeczeńską. Rosyjską kontrolę znoszono tu spokojnie, jak coś należnego. Druga trzecia kraju to przedgórze: stąd wojska rosyjskie przegnały partyzantów Dudajewa. Reszta to góry. Góry są w rękach Dudajewa, chociaż i tam prawdziwa władza znajduje się w rękach starszyzny, która rządzi 400 wsiami.

W październiku Aleksander Sołżenicyn pojechał do Penzy i tam jak wszędzie odpowiadał na wszystkie pytania ludzi, którzy chcieli z nim rozmawiać. Na pytanie o Czeczenię pisarz jak zawsze odpowiada jasno: Z Czeczenii należało od razu zrezygnować. Po co jej się trzymać, czyżby Czeczenia przynosiła nam jakieś bogactwa?

Taki stosunek do Czeczenii i w ogóle do imperium rosyjskiego wyjaśnia niską pozycję Aleksandra Sołżenicyna w szeregu ewentualnych kandydatów na prezydenta. Wszyscy inni bezustannie mówią o mocarstwie. Książka, którą dopiero co wydał Aleksander Lebied' – a nie robił wrażenia pisarza – nosi tytuł „Żal po mocarstwie”, zaś partia Aleksandra Ruckiego nazywa się po prostu Mocarstwo.

Współczesny słownik języka rosyjskiego definiuje słowo „mocarstwo” jako „niezależne państwo prowadzące samodzielną politykę”. Nie to mają oczywiście na myśli rosyjscy politycy. Słownik Władimira Dahla z drugiej połowy dziewiętnastego wieku „mocarstwo” definiuje jako „władztwo, potęgę”. Lebiediu, Rudzkiemu i innym o to właśnie chodzi.

Aleksander Sołżenicyn z goryczą mówił w Penzie o losie 25 milionów rodaków, porzuconych w byłych republikach sowieckich. Ubolewał nad tym, że nikt nie chce pomóc „odciętym Rosjanom”. Autor „Czerwonego Koła” powiada: „To też nasz charakter narodowy. To też nasza świadomość narodowa! Jakież kraj rzuciłby w niepamięć 25 milionów swoich obywateli? A my, proszę, rzucamy i zapominamy!”

To prawda. Rosjan porzucono, nikt nie chce o nich pamiętać, a jeśli emigrują do Rosji, mogą liczyć tylko na minimalną pomoc, ale to dlatego, że są potrzebni tam, gdzie są. Moskwa przypomni sobie o nich, kiedy mocarstwo rosyjskie zacznie zbierać swoje ziemie, kiedy okrzepłszy nieco, spróbuje wskrzesić imperium.

14.11.1995

Adam KRUCZEK

Powakacyjne refleksje

MIĘDZY NOSTALGIĄ A RZECZYWISTOŚCIĄ

Kończący się rok był rokiem nieustannych rocznic, jubileuszów, wspomnień. Ukraińcy pośród wszystkich Słowian chyba najwięcej i najczęściej urządzą takie obchody. Jest to wyrazem psychiki narodowej, miłującej się w cikliwym sentymentalizmie, chociaż na inflację historycznych styp wpływają też inne motywy, jak żywiołowy pęd do nadrobienia niezawinionych zaległości, lub powielanie wyniesionych z komunistycznych czasów obowiązkowych akademii rocznicowych, które w systemie totalitarnym bywają namiastkami rzeczywistych ruchów społecznych, a jednocześnie sztucznym zapełnianiem powszechnej nudy i beczynności. Emigracja z racji księżycowej polityki, nie grzeszyła również zbytnią abstynencją i w ciągu długich dziesięcioleci wytworzyła nawet – zwłaszcza w środowiskach tak zwanego integralnego nacjonalizmu –

sztynny rytuał patriotycznych manifestacji, będący rdzeniem mobilizacji i manipulacji podstawowej masy wychodźstwa. Mimo diametralnie odmiennych treści i celów, obydwie formy, „krajowa” i „emigracyjna” zlały się w niepodległej Ukrainie w nową syntezę. W ten sposób okolicznościowa retoryka pozwala wielu demagogom i populistom odziewać się w szaty działaczy społecznych. Jest to najbardziej chodliwa metoda maskowania ideowej pustki i organizacyjnej niezaradności.

Szerzy się też powszechna epidemia urządzania wszelkiego rodzaju „praktyczno-naukowych” konferencji. Nie wiem kto ten absurd wymyślił, ale inflacja zebrań tego typu jest wręcz zaskakująca. Na Zachodzie choroba ta, przyniesiona po drugiej wojnie światowej z gadatliwej Ameryki, też się rozpanoszyła. Ale tutaj panuje mimo szaleństwa pewna doza racjonalności i porządku. Zresztą jest to związane z kontrolą finansów, ograniczającą do pewnej miary wyrzucanie pieniędzy w błoto. U nas wygląda to w ten sposób, że kilku panów umawia się, że urządzą kolejną praktyczno-naukową konferencję, i ustalają taki termin, że nikt z uczestników nie jest w stanie jako tako przygotować się do prelekcji. Kilku facetów-organizatorów wygłasza płomienne lub nudne przemówienia, plenum uchwała mniej lub więcej bombastyczne rezolucje, wszyscy obiecują przysłać teksty swych wystąpień i na tym się wszystko kończy. Zagranicznym gościom początkowo to się podobało. Z czasem jednak zrozumieli, że to jest po prostu chaos i nieudolność organizacyjna. Ale moich ziomków wcale to nie wzrusza. Tak się stało na początku listopada z Kongresem byłych więźniów politycznych, na którym uchwalono utworzenie międzynarodowego trybunału dla osądzenia i pociągnięcia do odpowiedzialności zbrodniarzy komunistycznych. Jest to inicjatywa mocno spóźniona i praktycznie nieziszczalna. Na Ukrainie nigdy nie miała miejsca powszechna debata narodowa na ten temat, nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności i nie ma żadnych przepisów prawnych, które umożliwiłyby wdrożenie procedury karnej. Większość polityków niekomunistycznych zdaje sobie z tego sprawę, a nowy minister sprawiedliwości, Serhij Hołowatyj oświadczył, że jakiegokolwiek „lustracje” nie wchodzi obecnie w grę. Nie ma innego wyjścia jak zastosowanie powszechnego przebaczenia na wzór hiszpański po upadku tamtejszego systemu dyktatury. Nie lepiej wyszło z konferencją intelektualistów ukraińskich, protestujących przeciwko zjawisku rerusyfikacji.

Niestety tak się składa, że niekiedy data kongresów lub

obchodów-efemeryd napotyka ważne daty historyczne. Tak się stało jesienią 1995 roku z 400-leciem urodzin Bohdana Chmielnickiego. Władze miejskie w Czyhyrynii kazały starym zwyczajem pomalować na glanc fasady domów, a dostojnicy państwowi przyjechali z Kijowa na odsłonięcie pomnika hetmana.

I na tym cały jubileusz się skończył. Nie doszło do poważnej konferencji naukowej i nie wydano żadnych solidnych publikacji, które zaprzeczałyby krążącym po dzień dzisiejszy rosyjskim i sowieckim fałszom o polityce zagranicznej Chmielnickiego. Niejako antytezą tych improwizacji była konferencja o stosunkach między Ukrainą a Niemcami i Austrią pod egidą, austriackich i niemieckich ośrodków naukowych i kulturalnych, a zwłaszcza hrabiny Uty von Baudissin, bardzo aktywnej kierowniczki niemieckiego instytutu kultury imienia Goethego w Kijowie. Referaty były na czas przygotowane, organizacja sprawna, mimo że nie pruska, a południowo-niemiecka.

Rządy też nie stronią od bałaganiarskiej nostalgii. Najlepszą dla nich wymówką jest określenie „stanu przejściowego”. Tym mglistym pojęciem można wszystko wytłumaczyć i usprawiedliwić. Sprawia to, że dotychczas ani władze kierownicze ani polityczne partie – poza komunistami, którzy nie tylko cierpią na nostalgię po Związku Sowieckim, ale się do tej tradycji otwarcie przyznają – nie powiedziały otwarcie do jakiego rodowodu politycznego się przyznają. Galimatias na tym polu jest powszechny. Nikt nie ma odwagi powołać się na pierwowzór republikański Petlury lub konserwatywny Skoropadskiego. W rezultacie zupełna kasza postkomunistyczna i postnacionalistyczna. Widać to w nazewnictwie. Na Wschodzie pełno jest jeszcze ulic i placów Lenina, a nawet Dzierżyńskiego, na Zachodzie Bandery i niekiedy Melnyka. Rzadko, takich demokratów jak Starosolski lub generał i przywódca dysydentów, Hryhorenko. Największym wstydem, jest fakt, że w Kijowie nie ma ani jednego placu lub ulicy imienia Petlury. Za to rocznica krwawego przewrotu bolszewickiego czyli tzw. rewolucji październikowej była w tym roku w Kijowie oficjalnie uznana za rocznicę historyczną a ludność otrzymała nawet w prezencie dwa dni wolne od pracy. Tylko Lwów i większość miast w Galicji, na Wołyniu i na Bukowinie zignorowały tę osobliwą retro-nostalgię w niepodległej Ukrainie.

Bohdan OSADCZUK

Kronika kulturalna

Mychajło Dobrianskyj

7 listopada obchodził w Londynie 90-te urodziny Mychajło Demkowycz-Dobrianskyj, szczerzy i zasłużony demokrat, wytrwały zwolennik porozumienia polsko-ukraińskiego, historyk, publicysta.

Poznaliśmy go już po wojnie w Monachium, gdzie oprócz nacionalistycznego getta istniała nieduża, ale pulsująca grupa ukraińskich polityków i intelektualistów-demokratów, do której oprócz Jubilata należeli już nie żyjący: Bohdan Kordiuł, Borys Lewyckij, Anastas Figol, Emma Andijewska, Iwan Koszeliwec, Iwan Majstrenko, Zenon Pełenski, Andrij Biłyński, Daria Rebet, Lidia i Zenon Marczuk. Ja przyjechałem z Berlina.

Dobrianskyj był wtedy kierownikiem ukraińskiego programu w radiostacji „Swoboda”, równoległej do Radia Wolnej Europy. Wówczas, za czasów Nowaka, Żenczykowskiego, Zaremby, ważnym aspektem „naszej” grupy były dyskusje polsko-ukraińskie. Monachium było wtedy, obok Paryża, Londynu i częściowo Nowego Jorku, ważnym ośrodkiem dialogu polsko-ukraińskiego. Była to już druga faza po wyjeździe pionierów w tym dziale, Paprockiego, Katelbacha i Piotrowskiego po polskiej stronie, i wyjeździe Pełenskiego do USA po śmierci Wołodymyra Stachiwa. W tamtych monachijskich latach Mychajło Dobrianskyj znalazł czas na napisanie poważnej pracy o stosunkach polsko-ukraińskich w Galicji w XX stuleciu, a trochę potem książki o dwóch namiestnikach Wiednia we Lwowie, Bobrzyńskim i Potockim.

W swoim długim życiu Mychajło Demkowycz-Dobrianskyj napisał wiele prac, setki esejów, tysiące artykułów w prasie codziennej i tygodnikach. Oto najważniejsze pozycje: studium o Machiavellim, praca o Dostojewskim, Bierdiajewie i Mereżkowskim, książka o stosunkach między Rosją i Ukrai-

ną, polityczny esej o roli Doncowa w ukraińskiej myśli politycznej, potem o roli metropolity Szeptyckiego, o strasznym losie ukraińskich jeńców wojennych w Niemczech w czasie drugiej wojny światowej.

Należał też do grupy publicystów pisma *Widnowa*, które miało stać się czymś w rodzaju *Kultury*. Niestety, projekt nie udał się, i nie czas i nie okazja aby się rozwodzić o przyczynach. W każdym razie była to poważna klęska słabej ukraińskiej demokracji na emigracji. Ale mimo to dokonaliśmy w porównaniu z innymi publikacjami przełomu w traktowaniu stosunków polsko-ukraińskich, gdyż wydaliśmy dwa pełne numery poświęcone wyłącznie tej tematyce. Dobrianskyj należał do głównych filarów tego przedsięwzięcia.

Od początku swej działalności politycznej i publicystycznej był i jest wyznawcą idei demokratycznych w sposób otwarty i bezkompromisowy, co często przysparzało mu wielu nieprzyjemności, szczególnie ze strony naszych „integralnych nacjonalistów”. A działalność ta dla urodzonego 7 listopada 1905 roku, pochodzącego ze starej rodziny drobnej szlachty na Łemkowszczyźnie w wiosce Dobra Szlacheczka koło Sanoka, zaczęła się bardzo wcześnie, bo już podczas studiów na uniwersytetach we Lwowie, Wiedniu i Berlinie. Był działaczem młodzieżowym w organizacji harcerskiej „Płast”, a od 1928 należał do największej partii demokratycznej w Galicji UNDO. Jednocześnie działał aktywnie w świeckim ruchu katolickim. Od 1934 do 1939 roku stał na czele Ukraińskiego Związku Katolików, organizacji powołanej do życia z inicjatywy metropolity Szeptyckiego. W czasie wojny pracował społecznie pod przewodnictwem prof. Kubijowycza we lwowskim oddziale Ukraińskiego Komitetu. Na emigracji w Niemczech, a potem w Londynie, należał do parlamentu na emigracji, Ukraińskiej Rady, z ramienia UNDO. Od połowy lat 50-tych do odejścia na emeryturę w 1972 roku kierował ukraińskim oddziałem radiostacji „Swoboda” w Monachium. A najdłużej był redaktorem lub publicystą we lwowskich pismach *Meta* i *Dzwony*, a na emigracji w *Ukraińskiej Dumce* w Londynie, w pismach *Nasz Hotos* i *Ukraiński Wisti* w USA, i we wspomnianym *Widnowie*.

Przez dwa lata zbierał materiały do beatyfikacji wielkiego metropolity Andrzeja Szeptyckiego.

Dla przyjaciół rozsianych po całym świecie jest po prostu miłym druhem o przezwisku Mychacho. Sto lat!

Bohdan OSADCZUK

Granice poznania

CYKL SPOTKAŃ AUTORSKICH W RAMACH
„GRENZENLOS WARSCHAU-BERLIN” – JESIEŃ 1995

„Grenzenlos” czyli „Bez granic” – taką oto nazwę obrał senat berliński dla corocznych imprez kulturalnych mających za cel wymianę kulturalną pomiędzy Berlinem a jedną ze stolic krajów Europy środkowo-wschodniej. Po cyklach imprez poświęconych stolicom Czech, Bułgarii i Węgier przyszła kolej na Polskę, czyli na *grenzenlos Warschau-Berlin*. *Kulturelle Begegnung mit Polen*. W imprezach *grenzenlos* biorą udział teatry, orkiestry, literaci oraz organizowane są wystawy sztuki wymagające niemałego nakładu pracy. Konceptcją programu zajęło się w tym roku czternaście instytucji berlińskich pod patronatem senatu. Strona druga, to znaczy urząd miasta zaangażowanego w *grenzenlos*, jest zobligowana do pokrycia kosztów podróży artystów. Niemalże podczas każdego *grenzenlos* dochodziło do problemów z pokryciem kosztów podróży, tak że dyskusje ze stroną polską na ten temat nie należały do wyjątków. Mimo podobnych trudności organizacyjnych słyszało się w Berlinie głosy, iż organizacja imprezy „Warschau-Berlin” odbyła się pod szczególnie nieszczęśliwą gwiazdą. Dwukrotnie przesuwano termin *grenzenlos*, aż w końcu prawie pokrył się on z terminem równie wielkiej i interesującej wymiany kulturalnej z Rosją. Strona polska, to znaczy obsada Polskiego Instytutu Kultury i Urząd Miasta Warszawy, zarejestrowała wyraźne dyplomatyczne *faux pas* urzędnika senackiego zajmującego się wymianą kulturalną, który przelatując kilkanaście razy samolotem nad Polską w drodze do Moskwy, nie raczył złożyć odpowiednio wcześniej wizyty w Warszawie. Senat berliński natomiast liczył na pośredniczącą rolę Instytutu Kultury Polskiej, który zobowiązany był przekazać wiadomości o planach powstających w Berlinie, i z zadania tego nie wywiązał się

zadowalająco, blokując komunikację pomiędzy obydwooma stolicami. Czyli sytuacja prowokująca wręcz zaangażowane strony do potwierdzania wiecznych uprzedzeń dotyczących stosunków polsko-niemieckich. Problemy te zostały również odpowiednio skomentowane w dwutygodniku berlińskim *Tip*: „Fatalny był termin tego z dobrymi chęciami zorganizowanego ‘Kulturalnego spotkania z Polską’. I zupełnie niedostateczna prezentacja. Kiedy przyjmowano Rosjan ze wszystkimi dyplomatycznymi i kulturalnymi honorami, na najwyższej senackiej płaszczyźnie (...), Polacy wylądowali na płaszczyźnie komunalnej. A to jest zdecydowanie za mało. (...) W stosunkach polsko-niemieckich nic nie jest samo przez się zrozumiałe; jeszcze nie jesteśmy aż tak zażyłymi sąsiadami”.

Oprócz teatru, muzyki, sztuki i filmu jednym z punktów ciężkości programu *grenzenlos Warschau-Berlin* była literatura, której w szczególności poświęcony jest ten artykuł. Aż cztery berlińskie instytucje postarały się o zaproszenie twórców współczesnej literatury polskiej. Wschodniobерliński *Literaturwerkstatt Pankow* zaprezentował panoramę młodej poezji polskiej z udziałem m.in. Andrzeja Stasiuka, Macieja Niemca i Marcina Świetlickiego. W *Akademie der Künste* odbyły się spotkania autorskie według motta „Polacy – wędrowcy świata”, na które zaproszono autorów o znanych nazwiskach i wielkim dorobku artystycznym. Tydzień później w *Literarisches Colloquium Berlin* czytało swoje teksty sześć autorek – prawie wszystkie są debiutantkami lat dziewięćdziesiątych. Podobnej koncentracji literatury polskiej na żywo Berlin nie przeżył jeszcze chyba nigdy.

Zainteresowanie literaturą polską osiągnęło w Republice Federalnej swój szczyt na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy publikowano średnio piętnaście nowych tytułów polskich rocznie. Regularnego wydawania tłumaczeń dzieł polskich w NRD nie trzeba chyba tutaj wymieniać, dość nadmienić istniejącą wówczas sytuację polityczną i oficjalnie popieraną wymianę kulturalną pomiędzy obydwooma państwami bloku socjalistycznego. Kiedy jednak w Niemczech Zachodnich polityka wydawnictwa kładła nacisk na wydawanie dzieł autorów opozycyjnych, często w Polsce objętych cenzurą lub przebywających za granicą, w NRD koncentrowano się na klasyce lub dziełach

zajmujących się tragicznymi skutkami Drugiej Wojny Światowej. Po kolejnych przewrotach politycznych w Polsce ewidentnie ograniczano w Niemczech Wschodnich publikację polskich książek. W odbydwu częściach Niemiec zajmowano się zupełnie innymi autorami: w Republice Federalnej tłumaczono Mrożka, Różewicza, Miłosza i Gombrowicza, w NRD wydawano Iwaszkiewicza, Putramenta, klasyków literatury dziewiętnastego wieku i literatury *science fiction*. Jedynym autorem tłumaczonym równie często i chętnie w obydwu częściach Niemiec był Stanisław Lem. Równolegle do siebie powstawały dwie historie recepcji literatury polskiej w Niemczech. Berlin, w którym zjednoczenie Niemiec jest najbardziej namacalne, wydaje się być najodpowiedniejszym miejscem na dokonanie syntezy dotychczasowego podziału w recepcji literatury polskiej. Nadto, o czym wypada także przypomnieć, właśnie w Berlinie przyznawane są od wielu lat prestiżowe stypendia *Künstlerprogramm DAAD* dla artystów. Inicjatorem tych stypendiów była Fundacja Forda, dzięki której Gombrowicz trafił do Europy właśnie przez Berlin. W swoich berlińskich wspomnieniach opisuje on wieczór autorski w *Literarisches Colloquium Berlin* z założycielem tej instytucji, profesorem Walterem Höllerem. Gombrowicz był pierwszym polskim gościem *Literarisches Colloquium* i *DAAD*, po nim zawitali do Berlina na dłuższe pobyty Sławomir Mrożek, Zbigniew Herbert, Tadeusz Różewicz, Konrad Swinarski, Ryszard Kapuściński, Ryszard Krynicki i Hanna Krall.

W wieczorach autorskich organizowanych przez instytucje zachodniobерlińskie uderzała obecność literaturoznawców i tłumaczy zarówno z nowych, jak i starych landów. Wprowadzenia do Mrożka dokonał świetny sławista wschodniobерliński, Dietrich Scholze, autor historii polskiego dramatu dwudziestego wieku (1989). Pierwszym autorem, który wystąpił trzeciego października w cyklu wieczorów autorskich *grenzenlos Warschau-Berlin* był Sławomir Mrożek. W wielkiej, wypełnionej do połowy sali *Akademie der Künste* czytał ten najczęściej na niemieckich scenach grywany polski autor krótkie teksty wchodzące w skład nowego tomu prozy przygotowywanego do druku przez szwajcarskie wydawnictwo Diogenes. Publiczność była mieszana, obok polskich berliń-

czyków znalazło się wielu niemieckich słuchaczy, którzy sądząc po wieku, na pewno zetknęli się z Mrożkiem podczas jego rocznego pobytu w Berlinie na stypendium Programu Artystycznego DAAD w roku 1974/75. „Mimo, iż nie jestem Marleną Dietrich, mam jeszcze jedną walizkę w Berlinie”, zapewnił Mrozek, widocznie wzruszony powrotem do miasta, z którym łączy go przyjemne wspomnienie. Walizkę zostawił Mrozek jednak nie tylko w Berlinie, ale i w wielu innych europejskich miastach. Dziś autor „Policji” podkreśla, iż nigdy nie czuł się uchodźcą i że jego wyjazd z Polski podyktowany został poprzez osobistą chęć zmiany miejsca zamieszkania, nie został z kraju tego wyrzucony. Zapytany o powody przeprowadzki do Meksyku odpowiada żartobliwie, iż po tylu przeprowadzkach można tylko i wyłącznie wynieść się na inny kontynent. W Meksyku żyje Mrozek z dala od miejskich centrów kulturowych. „Eksperyment się powiódł” – odpowiada na pytanie o samopoczucie i podkreśla zbawienną dla niego rolę zajmowania się prostymi czynnościami życia codziennego, które kiedyś uważał za banalne. A co pozostało z literackiego fantasty, co robi satyryk, któremu kończy się materiał własnych doświadczeń z nieludzkimi systemami politycznymi? „Myślę, że zawsze znajdę sobie tematy”, mówi Mrozek, „ponieważ z niczym się nie zgadzam. Oponowałem nie tylko przeciwko komunistycznemu systemowi. Ja już się taki urodziłem”. Literatury nigdy nie traktował jako misji i jest raczej pełen sceptycyzmu w stosunku do roli pisarza w dzisiejszych czasach. Satyryk może sobie dzisiaj co prawda na wiele pozwolić, ale nikt go już nie słucha. Literatura jest dla Mrożka dziedziną, w której najlepiej funkcjonuje, niczym więcej.

Gościem zawsze mile widzianym w *Akademie der Künste* jest Zbigniew Herbert. Zaproszony do udziału w *grenzenlos*, nie mógł przyjechać z powodów zdrowotnych ku ubolewaniu miłośników poezji. Jego świeżo przetłumaczony tom „Rovigo” wzbudził w Niemczech wielkie zainteresowanie i sprowokował entuzjastyczne wręcz recenzje na pierwszych stronach dodatków literackich tamtejszych gazet. Akademia zorganizowała dla nieobecnego Herberta wieczór – *hommage* z udziałem na prędko sprowadzonego z Poznania Ryszarda Krynickiego. Krynicki czytał Herberta znakomicie.

Wielką niespodzianką dla organizatorów *grenzenlos Warschau-Berlin* stał się wieczór Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Był on jedynym z zaproszonych na spotkanie autorskie współczesnych polskich klasyków, który nigdy nie przebywał w Berlinie na stypendium DAAD. Jeden raz tylko, przed laty, zawitał Herling do Berlina Zachodniego, lecz nie miał wtedy okazji, aby spotkać się z publicznością niemiecką. Szóstego października, w dzień spotkania z Herlingiem, sala Akademii wypełniła się po brzegi. W oczy wyraźnie rzucała się przewaga publiczności bardzo młodej, stosunkowo niewielu Polaków. Rzetelnego wprowadzenia w twórczość Herlinga-Grudzińskiego dokonał Leszek Szaruga. Mimo, iż prestiżowe wydawnictwo Hanser wznowiło w zeszłym roku opowiadanie „Pietà dell'Isola”, jednogłośnie chwalone przez wielu znanych niemieckich recenzentów, Herling nie należy w Niemczech do powszechnie znanych polskich autorów. A jeśli jest czytany, to często jako autor włoski, tak iż zaprezentowanie Herlinga w kontekście kultury polskiej wydawało się szczególnie konieczne. Na wiosnę będzie wydany wybór opowiadań Herlinga „Portret wenecki”, potem wydawnictwo Hanser szykuje „Inny świat” w nowym tłumaczeniu. Na berlińskim wieczorze zostało przeczytane jedno z opowiadań wchodzących w skład nowego tomu – „Srebrna szkatułka”, które w znakomitej interpretacji aktora Götza Schweighofera wprowadziło publiczność w niekłamany zachwyt. Nawet sam autor przysłuchiwał się w skupieniu niemieckiej wersji swojego tekstu – po raz pierwszy w życiu miał okazję ocenić niemieckojęzyczne brzmienie swojej prozy. Mocnym uderzeniem zakończył Szaruga wprowadzenie do spotkania z Herlingiem: „Literatura jest dla Herlinga (...) osiągnięciem stanu, w którym jednocześnie na chwilę zapominamy o zasadach moralnych i na chwilę przyjmujemy ich wyłączność”.

W odrożnieniu od Mrożka, Herling-Grudziński wierzy w posłannictwo pisarza, co potwierdził w rozmowie z Leszkiem Szarugą, przeprowadzonej dla *Sinn und Form*, renomowanego czasopisma *Akademie der Künste*. „Pisarz jest dla mnie człowiekiem, który w to, co pisze, angażuje się całą swoją istotą. On nie wykonuje zamówień, lecz pisze to, co myśli.”

Działalności Herlinga-Grudzińskiego jako autora *Kultury* poświęcony był także wieczór w Akademii Ewangelickiej

prowadzony przez Ludwiga Mehlhorna, jednego z czołowych działaczy byłej opozycji w NRD, który nauczył się był języka polskiego, aby mieć dostęp do literatury polskiej i nawiązać osobisty kontakt z polską opozycją polityczną. Spotkanie to było jednym z pierwszych kroków w Republice Federalnej mających za zadanie przebliznienie intelektualistom niemieckim bezprecedensowej historii i roli tego pisma.

Cykl wieczorów autorskich w *Akademii der Künste* zakończył wieczór z Tadeuszem Różewiczem. Wprowadzenia dokonał najbardziej znany z tłumaczy Różewicza, Karl Dedecius. Wiersze Różewicza stały się już klasykami poezji światowej. Dlatego przykrojenie cytatu Gertrudy Stein na miarę Różewicza: „Różewicz jest Różewiczem” było nie tylko kurtuazyjnym gestem, ale w pełni usprawiedliwionym hołdem złożonym poecie.

Tydzień później, od 17 do 18 października odbyła się w *Literarisches Colloquium Berlin* seria spotkań z autorkami nadającymi dzisiaj ton w „młodej” prozie polskiej. Jedyną poetką w tym gronie była krakowska autorka Mira Kuś, niedawno publikowana na łamach wspomnianego już tutaj *Sinn und Form*. W trzech wieczorach autorskich w pięknie położonej willi nad jeziorem Wannsee wzięły ponadto udział Anna Bolecka, Magdalena Tulli, Olga Tokarczuk, Hanna Kowalewska i Natasza Goerke. Są to autorki na terenie Niemiec jeszcze nie znane i wszystkie teksty, oprócz „Białego kamienia” Boleckiej, drukowanego już w roczniku *Deutsches Poleninstitut* w Darmstadt, zostały specjalnie na cykl tych spotkań przetłumaczone. Wśród publiczności dominowali „koledzy po fachu” – slawiści, berlińscy autorzy związani z LCB, wydawcy, dziennikarze i ludzie tworzący życie kulturalne Berlina. Doceniona została wysoka jakość literacka zaprezentowanych tekstów i odnotować można było wyraźną chęć usłyszenia całości czytanej we fragmentach prozy. Można tylko wyrazić nadzieję, iż rozmowy na werandzie *Literarisches Colloquium* zaowocują publikacjami.

Dla wszystkich autorek był to pierwszy pobyt w Berlinie. Na Magdalenie Tulli, zafascynowanej historią miast, wielkie wrażenie wywarła bolesna historia podziału Berlina, w przeszłości przemilczana przez media, a i dziś mało obecna w polskich środkach masowego przekazu.

Tak więc nazwa opisanych tu imprez z cyklu *grenzenlos* nabrała zupełnie innego niż przez organizatorów zamierzone znaczenia: uświadomienia sobie granic poznania dwóch sąsiadujących ze sobą kultur, granic, których pokonywanie dopiero się rozpoczyna.

Dorota DANIELEWICZ-KERSKI

II Spotkania Kultur

W dniach 28.09-1.10.1995 r. w siedzibie Teatru NN, przy ul. Grodzkiej 34 w Lublinie odbywały się II Spotkania Kultur. Głównym celem Spotkań jest przybliżenie polskiemu odbiorcy sztuki narodów sąsiadujących z Polską i współtworzących dziedzictwo kulturalne tej części Europy. Organizatorem przedsięwzięcia był Teatr NN, honorowy patronat sprawował prezydent Miasta Lublina, a środków finansowych udzieliły Fundacja Stefana Batorego, Fundacja Kultury, Urząd Miejski w Lublinie. Reprezentowane były różne dziedziny sztuki: literatura, muzyka, kinematografia, fotografika, teatr.

Czterodniowy program zainaugurowało Czeskie Centrum w Warszawie, którego dyrektorka – Irena Krasnicka – otworzyła wystawę fotografii zatytułowaną „Prezydent-dysydent”, autorstwa Bohdana Holomicka i Tomasza Nemca, poświęconą postaci Vaclava Havla. Następnie odbył się wieczór poetycki białoruskiego twórcy Aliesja Paszkiewicza. Wprowadzenie i wykład na temat obecnej sytuacji literatury na Białorusi wygłosił Wacław Rakicki – krytyk sztuki. Na zakończenie odbyła się projekcja czeskiego filmu „Dzięki za każdy nowy ranek” w reżyserii Milana Steindlera.

Drugi dzień rozpoczęło spotkanie z Asarem Eppelem – pisarzem rosyjskim, tłumaczem literatury polskiej. Spotkaniu towarzyszyła projekcja wyprodukowanego przez włoską telewizję dokumentu „Podróż po ocalałych żydowskich miasteczkach Ukrainy”. Po projekcji o sytuacji kinematografii w Odessie oraz o własnej twórczości mówili: reżyser Sergiej Rahmanin i producent Nadziezda Bessokirna.

Trzeci dzień był w całości poświęcony poezji. W pierwszej części odbyło się spotkanie z czeskim poetą Petrem Mikešem, prowadził je tłumacz Leszek Engelking. Drugą część wypełnił swoją śpiewaną poezją Dieter Kalka z Niemiec.

Na ostatni, czwarty dzień złożyły się: projekcja ukraińskiego filmu „Wtoroj” w reżyserii Sergieja Rahmanina oraz spektakl teatralny „Zapiski wariata” wg Gogola w wykonaniu Walerija Głazkowa z Mińska.

Spotkania Kultur adresowane były przede wszystkim do młodzieży lubelskich szkół średnich. Relacje z wybranych dni zamieszczały lokalne media: prasa, radio i telewizja. Komentarze oraz recenzje ze Spotkań Kultur znajdują się w przyszłorocznym 10 numerze kwartalnika *Scriptores Scholarum*, gdzie również rozstrzygnięty zostanie ogłoszony przez redakcję konkurs literacko-dziennikarski: „Wielokulturowe tradycje Lublina i regionu lubelskiego”. Organizatorzy przewidują także wydanie monograficznego opracowania dotychczasowych Spotkań z uwzględnieniem sesji „Spotkania z prawosławiem” (I edycja 16-17.05.94; II edycja – 17-19.05.95) oraz „Żydzi lubelscy” (14-16.12.94).

Rozpoczęte zostały przygotowania do kolejnej edycji – jesienią 1996 r.

Przed dwusetną rocznicą urodzin Adama Mickiewicza

Zbliżająca się dwusetna rocznica urodzin Adama Mickiewicza, która wypada na rok 1998 sprawiła, że już w r. 1993 powstał w Warszawie Ogólnopolski Komitet Mickiewiczowski. Do udziału w Komitecie zaproszeni zostali przede wszystkim uczeni poloniści zajmujący się życiem i twórczością Adama Mickiewicza, i to zarówno z kraju jak i z zagranicy, lecz także publicyści, literaci i artyści, wszedł doń także potomek Mickiewicza. Komitet działa przy Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, a instytucjami wspierającymi jego prace są Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza i Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie.

W bieżącym roku Komitet zmienił nazwę i działa obecnie

jako Komitet Obchodów Dwusetnej Roczniczy Urodzin Adama Mickiewicza, a do jego zadań należy inspirowanie i opiniowanie projektów a także obejmowanie patronatu nad inicjatywami związanymi z obchodami tej rocznicy. Honorowym Przewodniczącym jest prof. dr Czesław Zgorzelski, znakomity mickiewiczolog, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, związany z Wilnem i Nowogródczyną urodzeniem i studiami.

Komitet objął patronat nad edycją krytyczną „Dzieł” Mickiewicza, zamierza także doprowadzić do skutku wydanie, dla wiedzy o autografach Poety bardzo ważne, drugiego tomu wierszy w podobiznach rękopisów. Podobne edycje – podobizny autografów właśnie – poświęcone będą „Dziadom części II”, „Zdaniom i uwagom”, „Giaurowi” oraz prozie Mickiewicza. W dalszym planie jest także zebranie i wydanie wszystkich listów skierowanych do Mickiewicza, których główny zbiór znajduje się w Bibliotece Polskiej w Paryżu.

Dużą troską Komitetu jest doprowadzenie do końca „Kroniki życia i twórczości Adama Mickiewicza”, której tomy dotychczasowe powstały pod patronatem nieżyjącego już prof. Stanisława Pigionia. Tak więc ważne lata pobytu w Rosji (1824-1829) opracowane przez zmarłego niedawno prof. Siemiona Łandę z Petersburga byłyby pierwszym brakującym ogniwem, Kronika lat 1829-1832 jest w stadium przygotowań, a już zakończoną – czeka na druk – jest kronika lat 1832-1840 opracowana przez Marię Dernałowicz. W ten sposób Kronika, podstawowe kompendium wiedzy o biografii Poety – po czterdziestu latach od jej rozpoczęcia – byłaby zakończona. Świadczy to o ogromie pracy wielu badaczy na przestrzeni kilku dziesiątków lat.

W Warszawie pod redakcją Jarosława Marka Rymkiewicza powstanie „Encyklopedia mickiewiczowska” zawierająca – na wzór zagranicznych tego typu kompendiów – wiadomości o życiu i twórczości Poety i ludziach jego otoczenia. Powstanie także jubileuszowa księga referatów przygotowanych na sesję naukową, którą zorganizuje Instytut Badań Literackich PAN wspólnie z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Inicjatyw jednak jest więcej. Trzeba opracować i wydać „grypsy” filomatów, opracować drugi (pierwszy już się ukazał) tom Archiwum Filomatów obejmujący okres zesłańczy. Muszą być także opracowane zesłańcze biografie filomatów dotąd znane bardzo pobieżnie.

Komitet będzie pomagać w wydaniu nowego przekładu „Pana Tadeusza” na język rosyjski dokonanego ostatnio przez

znakomitego tłumacza Światosława Świackiego. Nieżyjący już prof. Zbigniew Jerzy Nowak zostawił bardzo ciekawą książkę o „Panu Tadeuszu”, która w Roku Mickiewiczowskim powinna się ukazać, powinny się również ukazać zebrane razem prace mickiewiczowskie prof. Wiktora Weintrauba, wieloletniego wykładowcy Uniwersytetu Harvarda. Prof. Dora Kacnelson z Drohobycza napisała książkę – wynik wieloletnich badań nad recepcją Mickiewicza w ówczesnych politycznych sferach na terenie Galicji. Należałoby wznowić prace o Mickiewiczu prof. Stanisława Pigionia, a także biografie Mickiewicza i książki o jego twórczości nieżyjących już badaczy: Juliusza Kleina i Wacława Borowego oraz współczesnych: Aliny Witkowskiej i Marii Dernałowicz.

Wreszcie Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie zorganizuje na rok jubileuszowy nową stałą wystawę poświęconą Poezji, której celem będzie ukazanie biografii Mickiewicza w kontekście XVIII i XIX wieku. Będzie to kontekst historyczny, kulturowy i obyczajowy romantyzmu w Europie. Wystawa ukaże także wpływ, inspiracje, dialog między romantyzmem Zachodu i Polski. Materiałem podstawowym wystawy będą oczywiście eksponaty: mickiewiczowskie (oryginalne pamiątki, portrety, wydawnictwa, rękopisy) oraz dotyczące epoki. Te ostatnie ukażą najważniejsze wydarzenia wpływające na charakter czasów mickiewiczowskich, a więc wydarzenia polityczne i naukowe tej doby. Ważnym elementem – jak zawsze – w Muzeum Literatury będzie scenografia i aranżacja scenograficzna odbiegająca od ekspozycji typu gablotkowego.

Przedstawiłem tu pokrótce główne zamierzenia Komitetu. Jest rzeczą oczywistą, że podstawowe są tu sprawy finansowe, staramy się je załatwić zarówno w Ministerstwie Kultury i Sztuki jak i w Komitecie Badań Naukowych oraz w fundacjach. Aczkolwiek otrzymaliśmy pewne obietnice, skutek finalny w tej chwili trudno jeszcze przewidzieć.

Mówiąc o inicjatywach krajowych, nie sposób pominąć wiadomości o inicjatywach powstałych poza granicami Polski, o których zostaliśmy poinformowani. Jako pierwszy powstał Komitet Pamięci Adama Mickiewicza na Białorusi, w Grodnie. „W roku 1998 powinniśmy uczcić dostojny Jubileusz – pisze ów Komitet w odezwie – a do tego czasu rozszerzyć działania, skierowane ku odrodzeniu kultury polskiej na Białorusi. Zaisztowała więc potrzeba utworzenia organizacji, która byłaby w stanie ‘skupić’ wokół siebie spo-

łeczność Białorusi, Polski, Litwy i Polonię zagraniczną”.

Jako swój priorytet powstała przy Komitecie Pamięci „Światowa Fundacja Mickiewiczowska” uznająca odtworzenie historycznego Szlaku Mickiewiczowskiego. Odbudowie i restauracji muszą być poddane: siedziba rodziny Mickiewiczów w Zaosiu, centrum historyczne miasta Nowogródka, zespoły dworsko-ogrodowe w Tuhanowiczach, Szczorsach, Bolciennikach. W skład zespołu wchodzi również: rezerwat przyrody nad jeziorem Świteż, okolica jeziora Litówka, wieś Karczewa, gdzie znajduje się słynny Kamień Filaretów oraz cmentarz przykościelny w Bieniakoniach z grobem Marii z Wereszczaków Puttkamerowej. Szlak Mickiewiczowski obejmuje szereg innych miejscowości związanych z biografią Poety. Komitet urządza także konferencje „Spotkania nad Świtezią”. Odbyły się one dwukrotnie w roku 1992 i 1994. W pierwszej z nich uczestniczyłem i wtedy wyłoniły się przytoczone wyżej koncepcje, trochę może na wyrost.

Na Litwie we wrześniu 1993 została utworzona grupa założycielska Społecznego Komitetu Organizacyjnego Obchodów Dwusetnej Rocznic Urodzin Poety. Staraniem Fundacji Kultury Polskiej na Litwie im. Józefa Montwiłła została już utworzona tablica pamiątkowa Adama Mickiewicza w bramie kościoła oo. Bazylianów, trwają zaś prace renowacyjne w mieszkaniu-muzeum Mickiewicza przy Zaułku Bernardyńskim 22.

Do rocznicy mickiewiczowskiej przygotowuje się także Polonia petersburska. Polskie Towarzystwo Historyczne w Sankt-Petersburgu w listopadzie 1994 r. zorganizowało dni Mickiewiczowskie z okazji 170 rocznicy przyjazdu Mickiewicza do Rosji. W chwili obecnej Towarzystwo opracowuje plan obchodów dwusetnej rocznicy jego urodzin.

Moskiewskie Muzeum Biograficzne Aleksandra Puszkina zaproponowało Muzeum Literatury w Warszawie wspólną wystawę „Mickiewicz Puszkina – nowe spojrzenie”, zważywszy że w 1999 roku minie dwóchsetna rocznica urodzin Puszkina, młodszego o rok od Mickiewicza. Wystawa ta, która będzie prezentowana zarówno w Moskwie jak w warszawskim Muzeum Literatury, znajduje się już w stadium znacznego zaawansowania, patronują jej Ministerstwa Kultury Polski i Rosji.

We Francji paryska Biblioteka Polska zaproponowała Muzeum Literatury w Warszawie zorganizowanie w r. 1998 wspólnej wystawy mickiewiczowskiej w Paryżu i Warszawie. Sesję jubileuszową zamierza zorganizować Stacja Naukowa Polskiej Akademii Nauk w Paryżu.

Podobna naukowa sesja mickiewiczowska odbędzie się również w Stanach Zjednoczonych. Prof. Samuel Fiszman pracujący na Indiana University w stanie Indiana projektuje wydanie książki rocznicowej będącej pokłosiem tej sesji.

Komitet Obchodów Dwusetnej Rocznicy Urodzin Adama Mickiewicza działający w Polsce służyć będzie tym wszystkim inicjatywom nie tylko radą ale i merytoryczną pomocą, apelując jednocześnie do tych, którzy mogliby i chcieli służyć konkretnym wsparciem finansowym.

Janusz ODROWAŻ-PIENIAŻEK
Przewodniczący Komitetu

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych we wrześniu i październiku 1995 r.

Dziękujemy:

- POLISH INSTITUTE OF ARTS AND SCIENCES OF AMERICA za przekazanie 898 egzemplarzy książek;
- WYDAWNICTWU BURCHARD EDITION za przekazanie 80 egz. książek;
- PANU JERZEMU BONIECKIEMU za przekazanie 560 egzemplarzy książek;
- WYDAWNICTWU „MARABUT” za przekazanie 2.016 egzemplarzy książek;
- WYDAWNICTWU „COMER” za przekazanie 870 egzemplarzy książek;
- REDAKCJI „FORUM POLONIJNE” za przekazanie 500 egzemplarzy pisma.
- WYDAWNICTWU NAUKOWEMU PWN za przekazanie 5.317 egz. książek;
- ŁÓDZKIEMU TOWARZYSTWU NAUKOWEMU za przekazanie 100 egz. książek.

Otrzymane pisma i książki przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i za granicą. Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo idee Fundacji, podajemy numer naszego konta: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, PBK III Oddział w Warszawie, nr konta 3700015-975148-132-3.

Ci, co odeszli

Jan Badeni

Po śmierci Jana Badeniego, który zmarł w Anglii 25 października br. ukazały się w prasie angielskiej dłuższe o nim wspomnienia. Były w nich wszystkie ważne okoliczności życia, cała jego zewnętrzność, mówiąca o człowieku niewiele więcej niż fotografia. Nie można ich jednak pominąć.

Urodzony we Lwowie w 1922 r. Jan Badeni, syn Stefana i Marii z ks. Jabłonowskich, należał do wielkiej rodziny galicyjskiej, pochodzenia włoskiego, która od połowy XVI wieku figurowała w polskich annałach szlacheckich. Przedstawiciele jej brali czynny udział w społeczno-politycznym życiu zaboru austriackiego. Kazimierz Badeni został pod koniec zeszłego wieku premierem Austro-Węgier – co bardzo zabawiło autora nekrologu w *Times*'ie, jako przewrócenie do góry nogami narzuconego porządku. Oto obywatel podległego narodu zostaje premierem w państwie zaborcy.

Jan spędził dzieciństwo i młodość w rodzinnym Koropcu, majątku koło Stanisławowa, w którym jego ojciec prowadził wielkie wzorowe gospodarstwo. Do szkół było daleko, więc otrzymał wykształcenie domowe przy pomocy różnorodnych guwernerów.

W 1939 r. rodzina Badenich uciekła przed zbliżającymi się Rosjanami na Węgry, gdzie mieli rozległe stosunki jeszcze z czasów austriackich. Stefan Badeni został w Budapeszcie i pracował w polskim podziemiu, pomagając kurierom do kraju i uchodźcom – i w 1943 r. znalazł się w Mauthausen. 18-letni Jan chciał dostać się do polskiego wojska i wybrał jedyną dostępną stamtąd drogę na Bliski Wschód przez Bałkany i Palestynę. Jego pierwszą wojenną przygodę, przytoczoną przez *Independent* znałam z jego opowiadania. Palestyna była wtedy brytyjskim terytorium i gdy w Haifie wylądował młody człowiek przerastający wzrostem otoczenie,

mówiący płynnie kilkoma językami, z nazwiskiem brzmiącym z włoska, z węgierskimi papierami i który podawał się za Polaka, Anglicy szybko zamknęli go na wszelki wypadek w twierdzy w Akrze, pamiętającej Krzyżowców. Przesiedział tam cztery miesiące i dopiero po zwolnieniu dotarł do brygady Karpackiej, a później na swą prośbę przeszedł do lotnictwa. Jako pilot latał z Polakami do końca wojny, a gdy się skończyła, pozostał w RAFie i pełnił służbę, m.in. na Malajach, aż do 1962 r., gdy przeszedł do cywila z rangą „Wing commander”. Zaczął wtedy swą karierę finansową w Anglii i Irlandii, w której wykazał świetne zdolności. Jeszcze go nie znałem, gdy wpadło mi w ręce jakieś poważne pismo irlandzkie, które całą stronę poświęciło jego błyskotliwej (a wizard) giełdowej działalności.

Dorobił się wielkiego majątku (i pomógł go zrobić innym), ożenił się z June Wilson z „ziemiańskiej rodziny”, jakby się kiedyś po polsku powiedziało, miał syna Michała i córkę Mary i osiadł na stałe w majątku Norton Manor w Wiltshire. W 1978 r. został mianowany przez Królową Wielkim Szeryfem tego hrabstwa.

Prowadził ogromnie czynne życie w różnych dziedzinach. Był członkiem licznych instytucji finansowych, wiceprezesem Konserwatystów swojego okręgu, przez dłuższy czas zasiadał w katolickiej radzie diecezjalnej Bristolu.

Z biegiem lat – jak zgodnie zauważyli angielscy sprawodawcy – Badeni coraz więcej poświęcał się sprawom polskim. Za czasów swej kadencji jako prezydent Polskich Kawalerów Maltańskich wziął udział w uroczystym Konwencie Maltańczyków, jaki się odbył w Warszawie w 1992 r. pierwszy raz od wojny, co uważał za swój wielki przywilej.

Angielskie *obituarium* wspomniały o działalności dobroczynnej Badeniego, ale ich ogólnikowość nie pokazała ich roli w jego życiu. Bo nie były to dary na jeden z setek celów dobroczynnych, które zamożni Anglicy wspomagają często pamiętając o nich też w swoich testamentach. „Dobroczynność” Badeniego była przede wszystkim polska, związana tak z troską o kulturę, jak i z ludzką biedą. Spotykał się z nią bezpośrednio w jej najprostszym wymiarze, w swych pielgrzymkach do Lourdes i jego przejęcie się nią, nie kończyło się ze zniknięciem z oczu cierpiącego człowieka, ale przedłużało się w cichą, trwałą pomoc. Zostały mi w pamięci zamglone obrazy ludzi, którzy dzięki pomocy medycznej, aparatom, lekarstwu, zachętom wydobywali się z dna nieszczęścia.

Podobną troskę okazywał szpitalom i zakładom, którymi opiekował się w Polsce Zakon Maltański. A gdy otworzyły się granice, rozpoczął wielką akcję pomocy dla bliskich mu, rodzinnych ziem na Wschodzie. Został tam kolatorem 16 kościołów i cerkwi i nie był to tylko tytuł.

Mało kto znał szczegóły jego działalności, i jeśli o nich mówił to tylko w jakimś kontekście, z racji zdarzenia, które go przejęło, albo gdy trzeba było zwrócić na nie czyjąś uwagę.

Poznałam Badeniego w 1973 r. na posiedzeniu jury nagrody *Wiadomości*; nie brał udziału w naradach, ale był obecny na zebraniach jako fundator nagród. Ofiarował ich prawie 30, często przyznając dodatkową, gdy znalazła się książka, która na nią zasługiwała a nie dostała głównej nagrody.

Potem nasza znajomość stała się bardziej serdeczna, zwłaszcza w końcowych trudnościach *Wiadomości* i po ich zamknięciu, gdy jako prezes Fundacji z Brzezia Lanckorońskich, razem z założycielką prof. Karoliną Lanckorońską, dał schronienie archiwum *Wiadomości* w domu Fundacji w Londynie i w końcu umożliwił zabezpieczenie go w Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Troska Badeniego o sprawy kultury, jego nieustanna gotowość pomocy młodym naukowcom z Polski, przyjeżdżającym pracować w Londynie, ofiarowywana spontanicznie, była może – obok spełniania tego co uważał za swój patriotyczny obowiązek – także pewną sublimacją niespełnionych skłonności literackich. Każdy tekst Badeniego, napisany, czy wygłoszony – a przemawiał doskonale – miał prawdziwą pisarską klasę. I myślę, że byłby szczęśliwy, gdyby okoliczności życia pozwoliły mu zostać pisarzem. W zastępstwie, cieszył się historyczną publicystyką swego ojca, Stefana*, książkami swej żony, dziennikarstwem córki.

Wymieniwszy te wszystkie biograficzne szczegóły, widzę, że tylko krązę koło osoby Badeniego, że nie pokazuję go takiego jakim go znałam, jakiego obraz chciałabym przekazać.

Niedawno przeczytałam sentencję, że „jeżeli nie możesz o zmarłym powiedzieć niczego złego, lepiej o nim nie pisać”. I na tym polega trudność mówienia o Badenim. Bo chciałoby się używać niemiodnych, niemal wstydliwych dziś słów – prawość, szlachetność, honor. Arystokrata o hetmańskiej postawie, przywiązany do rodowej tradycji, wielki finansista, czło-

*Wybór jego pism w opracowaniu Rafała Habielskiego, sponsorowany przez Jana, ukaże się niedługo w Polsce.

nek międzynarodowej społeczności, żarliwy patriota – nie mieścił się w żadnych kategoriach, nie przystawał do dzisiejszego świata. Był inny.

Jego życie było uporządkowane i nawet śmierć uprzedził, pisząc własny nekrolog, aby był najskromniejszy. Zawsze pamiętał o obietnicy, o tym by załatwić, zawiadomić, podziękować. Choć z pozorami pedanterii, nie miało to z nią nic wspólnego, było potrzebą własnego wewnętrznego ładu, poczuciem obowiązku i odruchem jednakowej wobec wszystkich życzliwości.

Ujmujący i łatwy w stosunkach z ludźmi, z dużym poczuciem humoru i cichą skłonnością do niewinnych plotek, zatrzymywał się na granicy spoufalenia. – Jak mógł żyć przyjacielsko w lotnictwie – dziwił się angielski dziennikarz – nie pijąc, nie paląc, nie używając wojskowego języka?

Omijał te niebezpieczne rafy dzięki swej naturalnej „grzeczności” z sienkiewiczowskiego słownika. Ale myślę, że tym co go najbardziej wyróżniało był autorytet moralnej czystości, może anachronizm, a może tylko nadzwyczaj rzadki wypadek. Bez żadnego nacisku, bez słów, samą swoją obecnością onieśmiał i wstrzymywał każdego przed przekroczeniem granic moralnych czy choćby towarzyskich.

Kiedy w Londynie szedł film „Cyrano de Bergerac” z Depardieu i gdy rozmawialiśmy o tym, Badeni opowiedział mi jak bliski od młodości był mu ten bohater. I zaczął w ślicznej francuszczyźnie cytować długi fragment z „Cyrana”.

Od tej chwili obraz jego związał mi się na zawsze z postacią *chevalier sans peur et sans reproche*. I taki pozostał w mojej pamięci.

Stefania KOSSOWSKA

Notatki Redaktora

Do drugiej tury wyborów prezydenckich weszli Aleksander Kwaśniewski i Lech Wałęsa. Do obu kandydatów miałem bardzo poważne zastrzeżenia, i stanąłem na stanowisku, że obowiązkiem wszystkich jest wzięcie udziału w głosowaniu przy jednoczesnym skreśleniu obu kandydatów. Uważałem, że gdyby to miało charakter masowy, to byłoby poważnym ostrzeżeniem dla elekta.

Prezydentem został wybrany Aleksander Kwaśniewski.

Mówienie o powrocie komunizmu do władzy jest zwykłą demagogią. Nie ma powodu by kwestionować socjaldemokratyczne przekonania Kwaśniewskiego. Jest tylko pytanie, czy potrafi być prezydentem całego społeczeństwa, czy jego partia podziela jego przekonania i czy nie ma groźby utrwalenia mafii profitariuszy, którzy opanowali aparat państwowy.

Pytanie także, jakie wnioski z tych wyborów wyciągną Lech Wałęsa i Kościół, dla których wynik wyborów powinien być poważną lekcją umiaru i skromności.

Program prezydenta Kwaśniewskiego miał charakter niezmienne ogólny: jak najszybsze wejście do Unii Europejskiej i NATO, kontynuowanie reform gospodarczych, reparytyzacja itd. Był to jednym słowem katalog pobożnych życzeń bez wskazania jaką drogą mogą one być realizowane. Aleksander Kwaśniewski nie poruszył sprawy strukturalnej reformy rolnictwa, polityki zagranicznej czy wojska, bezpieczeństwa, a przede wszystkim nauki.

To, co w tej chwili można powiedzieć, to jedynie, że prezydent został wybrany w sposób legalny i demokratyczny, i że należy się temu podporządkować. Walka z nim o przestrzeganie polskiej racji stanu tak, jak ją widzimy, powinna być prowadzona bezkompromisowo, ale w ramach państwa prawa.

Litwa była pierwszym krajem, w którym postkomuniści przyszedli do władzy. Kiedy w wyborach w 1992 roku zwyciężyła demokratyczna partia pracy – odpowiednik polskiej SLD – prezydentem Litwy został przywódca tej partii, Algirdas Brazauskas, który, dla podkreślenia że jest prezydentem wszystkich Litwinów, wystąpił ze swej partii, podkreślając jednocześnie swoje przywiązanie do poglądów socjaldemokratycznych.

Rządy prezydenta Brazauskasa oceniałbym pozytywnie.

Aleksander Kwaśniewski poszedł za jego przykładem. Miejmy nadzieję, że z równym powodzeniem.

We włoskiej *La Stampa* z dn. 22 listopada ukazał się wywiad z prezydentem RP Aleksandrem Kwaśniewskim, który m.in. powiedział w nim: „Intelektualista dysydent Jerzy Giedroyc, zamieszkały od wielu lat w Paryżu, wyraził się, że jesteśmy wszyscy post-komunistami. Zgadzam się z tym”. Pan Prezydent był widocznie źle poinformowany, gdyż nigdy niczego podobnego nie powiedziałem.

Jerzy GIEDROYC

Książki

Słowo i ciało

Tytuł tego artykułu nie ma nic wspólnego z metafizyką i odnosi się do dwóch niewielkich zbiorów poezji* („słowo”), które zamierzam pokrótce omówić, a w których to zbiorach „ciało” w sensie dosłownym i dotkliwym – choroba, cierpienie, *malaise* – gra główną rolę.

Użyłem francuskiego słowa *malaise* z braku poręcznego terminu polskiego („bycie-nie-w-sosie” ?!) na to, co wydaje się stanowić kwintesencję dość niesamowitych utworów p. Kwietniewskiej (ur. 1953 w Poznaniu, obecnie zamieszkała we Francji), a co Sergiusz Sterna-Wachowiak nazwał w poświatu do jej tomiku „doświadczeniem okrucieństwa życia człowieka biologicznego”. Dla ilustracji dwa cytaty wybrane prawie na chybił trafił: „w drewnianym ubraniu / z bandażem na czole / przytwierdzony do ziemi marmurowym snem / stygnę w pamięci / jak w półśłodkiej wodzie / a ciągle jeszcze boli betonowa twarz”; albo też: „to już tylko strach / nie pozwala z ciała / wyciec wolnej krwi / kobieta bez skóry / dzieci karmi gipsowym językiem / odstawia je za szybę jak kruche figurki / pozbawione serca toczące bez snów / wyjdź z mego mózgu / to nie jest celofan żeby go ugniatać / w sucho-szklany szum [...]”. O ile pierwszy wiersz wydaje się jeszcze jako tako przekładalny na „fabułę” (poetyckie „ja” użyczone niedawno zmarłemu czy zgoła zabitemu [?]), o tyle w drugim fragmencie panuje już czysta zgroza bez odniesień, i to nie kolorowo-bajkowo-Leśmianowska, a balansująca na samym skraju zmyory czy pół-szaleństwa i nader namacalna.

* Anna Kwietniewska, „Jestem dla nikogo”, SPP, Poznań 1995, 64 str., ISBN 83-900704-8-0.

Marek Skwarnicki, „Intensywna terapia”, Biblos, Tarnów 1993, 59 str., ISBN 83-85380-17-5.

Gorzki i wyzywający zarazem tytuł – to „jestem dla nikogo” – dobrze oddaje klimat całości.

Wiersze Anny Kwietniewskiej pisane są stylem, który obrazowo można by określić jako językowy odpowiednik rysunków Nikifora z Krynicy skrzyżowanych z późną fazą malarstwa Tadeusza Brzozowskiego („Tadzik przeszedł teraz już wyłącznie na tortury elektryczne...”, informowała znajomych żona artysty), toteż gdyby nie umiejętny dobór oryginalnych i rzeczywiście porażających niekiedy fraz-rekwizytów („najpierw oszalały włosy / jak wyschnięta słoma rwały się do rąk / z oczu zostały dwie zielone kreski / które krzyżowały opuchniętą twarz”) oraz rodzaj „prywatnej logiki” wyczuwalnej w tej fantasmagorii, nie byłoby, o czym pisać ani tym bardziej tekstów tych publikować. Ale właśnie dobór ten i ta logika są w nich wyraźnie obecne i całość robi silne wrażenie. To nie jest lektura „przyjemna” w potocznym sensie, ale intensywność wypowiedzi i sugestia autentyczności przeżyć, które ją dyktują, pozostają w pamięci. Autorka nie jest debiutantką: w 1979 opublikowała pierwszy tomik pt. „Po tamtej stronie wiersza”, a za utwory drukowane później w czasopiśmie otrzymała w 1993 w Dreźnie nagrodę niemiecką dla polskich poetów. Warto zapamiętać to nazwisko – wydaje się, że Anna Kwietniewska przerazi nas jeszcze niejednym.

Zbiorek starszego o jedno pokolenie Skwarnickiego (dawnego „Spodka” z *Tygodnika Powszechnego*) jest spokojniejszy w tonacji, mimo że co najmniej połowa utworów w nim to migawki z kliniki kardiologicznej widzianej jak najbardziej od środka, bo oczami pacjenta („Dyzurka intensywnej terapii / wygląda w środku nocy jak wieża kontrolna lotów. / Młoda kobieta w bieli obserwuje sytuację / na polu bitwy ze śmiercią. / Tym razem to nie metafora. / Chodzi o to kto przeżyje do rana” czytamy w wierszu „Kapelan”). Horror jest tu „oswojony” (por. wiersz „Rentgen”) konkretnością sytuacji i swego rodzaju rezygnacją, która u autora ma dwa odrębne, choć wzajemnie zasilające się źródła: *primo* często podkreślaną świadomość własnej „niemłodości” (por. wiersz „Rehabilitacja”) i *secundo* tradycyjną polską religijność typu: łąki umajone, aniołowie, zacny św. Piotr przy bramie, za którą czekają już krewni i przyjaciele *qui nos praecesserunt in somno pacis*, tudzież nic z niewygod Kierkegaarda czy Bernanosa (por. wiersz „Temperatura”).

Zważywszy, że autor jest poetą nie od dzisiaj (dobre pojęcie o jego twórczości dają „Wiersze wybrane” opublikowane przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie w 1974) i że jako dziennikarz *Tygodnika*, uczestnik rozlicznych konferencji religijno-intelektualnych oraz sprawozdawca z podróży papieskich jak mało kto orientuje się w dzisiejszej „typologii katolicyzmu”, ukazany w „Intensywnej terapii” gatunek wiary uznać należy za autentyczne, osobiste przeżycie. Budzi to sympatię a nawet podziw, jako że publiczna demonstracja tego rodzaju uczuć przez autora nie będącego księdzem – szczególnie ks. Janem Twardowskim – stanowi świadomy anachronizm artystyczny, a więc także swoiste wyzwanie. Choćby z tego też względu tomik ten zasługuje na recenzję – nawet mocno spóźnioną – i na uwagę czytelników interesujących się poezją. Oczywiście nie jest to jedyna zaleta zbiorku Skwarnickiego. Mocne jego strony stanowią: wyrazistość ukazywanych sytuacji (także „niemedycznych” – druga część książeczki to reminiscencje z licznych egzotycznych podróży), powściągliwy, prawie potoczny język oraz szczególna jednolitość sposobu patrzenia, przekształcająca te teksty w wiarygodny autoportret psychiczny.

Thanatos jest tematem szczególnym, bo – jak już Epikur zauważył – kiedy *naprawdę* się pojawia, nas już nie ma. Pozostają więc jedynie opisy tego, co się myśli *zanim* – i tu intensywność „kontaktu z tematem” stanowi niezły sprawdzian prawdziwości przeżycia. O autentyzmie relacji Skwarnickiego była już mowa, pozwolę sobie więc na zakończenie przytoczyć – dla unaocznienia rozmaitości ludzkich reakcji – inne „dobre opracowanie” tegoż tematu, i to ujęte w formę tanga, choć również napisane na sali nie balowej, lecz reanimacyjnej: „Nie bój się nic / Bo życie nic nie znaczy / Bo śmierć jak rydz / Zdrowa dla umieraczy”. Autorem tych słów jest Miron Białoszewski, który w cztery miesiące po ich napisaniu (w lutym 1983) umilkł na zawsze. Trochę mi żal, że Marek Skwarnicki w swym pięknym poemacie o poezji polskiej pt. „Drzewa” (*vide* wspomniane „Wiersze wybrane”) nie poświęcił był kilku linijek Białoszewskiemu.

M. BRONSKI

„Wojenka” i autentyzm

Niecodzienny fakt, że ta arcy polska książka* jest tłumaczeniem z angielskiego wynika z niecodziennych choć też arcy polskich losów jej autora. W krótkiej przedmowie pióra Piotra Chełkowskiego, czytamy: „Rękopis tej książki napisany w języku angielskim znalazłem w Irlandii w roku 1984; w rok po śmierci autora, mojego ojca. *Zakopany sztandar* był pisany parokrotnie: najpierw po polsku jesienią i zimą 1939/1940 w Brzózcie, w Radomskim, i w Ciuślicach, w Miechowskim, gdzie autor ukrywał się i leczył z ran odniesionych w walkach nad Bzurą i w Puszczy Kampinoskiej. Gdy tylko rany się zagoiły, mój ojciec przeprawił się przez Słowację i Węgry do Francji, gdzie wziął udział w kampanii francuskiej. Po upadku Francji w czerwcu 1940 roku przedostał się do Wielkiej Brytanii, gdzie wstąpił do dywizji pancerniej generała Maczka. Redakcja angielska *Zakopanego sztandaru* pochodzi z zimy 1943/1944 [...]. Rany przestrzelonych kolan odnowiły się i Wojciech Chełkowski spędził długie tygodnie w szpitalu angielskim, gdzie miał czas na pisanie. [...] Oryginału polskiego nie udało się znaleźć [...]. *The Buried Standard*, bo taki jest angielski tytuł książki, nie ma trzech ostatnich rozdziałów [zachowanych] jedynie w szkicu. Z notatek autora [...] i z listów do angielskiego wydawcy wynika, że chciał on jak najszybciej opuścić szpital i wrocić do swojej dywizji, gdzie prowadził szkolenie polskich czołgistów. Książkę planował ukończyć po wojnie. Jednak nie było mu to dane: po przyjeździe do Polski w 1946 roku został aresztowany i pozbawiony wolności na pięć lat. Rok spędził w słynnym z bezprawia więzieniu śledczym na Rakowieckiej w Warszawie, a potem cztery lata we Wronkach. Po wyjściu z więzienia [...] był pod obserwacją Urzędu Bezpieczeństwa przez wiele lat. Atmosfera nie sprzyjała podjęciu jeszcze jednej próby opisanego walk [wielkopolskiego] Siedemnastego Pułku Ułanów w kampanii wrześniowej, a rękopisy znajdowały się poza granicami kraju, przeto poza zasięgiem autora”.

* Wojciech Chełkowski, *Zakopany Sztandar*, przełożył Lech Czyżewski, rysunki Zygmunta Haupta. Wydawnictwo „Eureka”, Kraków 1995, str. 351, ISBN 83-85600-01-9.

W obecnym kształcie książka liczy 24 rozdziały, z których pierwszych pięć jest szkicem historii rodzinnej Chełkowskich i opisem młodych lat autora. Część ta zawiera też liczne opisy ich wielkopolskiej posiadłości, Śmiełowa – majątku wsiawionego m.in. tym, że w 1831 r. gościł w nim Mickiewicz – i napisana jest w nieco tradycyjnym stylu ziemiańsko-patriotycznie-nostalgicznym; wyraźnie rozdziały te pomyślane były jako wprowadzenie obcojęzycznego czytelnika w „polską egzotykę”. Właściwy opis kampanii wrześniowej zaczyna się od rozdziału szóstego pt. „Mobilizacja” i mocno kontrastuje stylistycznie i narracyjnie z pierwszą częścią; jest to nieomal reportaż pisany językiem oszczędnym, precyzyjnym i wyrazistym. Ten główny zrab książki świadczy o prawdziwym talencie literackim autora i każe żałować, że nie zachowała się polska wersja dzieła (choć przekład p. Czyżewskiego jest rzeczywiście dobry, tzn. „niewidzialny”), zwłaszcza, że autor nie miał możliwości rozwinięcia planowanych ostatnich trzech rozdziałów. Niemniej to, co czytelnik ma przed sobą jest rzeczą zdecydowanie udaną i cenną: szczegółowym i wiarygodnym obrazem pierwszych trzech tygodni Września, oglądanego „od środka” przez oficera (rezerwistę) 17-go pułku ułanów. Jednostka ta stanowiąca część Wielkopolskiej Brygady Kawalerii pod dowództwem gen. Abrahama znalazła się już w pierwszych godzinach wojny na głównym kierunku uderzenia niemieckiego i mimo ogromnych strat stawiała silny opór w czasie nieuniknionego wycofywania się w kierunku Warszawy, gdzie ostatecznie macierzysty pułk autora został rozwiązany, a sztandar zakopany w Parku Łazienkowskim 29 września 1939.

Autor książki nie mógł wziąć udziału w tej smutnej ostatniej ceremonii pułkowej, gdyż pięć ran (w tym przestrzelone płuco) odniesionych wcześniej sprawiło, iż w czasie walk w okrajonej przez Niemców Puszczy Kampinoskiej był już do słownie konający. Ocalał tylko dzięki pomocy miejscowych chłopów, a następnie krewnych-ziemian. Jak czytamy w „Zakończeniu”: „... w wiosce, w której ukrywał się ranny, stacjonowali Niemcy. Pewnej nocy posadzono Wojciecha Chełkowskiego na konia i przywiązano do siodła, aby nie spadł. W ten sposób dojechał do domu swojej siostry, Wandy Heydlowej, w Brzózcie koło Kozienic. Tam otrzymał pomoc lekarską i szybko zaczął przychodzić do zdrowia. Nie mógł jednak pozostać w Brzózcie zbyt długo, bowiem Gestapo w tej okolicy było bardzo czujne. Przedostał się więc po kryjomu do Ciuślic koło Kaziemierza Wielkiej, do swojego szwagra Władysława Ślaskiego.

W takich warunkach powstawała pierwsza wersja omawianej książki. Jak już wspomniałem, robi ona wrażenie szczegółowego – chwilami wręcz filmowego – reportażu, choć z uwagi na okoliczności (notatki mogły wpaść w ręce Niemców) autor zastosował swoisty kamuflaż personalny: tylko ci spośród jego kolegów, którzy zginęli w czasie opisywanej kampanii, występują pod własnymi nazwiskami, zaś pozostali – wliczając jego samego (książka pisana jest w trzeciej osobie) – noszą nazwiska fikcyjne). Mimo to *Zakopany sztandar* można uznać za dokument historyczny, zwłaszcza, że autor pozostawił szczegółowy klucz do tych pseudonimów, zaś opisywane wypadki są szczegółowo datowane. W „poetyce” tego tekstu wyczuwa się poza wrodzonym zmysłem obserwacji także oficerski nawyk zdawania sprawy zwięźle i dokładnie.

W całej książce nie pada chyba ani razu słowo „bohaterstwo”, ale rodzi się ono samorzutnie w umyśle odbiorcy. Budzi ona w ogóle wiele „niedzisiejszych” refleksji. Po dziesiątkach lat szargania i ośmieszania przez „Polskę Ludową” rzekomo archaicznych „ułańskich” imponderabiliów takich jak tradycja patriotyczna, honor i poczucie obowiązku, czytelnik zdaje sobie nagle sprawę, że dla pokolenia, które reprezentował (i to jak!) autor *Zakopanego sztandaru*, nie były to tylko słowa z dydaktycznych czytanek. Przytoczę jeszcze kilka zdań z „Zakończenia”: „W kampanii wrześniowej walczyło sześciu braci Chełkowskich. Najstarszy i najmłodszy z walczących, Franek i Edo, polegli, Krzysztof spędził pięć i pół roku w niewoli niemieckiej. [...] Szwagier autora, Wojciech Heydel i mężczyźni, którzy znajdowali się w domu Heydlów w Brzozie, zostali pewnego dnia aresztowani przez Gestapo. Część aresztowanych rozstrzelano w Radomiu, pozostali zginęli w Oświęcimiu.”

Może największą wartością tej bezpośredniej relacji jest sugestywność, z jaką ukazuje ona autentyczne, czyli odruchowe i naturalne zachowania się ludzi, których niegdyś określano wieloznacznym obecnie terminem „dobrzy Polacy”. Chociaż Wojciech Chełkowski był też kawalerem orderu *Virtuti Militari*, jego wspomnienia ilustrują zakres staroświeckiego pojęcia „cnota” w sensie znacznie szerszym, niż tylko militarny. Dobrze więc, że ta książka się ukazała: zasługuje nie tylko na przeczytanie, ale i najgłębszą, „cywilną” refleksję współczesną.

M. BROŃSKI

Antologia literatury kresowej

W ostatnich dziesięcioleciach tworzenie przeglądów, antologii czy panoram literackich było zjawiskiem dość rzadkim. O potrzebie tego rodzaju publikacji nie należy chyba nikogo przekonywać – pozwalają one na możliwie szybką orientację w prezentowanej problematyce, zaś przede wszystkim stanowią nieocenioną pomoc dydaktyczną. Dlatego cieszyć powinna publikacja opracowanej przez Bolesława Hadaczka „Antologii polskiej literatury kresowej XX wieku”*. Stanowi ona uzupełnienie wydanej przed dwoma laty rozprawy tego samego autora „Kresy w literaturze polskiej XX wieku” (recenzję tej książki odnajdzie czytelnik w *Kulturze* 4/1994).

Oczywiście, jak każda antologia, ta również budzić będzie u wielu czytelników uczucie niedosytu. W odróżnieniu od wielu jednak, w tej nie ma mowy o kwestionowaniu prezentowanych tu autorów, można jedynie żałować, że brak wielu innych – tak na przykład szkoda, że w tomie nie zmieściły się wiersze Beaty Obertyńskiej i Zbigniewa Herberta, może warto też, ponieważ autor sięgnął także po utwory pisarzy urodzonych po wojnie, upomnieć się o choćby fragmenty „Wzgórza Błękitnego Snu” Igora Newerlego (tu zwłaszcza początek powieści) czy „Lidy” Aleksandra Jurewicza. Takich nazwisk, które chciałoby się w tej antologii widzieć, znaleźć można z pewnością więcej, wszelako trzeba też pamiętać, iż tego rodzaju publikacja musi narzucać pewien rygor: nie może się rozrastać bez końca.

Tom – wyjąwszy uwagi wstępne – prezentuje dwie główne grupy tekstów. Pierwsza, zatytułowana „Kresy północne”, to teksty związane z Litwą, Wileńszczyzną, Mińszczyzną, Białorusią, Polesiem i Wilnem. Można, oczywiście, dyskutować nad zasadnością wyłączenia Wilna z Litwy, wszelako zważywszy skomplikowaną historię miasta w tym zwłaszcza stuleciu i jego specyficzną rolę w kulturze polskiej, postępowanie takie wydaje się uzasadnione. Druga część – „Kresy południowe” – przynosi teksty związane z Wołyniem, Ukrainą,

* „Antologia polskiej literatury kresowej XX wieku”. Wybór tekstów, wstęp i objaśnienia Bolesław Hadaczek, Ottonianum, Szczecin 1995, s. 548, mapy.

Podolem, Galicją Wschodnią, Huculszczyzną i Lwowem. Tu można zgłosić podobne zastrzeżenia, w szczególności gdy chodzi o Lwów, ale i w tym wypadku klasyfikacja autora ma mocne podstawy historyczno-kulturowe.

Antologia Hadaczka – zwłaszcza w zestawieniu z poprzednim tomem tego autora – ma znaczenie fundamentalne w odbudowywaniu obszarów historycznej świadomości naszej literatury, w scalaniu doświadczeń. Lektura kolejno pomieszczonych tu utworów – w zasadzie ułożonych w porządku chronologicznym wyznaczonym przez wielu autorów – zarysowuje pewną dynamikę narracyjną wyznaczaną przez odbicie dramatyzmu dziejów obszarów kresowych. Cytując w prologu do wyboru tekstów fragmenty prac Antoniego Urbańskiego z jego książek inwentaryzujących w latach dwudziestych straty polskiej kultury na obszarach przyłączonych do Sowień, Hadaczek odwołuje się nie tylko do naukowej, lecz także emocjonalnej roli swojej pracy. Bo jakże inaczej rozumieć słowa zamykające Prolog: „Zaiste, mówią, że im się bardziej oddalamy od wypadków ciężkich, tym bardziej błędną barwę we wspomnieniach. Że czas zaciera szlaki łez. Tak jednak nie jest. Chyba nie zapomnimy nigdy mogił tych, co straceni zostali w czerezwyczajkach. Wszak niejeden z nas widział, jak szli na śmierć z podniesionym czołem, często z uśmiechem pogardy. No i nie zapomnimy domów naszych, jeno czasem westchniemy i powiemy: 'Nas już tam nie ma... kto tam teraz leży, uczy, wspiera, pracuje, mówi o Bogu?'” Przyznam, że nie lubię ekspozycji tego rodzaju emocji – tym bardziej, że w końcu daleko nie wszyscy „szli na śmierć z podniesionym czołem”, zaś tego rodzaju heroizacja bywa dla kultury dość niebezpieczna.

Od napisania tych słów minęło już ponad sześćdziesiąt lat – historia dopisała do nich wiele nowych dramatów. Jest rzeczą oczywistą, iż dla większości tych, którzy na Kresach pozostawili swą „małą ojczyznę”, ziemie te stały się symbolem utraconego piękna: stają się obszarem mitycznym, krainą utraconego szczęścia. Powtarzają się więc w cytowanych tekstach – z nielicznymi wyjątkami – obrazy harmonijnego współżycia wielu ludów i kilku religii. Mitologia Kresów ma swe mocne podstawy w polskiej kulturze z innych jeszcze względów. Pisał o tym niedawno Włodzimierz Paźniewski zwracając uwagę na swoistą paradoksalność sytuacji: „Dramatyzm rozdarcia polskiej kultury współczesnej polega na tym, że dysponuje ona dzisiaj ścieśnionym obszarem Polski pia-

stowskiej, podczas gdy wyobraźnia kulturalna Polaków nadal karmi się i hula po szerokich przestrzeniach jagiellońskich, które pod względem politycznym skurczyły się w okresie międzywojennym, po Jąlcie zaś praktycznie przestały istnieć jako zbiorowisko realiów”. To prawda, warto jednak podkreślić, że ta zadziwiająca dla wielu wierność Kresom jest też wiernością wobec własnej tożsamości: tu nie chodzi o trwałość realiów, lecz o trwałość historycznego doświadczenia, które sytuuje nas pomiędzy wschodem i zachodem. Ono to właśnie określa żywotność mitu kresowego: rezygnacja z niego byłaby nie tylko amputacją pamięci, rodzajem amnezji, lecz oznaczałaby konieczność zasadniczej reorientacji wyobraźni narodowej, być może też utracenie możliwości, jakie daje żywotność owego mitu. Nie przypadkiem pisał Juliusz Mieroszewski (i nie tylko on, jednak w jego esejach politycznych sprawa ta ma pierwszorzędne znaczenie), iż jedną z zasadniczych szans Polski jest utrzymanie się w ukształtowanym przez historię napięciu między zachodem i wschodem.

Tym natomiast, co stanowi obecnie zadanie kultury polskiej – i ku takim przemyśleniom właśnie kieruje lektura antologii Hadaczka – jest rewizja owego mitu, konfrontacja z nie zawsze pięknymi realiami przeszłości, rezygnacja z tonu sentymentalnego, odrzucenie obecnego w wielu tych tekstach poczucia swoistej wyższości narodowej z jednej strony, zaś kompleksu ofiary historii z drugiej. O tym, że podobne tendencje zaczynają się w naszej literaturze właśnie obecnie pojawiać – i to wydaje się szansą tego nurtu, jeżeli ma być kontynuowany – zaświadcza wydana niedawno powieść Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz – „Boża podszełka” (Biblioteka Krasnogrudy, Sejny 1994), książka, która w swej rzeczowości najbliższa jest temu realistycznemu spojrzeniu, które odnaleźć można w książkach Józefa Mackiewicza.

„Antologia polskiej literatury kresowej XX wieku” – jedna z nielicznych tego rodzaju panoram, do których należy też wydany jeszcze w drugim obiegu zbiór wierszy o Lwowie „Semper fidelis” w opracowaniu Wereszycy (Łobaszewskiej) – w żadnym wypadku nie może być traktowana jako summa tego nurtu pisarstwa, które zwłaszcza w ostatnich latach zyskuje nową dynamikę – by wspomnieć tylko książki Jurewicz („Pan Bóg nie słyszy głuchych”), Boleckiej („Biały kamień”) czy wspomnianej Lubkiewicz-Urbanowicz (nie bez znaczenia wydaje się fakt, że dwie pierwsze ze wspomnianych książek czytane były w radio). Jest jednak bez wątpienia

książką ten nurt najpełniej jak dotąd prezentującą. Zgromadzone tu utwory (lub ich fragmenty) 54 autorów ukazują zarówno rozległość i znaczenie pisarstwa poświęconego Kresom. Wartość książki podnosi dołączony do niej zbiór map obszarów kresowych oraz doskonale opracowane przypisy pozwalające czytelnikowi nie znającemu realiów tych ziem – zarówno geograficznych i językowych – radzić sobie z lekturą tekstu.

Leszek SZARUGA

Poezja wyobraźni

O LIRYCE EMMY ANDIJEWSKIEJ

Od czasu gdy Józef Łobodowski zaprzestał prezentacji na łamach *Kultury* najwybitniejszych zjawisk współczesnej poezji ukraińskiej, nazwisko i twórczość Emmy Andijewskiej coraz rzadziej przedstawiała się do świadomości polskiego czytelnika. Syntetyzując dokonania młodej poezji ukraińskiej w szkicu pt. „Młody las na obczyźnie” (*Kultura*, 1960, nr 10 (156)). J. Łobodowski pisał o poetce z nadzieją i życzliwością, upatrując w jej talencie szansę rozwoju poezji nie tylko wygnańczej. I nie mylił się, gdyż Andijewska opublikowała tak ważne dla literatury ukraińskiej tomy jak „Narodziny idola” („*Narodżennia idola*”), New York 1958, „Bazar” Monachium 1967, „Pieśni bez tekstu” („*Pisni bez tekstu*”), Monachium 1968, „Nauka o ziemi” („*Nauka pro zemliu*”), 1975, „Wigilie” („*Wihilii*”), New York, 1987. Z perspektywy lat widać, że Emma Andijewska należy do stosunkowo nielicznego grona wybitnych poetek wschodnio i środkowoeuropejskich, obok tej rangi twórczyni co jej rodaczka Lina Kostenko oraz Wisława Szymborska, Rosjanka Irina Ratuszyńska, nieżyjące Nelly Sachs, Ingeborg Bachmann. O Andijewskiej wciąż niewiele mówi się na Ukrainie. Emigracyjna poetka,

trudna w odbiorze, dopiero jest odkrywana jako postać znacząca dla rozwoju ukraińskiej poezji drugiej połowy XX wieku. Awangardowe korzenie jej poezji, z uwagi na historyczną trudność pełnego ukształtowania się estetyki awangardowej na Ukrainie pod rządami demagogów socrealizmu, wydają się tyleż oczywiste, co i nie zawsze dobrze rozumiane przez publiczność. Wydarzeniem na pewno przyspieszającym ów proces osławiania się czytelników i krytyki z poezją Andijewskiej jest trzutomowa edycja pt. „*Ukraińskie słowo. Chrestomatija ukraińskoj literatury ta literaturnoji krytyku XX st. (u trioch knybach)*”, Kijów 1994, syntetyzująca najważniejsze osiągnięcia literatury ukraińskiej w dwudziestym wieku, wliczając w to twórców krajowych i emigracyjnych, tak z dwudziestolecia jak i czasów powojennych oraz twórców dysydentów. W tomie trzecim obok Iwana Franki, Łesi Ukrainki, Mykoły Zerowa, Mychajła Draj-Chmary, Pawła Tyczyny, Iwana Dracza, znajdziemy dokonania Wasyla Stusa, Wasyla Symonenki, Liny Kostenko, Wasyla Hołoborod’ki i Emmy Andijewskiej.

Andijewska (ur. 1931) generacyjnie należy do pokolenia L. Kostenko, Hryhorija Tiutiunnyka, I. Dracza i Dymytra Pawłyckij, Borysa Olijnyka czyli twórców debiutujących w latach 50, ale jej droga artystyczna rozwijała się z dala od skompromitowanych doświadczeń tego pokolenia, przeżywającego swoje dramaty w obszarze rzeczywistości sowieckiej, co nie znaczy że w oderwaniu od korzeni ukraińskiej kultury. Andijewska na emigracji przebywa od roku 1943. Najpierw w Niemczech gdzie kończyła szkoły i studia, potem w Paryżu, następnie w Nowym Yorku i znowu w Niemczech (Monachium) gdzie mieszka do dnia dzisiejszego.

Dorobek Andijewskiej składa się z kilku niezłych i wybitnych tomów wierszy, a oprócz nich także utworów prozą, wśród których docenić trzeba nowele, baśnie, legendy „Tygrysy” („*Tyhry*”) i „Działapita”, 1962 oraz powieści, m.in. „Herostratesy” („*Herostratesy*”), 1971, „Opowieść o ludzkim przeznaczeniu” („*Roman pro liudśke przeznaczenia*”), 1982, oba wydała oficyna *Suczasnist*. W tych dziedzinach twórczości Andijewskiej dąży do formy lapidarnej, wyraźnie określonej, prostej, którą wypełnia świat uniwersalnych przekonań uchwyconych w atmosferze nieco nadrealistycznej, nieco zbliżonej do filozofii wschodu zarówno europejskiego jak wierność, poświęcenie, przeznaczenie uchwyconych tyleż w konkretnym czasie, co i wyłamujących się z historycznych

ograniczeń. W połączeniu z klasycystycznymi upodobaniami – dziedziną najbardziej eksploatowaną i obiecującą najwięcej artystycznych satysfakcji są dla poetki gatunki tradycyjne takie jak sonet i nowela, poemat – daje to bardzo określony, silny wyraz pozwalający mówić o własnym stylu Andijewskiej i jej istotnym wkładzie do literatury ukraińskiej lat powojennych.

Bogusław BAKUŁA

Nadestane nowości wydawnicze

- STRĄCZEK (Adam). *Wyznania lekarza łapownika*. Str. 129. (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1995).
- HERBERT (Zbigniew). *Stilleben Med Bidsel*. Str. 172 i 2 nlb. (Brondum, Aschehoug).
- WĘGLARZ (Lidia Irena). *Ogród słów*. Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. Miniatūra, Kraków 1995).
- BILICA (Krzysztof). *Telefony z Eufo-nii*. Felietony wygłaszane 1991-1992 w Programie II Polskiego Ra-dia. Str. 69 i 3 nlb. (Wyd. Guten-berg-Print, Warszawa 1995).
- SWOLKIEN (Ola). *Nowy ustrój – te same wartości*. Rzecz o tym dlaczego współczesny człowiek niszczy naturalne środowisko. Str. 67 i 1 nlb. (Wyd. Biblioteka „Zielonych Brygad”, Kraków 1995).
- DUBICKI (Tadeusz). *Polscy uchodźcy w Rumunii 1939-1945*. Studia i materiały. Str. 330 i 2 nlb. (Wyd. Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1995).
- ORSKI (Mieczysław). *A mury runęły*. Książka o nowej literaturze. Str. 145. (Wyd. Wacław Bagiński, Wrocław 1995).
- SKARADZIŃSKI (Bohdan). *Sąd Bo-ży 1929 roku*. Str. 347 i 1 nlb. (Wyd. „Świat Książki”, Warszawa 1995).
- BALINSKA (Marta Aleksandra). *Une vie pour l'humanitaire*. Ludwik Rajchman 1881-1965. Str. 398 i 2 nlb. (Wyd. Editions la Découverte, Paris 1995).
- Berattelse over Svenska litteratursal-lskapets i Finland verksamhet ar 1994. Str. 72 (Helsingfors 1995).
- WINTONIAK (Oleka). *Ukrajina w opysach zachidnoeuropejskich podorożnykiw drugoji połowyny XVIII stolittia*. Str. 139 i 5 nlb. (Wyd. „Dniprowa Chwyla”; Lwów-Monachium 1995).
- PISKOZUB (Andrzej). *Polska w cy-wilizacji zachodniej*. Str. 206 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytetu Gdań-skiego, Gdańsk 1995).
- ZADENSKI (Jarosław). *Wobec des-poryzmu wolności*. Str. 187 i 1 nlb. (Wyd. „Platan”, Kraków 1995).
- RYDZYŃSKA (Liliana). *Pozwólcie owocom dojrzewać*. Str. 263 i 1 nlb. (Wyd. Puma Printing Works, Melbourne 1994).

Polemiki

Trzy grosze dla Pana i Plebana

„Między Panem i Plebanem” to zapis rozmowy Jacka Żakowskiego z Adamem Michnikiem i ks. Józefem Tischnerem¹.

Rozmówcy opowiadają o swoich drogach życiowych i intelektualnych, dyskutują o Solidarności i jej metamorfozach, komunizmie, przeobrażeniach polskich – ich triumfach, porażkach i rozczarowaniach, o Kościele, religii i wolności.

Jest to pasjonująca lektura.

Poglądy Autorów a zwłaszcza ich osoby budzą szacunek i sympatię. Niektóre fragmenty książki wywołują we mnie jednak sprzeciw.

Poczułem się więc sprowokowany do wtrącenia *ex post* swoich trzech groszy do tej rozmowy. Artykuł niniejszy nie jest recenzją, lecz uwagami polemicznymi na marginesie książki.

O homo sovieticus

Ks. Tischner wprowadził do polskiego dyskursu politycznego ukuty przez Zinowiewa termin *homo sovieticus* (*h.s.*). Dziesiątki lat życia w krajach imperium sowieckiego kształtowały specyficzne cechy mentalności ludzkiej, które termin ten ma oddawać – tak Michnik, jak ks. Tischner przy-

1. A. Michnik, J. Tischner, J. Żakowski, „Między Panem i Plebanem”, Znak, Kraków 1995.

znają, że i u siebie dostrzegają niekiedy cechy *homo sovieticus*. Wiele patologii życia polskiego tłumaczy się wg Michnika, ks. Tischnera i Żakowskiego faktem, że także wśród polityków i duchownych, nawet na najwyższych szczeblach, straszy nieprzewyciężona mentalność *homo sovieticus*.

Jako cechy charakterystyczne *homo sovieticus* wymienić można brak demokratycznej kultury politycznej, przesadny strach przed narażaniem się władzy, autocenzurę, bierność społeczną, wiarę w spiskową teorię dziejów, paranoidalną nieufność, ksenofobię. *H.s.* cechuje też brak zrozumienia mechanizmów gospodarczych, np. za jedyną czy w każdym razie główną przyczynę niepowodzeń gospodarczych PRL powszechnie uważano wywożenie towarów, zwłaszcza mięsa, do Rosji; liczono więc, że natychmiast po zaniechaniu tego procederu zapanuje dobrobyt i szczęśliwość. Dzisiaj *h.s.* nie rozumie natomiast np. związku między poziomem świadczeń państwa na rzecz obywateli a wysokością podatków itd.

Wydaje mi się, że trafne w zasadzie obserwacje dotyczące syndromu *homo sovieticus* jako jednego ze skutków PRL w ludzkiej mentalności zostały jednak przez Michnika i ks. Tischnera wyolbrzymione i uogólnione ponad miarę.

Obok cech podobnych do tutaj wymienionych włączają oni do pojęcia *homo sovieticus* ideologię komunistyczną oraz fanatyzm i inne cechy związane z wszelkimi w ogóle ideologiami rewolucyjnymi czy kontrrewolucyjnymi (np. jakobińską i antyjakobińską). Michnik odróżnia w związku z tym fanatyczną i konformistyczną odmianę *h.s.*

Tymczasem autorzy sami mówią wielokrotnie, że ideologia komunistyczna znikła z krajobrazu politycznego PRL dziesiątki lat temu. Najlepiej potwierdza to lektura wydanych ostatnio książek czołowych przywódców PZPR: Gierka, Jaroszewicza, Szlachcica, Jaruzelskiego, Kiszczaka itp. Problem marksizmu jest tam zupełnie nieobecny. Inaczej jest w książce Adama Schaffa, ale właśnie on, jeden z ostatnich w PZPR marksistów, został z tej partii wykluczony w latach osiemnastych. Ideologia marksistowska w języku propagandy odgrywała rolę rytualno-fasadową; kiedy rzeczywiście chodziło o dotarcie do mas, nie używano jej wcale. Przeciwnie, propaganda odwoływała się w znacznym stopniu do stereotypów wziętych z ideologii endecji. Było to szczególnie wyraźne w

nurcie „marcowym”, kontynuowanym później zwłaszcza przez „Grunwald”, *Rzeczywistość*, itp., ale także w mniejszym czy większym stopniu przez całą maszynę propagandową².

Jeśli więc *homo sovieticus* oznaczać ma empirycznie stwierdzalne, swoiste wpływy życia w PRL na mentalność współczesnych Polaków, to włączanie tu oficjalnej ideologii komunistycznej nie ma uzasadnienia.

Z tych samych względów nie jest celowe mieszanie syndromu *homo sovieticus* z zacietrzewieniem i fanatyzmem charakterystycznym dla rewolucjonistów, kontrewolucjonistów i wszelkich ekstremistów oraz fundamentalistów. *Homo sovieticus* już bardzo dawno temu przestał być rewolucjonistą czy fanatykiem, a stał się raczej konserwatystą i cynikiem. Jeśli miałbym szukać konkretnych a zarazem aktualnych przykładów upostaciowanego *h.s.* z ostatnich dziesięcioleci PRL, to np. w „Wodzireju”, „Barwach ochronnych” i innych filmach kina niepokoju moralnego, a nie wśród zachodnich działaczy rewolucyjnych (gdzie ich szuka Michnik).

Najistotniejszą sprawą jest, w jakim stopniu syndrom *homo sovieticus* dostarcza klucza do szaleństw współczesnej radykalnej prawicy polskiej.

Wspomniane uprzednio cechy niewątpliwie czynią *homo sovieticus* szczególnie podatnym na idee tej formacji politycznej. Nie jest on jednak ich twórcą.

Rażąco niesprawiedliwe wobec nacjonalistyczno-klerykalnej prawicy wydaje się przypisywanie przez Michnika i ks. Tischnera *homo sovieticus* autorstwa tego, co stanowi jej swoisty i niepowtarzalny urok.

Wystarczy porównać dzisiejsze publikacje tej formacji z przedwojennymi, aby przekonać się, że nie musiała ona uczyć się od *h.s.*

Prawica potrafi. Także bez pomocy *homo sovieticus*.

W sumie niebezpieczne wydaje się traktowanie pojęcia *homo sovieticus* jako wytrycha mającego wyjaśnić większość problemów i bolączek. Atakując Autorów ich własną bronią można zauważyć, że propaganda PRL usiłowała swego czasu tłumaczyć wszystkie zjawiska uznawane za negatywne prze-

2. por. *Zeszyty Historyczne*, 1992, nr 99, str. 189-200.

żytkami kapitalizmu w świadomości ludzi. Określenie to służyło jako zakłęcie zwalniające od potrzeby szukania dalszych wyjaśnień.

Obawiam się, że podobny los grozić może formule *homo sovieticus*, jeśli wkładać w nią więcej niż może ona pomieścić.

Dyskutując o *homo sovieticus* autorzy omawianej publikacji nie szczędzą czarnych barw – na ogół słusznie. Wiadomo jednak z fizyki, że ciało doskonale czarne nie istnieje w przyrodzie. Byłoby więc dziwne, gdyby *homo sovieticus* obok licznych i ciężkich wad nie miał żadnych w ogóle zalet. Autorzy, na ogół nieskłonni do jednostronnych i uproszczonych sądów, nie usiłują dojrzeć jaśniejszych plam czy choćby plamek na ciemnym tle *h.s.* Oto dwa przykłady takich plamek: uczestnicząc w uniwersyteckich egzaminach wstępnych w Polsce obserwowałem jak często kandydaci na studentów podpowiadają sobie nawzajem, usiłują podrzucać jedni drugim ściągaczki itd. Zachowanie takie było uderzająco nieracjonalne – szansa sukcesu przy egzaminie konkursowym zależy przecież nie tylko od własnych dobrych wyników, ale i od jak najgorszych wyników konkurentów. Młodzi *h.s.*, rozumiejąc to doskonale, nie umieli jednak pozbyć się nawyków koleżeńskiej solidarności. Różnili się w tym bardzo od wychowanych w duchu konkurencji uczniów amerykańskich, którzy, nawet przy zwykłych klasówkach, zasłaniają swoje prace przed kolegami. Z obowiązku belfra starałem się udaremnić ściąganie. Muszę jednak przyznać, że zawsze kiedy obserwowałem nieracjonalne zachowanie młodych kandydatów na studentów robiło mi się jakoś cieplej w okolicy serca.

Jako jedną z wymagających przewyciężenia cech *h.s.* Michnik wymienia opory przed błyszczeniem bogactwem wobec biednych. Gorąco namawiam do ostrożności w zwalczaniu tej cechy. Nie przeszkadza mi wcale, jeśli np. ktoś imponuje posiadaczom Maluchów uczciwie zarobionym Mercedese. Nie uważam natomiast za przyzwoite popisywania się bogactwem wobec ludzi, których nie bardzo stać na chleb czy lekarstwa. Być może mówi tu i we mnie nie przewyciężony do końca *h.s.* W tym wypadku jednak bardzo nie chciałbym, żeby zamilkł.

O słodyczach i goryczach triumfu

W rozmowach ks. Tischnera, Michnika i Żakowskiego istotne miejsce zajmuje sprawa metamorfoz Kościoła po 1989 r.

Przyznam, że miałem opory przed podejmowaniem dyskusji na ten temat. Rola Kościoła w Polsce jest jednak tak ważna, że jego kondycja nie może być sprawą obojętną dla nikogo, komu bliskie jest dobro Kraju.

Ks. Tischner i jego rozmówcy zgodnie uważają, że po 1989 r. wystąpiło w Kościele polskim wiele niekorzystnych zjawisk. Ich pogląd na przyczyny tego jest jednak dyskusyjny.

Agnieszka Osiecka podzieliła kiedyś Polskę na Partijną i Maryjną. W miarę rozkładu i słabnięcia pierwszej, rosła w siłę druga. Pamiętam dobrze radość, którą przeżywali wszyscy, niezależnie od wyznania czy jego braku, w momencie wyboru Karola Wojtyły na tron papieski. Mówiono wtedy, że Polacy dzielą się na katolików i papistów. Stefan Wyszyński, Karol Wojtyła, Jerzy Popiełuszko i Jan Zieja zapisali się, każdy na swój sposób, złotymi zgłoskami w dziejach walki o wolność Polski. Dużo można by mówić o roli i zasługach Kościoła i bardzo wiele ciekawych myśli i faktów można znaleźć na ten temat w omawianej książce. Rok 1989, rok wielkiego triumfu Kościoła, musiał jednak nasuwać pytania o przyszłość. W miarę przekształcania się Polski w normalny, demokratyczny kraj europejski normalizowałaby się i rola Kościoła. Inaczej mówiąc Kościół nie musiał już być bastionem wolności, głównym opiekunem praw człowieka i arbitrem w konfliktach między władzą i opozycją. Jego znaczenie upodobniłoby się do znaczenia Kościoła w katolickich krajach Europy zachodniej. Oznaczałoby to paradoksalnie, że wolność przyniosłaby skurczenie wpływów zyskanych w warunkach wrogiej Kościołowi dyktatury. Zarazem Europa zachodnia kojarzyła się z sekularyzacją społeczeństwa, indyferentyzmem religijnym, materializmem w życiu codziennym, rozluźnieniem obyczajów, „wiktorianizmem *à rebours*”³. Perspektywa taka

3. Imperium sowieckie było pruderyjne. Cenzura i służby graniczne tępiły prawie tak samo gorliwie pornografię i publikacje opozycyjne.

była niezmiernie trudna do przyjęcia.

Postulat Kiplinga:

*If you can meet with triumph and disaster
And treat these two imposters just the same*

jest ponad ludzką miarę; zresztą nie było żadnego powodu, aby zasłużenie triumfujący Kościół biernie przyjmował zagrożenie niekorzystnym rozwojem sytuacji, nie próbując przeciwdziałania. Na niezbyt szczęśliwe wyniki poszukiwania dróg zażegnania zagrożeń, w postaci przede wszystkim sztucznego utrzymywania poczucia „oblężonej twierdzy”, wpłynęły jak sądzę także dwa czynniki, niedostatecznie uwypuklone przez Pana i Plebana.

Kościół, jego struktura, kultura, symbolika i retoryka mają charakter monarchistyczno-paternalistyczny, a nie demokratyczno-republikański. Wynika z tego naturalne napięcie między Kościołem a demokratycznym państwem. Napięcie takie nie musi koniecznie prowadzić do konfliktu; otwartość i tolerancyjność demokracji z jednej, a mądrość oraz elastyczność Kościoła z drugiej strony pozwalają, jak świadczą doświadczenia wielu krajów, znaleźć *modus vivendi*. Jak mówił ks. Tischner:

Czy demokracja służy religijnej wierze? Demokracja jawi się przecież jako wielkie laicyzowanie, bo niszczy sferę sacrum. Ale czy to wierze szkodzi? Szkodzi sakralnym złudzeniom, niszczy, obnaża pogaństwo... ale czy osłabiając sacrum nie umacnia sanctum?

Ułożenie stosunków między Kościołem i demokracją wymaga jednak czasu i cierpliwości – ani jednego, ani drugiego nie było dotąd dosyć.

Wymaga także dobrej woli. Tu w grę wchodzi inny, może najważniejszy czynnik utrudniający znalezienie konstruktywnych zasad funkcjonowania Kościoła w demokratycznej Polsce: tradycyjny wpływ ideologii endeckiej wśród sporej części polskiego duchowieństwa⁴. Wpływy ideowe przewyż-

4. Z niejasnych dla mnie powodów Michnik zalicza endecję nie tylko do tradycji polskiej myśli politycznej, ale także do tradycji demokracji polskiej. Jeśli nie jest to przejęzyczenie, to muszą być między nami istotne różnice w rozumieniu pojęcia demokracja.

szają tu raczej nawet wpływy polityczne. Miłosz przypomniał niedawno, że Henryk Dembiński parafrazując Tertuliana mówił o *anima naturaliter endecjana*. Wbrew nadziejom wielu, wpływy endecji wśród kleru przetrwały w dużej mierze wojnę, II Sobór watykański i PRL. Jest na to niestety aż za dużo dowodów. Wystarczy zresztą zauważyć jak mały rezonans mają w polskim Kościele liczne i ostre wypowiedzi Jana Pawła II przeciw nacjonalizmowi w porównaniu np. z jego wystąpieniami na tematy obyczajowe.

Ks. Tischner i Adam Michnik obciążają główną odpowiedzialnością za niekorzystne zjawiska w Kościele znowu *homo sovieticus*. Jacek Żakowski oponował:

Z tego, co mówicie, wynika, że sovieticus to wyznawca spiskowej wizji świata, manichejczyk, tradycjonalista o skłonności do autorytaryzmu i ksenofobii. Korci mnie, żeby go odciąć brzytwą Ockhama i powiedzieć po prostu, że jest to wampir przedwojennego narodowego katolika ze szkoły Dmowskiego, który w komunizmie znalazł swoją ekologiczną niszę, przetrwał i po 1989 roku – jakby nic się nie stało – wrócił do życia.

Ks. Tischner i Adam Michnik odrzucają te zastrzeżenia. Odrzucenie to byłoby przekonywające, gdyby podano przykłady postaw i wypowiedzi współczesnych tak różnych od przedwojennych, że uzasadniających przywołanie do pomocy „bytu” *homo sovieticus*. Ogólne repliki Adama Michnika i ks. Tischnera nie zawierają jednak ani jednego przykładu tego rodzaju. Wolno więc sądzić razem z Żakowskim, że *anima naturaliter endecjana* góruje nad *homo sovieticus* jako przyczyna sprawcza niekorzystnych zjawisk, które ujawniły się po r. 1989 (choć, jak wspomniano, *h.s.* jest wdzięcznym odbiorcą idei endeckich).

O chlebie i wolności

Jednym z czołowych haseł ruchu studenckiego z 1968 r. było *nie ma chleba bez wolności*. Ostatnie lata czynią aktualnym pytanie czy może być wolność bez chleba?

Zdaniem Michnika wolność oznacza brak ograniczeń i zakazów politycznych. Dochodzi do interesującej wymiany zdań między nim a Jackiem Żakowskim:

J.Ż.: Ja ci opowiem co to jest iluzja wolności w Polsce 1994 albo 1995. Mieszkasz w Mielcu. Nie masz pracy, twoja żona nie ma pracy, skończył wam się zasitek, wyłączyli wam prąd, zaraz was będą eksmitowali, goni was komornik i nie masz cienia szansy na znalezienie żadnej roboty w promieniu pięćdziesięciu czy stu kilometrów...

A.M.: Masz wolność, więc się możesz z tego Mielca wynieść. Możesz pojechać do Krakowa i tam dostać pracę.

J.Ż.: Właśnie, że nie możesz: nie masz na bilet, nie masz gdzie mieszkać w Krakowie i jak wyjedziesz, nie będziesz miał dokąd wrócić, bo komornik zabierze meble, a kwaterek zajmie ci mieszkanie. To nie jest wolność. To jest zniewolenie może bardziej dotkliwie od tego, że dawniej nie dali ci paszportu, albo nie pisali prawdy w gazecie, której przecież nikt nie kazał ci czytać.

A.M.: Jakbym słyszał Bieruta.

Chyba to upiór *homo sovieticus* lub inny zły duch podszeptał Michnikowi najpierw argumenty w stylu Marii Antoniny, a później terrorystyczną próbę zamknięcia ust argumentacją naprawdę nie na jego poziomie.

Rozważając przyczyny złego obrotu spraw po r. 1989 Michnik mówi:

... robotnicy, którzy uważali, że teraz po zwycięstwie „Solidarności” im się wszystko „należy”, poczuli się oszukani, bo nic nie dostali... Oni tę wolność wystrajkowali i zamiast nagrody dostali po głowie... Więc czuli się oszukani, bo płacili wysoką cenę za własne zwycięstwo.

Sądzę, że docieramy tu do sprawy kluczowej dla zrozumienia przyczyn utraty zaufania znacznej części społeczeństwa do przywódców opozycji demokratycznej z czasów PRL.

Władzy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej opozycja z Komitetem Obrony Robotników na czele przeciwstawiła hasła faktycznej, a nie werbalnej tylko obrony praw – w nie-

małym stopniu praw socjalnych i ekonomicznych – robotników i wszystkich ludzi pracy. W r. 1980 naczelnym zawołaniem opozycji stała się *solidarność*, przede wszystkim solidarność z najbardziej pokrzywdzonymi politycznie, ekonomicznie, socjalnie.

Walka toczyła się o ogólnonarodowe cele: wolność, demokrację i niepodległość, ale też o poziom życia i prawa socjalne ludzi pracy, które PRL początkowo przyznała a później stopniowo poddawała erozji.

Gdy w 1989 r. nieoczekiwanie dla wszystkich⁵ do władzy doszła opozycja demokratyczna, wielu jej działaczy uległo przemianom przypominającym nieco mickiewiczowskie:

*Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem
Demokrata przyjechał z Paryża baronem.*

Głównym problemem okazała się nie tyle troska o to, aby przemiany ustrojowe służyły w możliwie największym stopniu interesom najsłabszych grup w społeczeństwie, ile o to, aby grupy te nie przeszkadzały w szybkim i gładkim przebiegu procesów transformacyjnych. Ludziom takim, jak mielecczanie Żakowskiego, którym zmiana ustroju, zamiast obiecywanej poprawy, przyniosła bolesne pogorszenie sytuacji życiowej, zaczęto wmawiać, że sami są sobie winni jako pozabawieni przedsiębiorczości *nieudacznicy*. Jeśli przyjmowali los nie dosyć pokornie, zarzucano im na dodatek nastroje roszczeniowe, niezrozumienie konieczności ponoszenia ofiar na ołtarzu transformacji, populizm i inne brzydkie rzeczy.

Decyzja *przebudowy gospodarki według sprawdzonych wzorów* była na pewno słuszna; wzorów takich jest jednak kilka: amerykański liberalistyczny, japoński paternalistyczny, skandynawski socjaldemokratyczny. Nigdy w Polsce nie prowadzono rzetelnej dyskusji nad blaskami i cieniami każdego z nich, a zwłaszcza nad konsekwencjami, jakie pociąga wybór modelu dla różnych grup społecznych.

Doszliśmy w ten sposób do sprawy związku między programami ekonomiczno-politycznymi a interesami klas,

5. Jeszcze w 1987 *Int. Herald Tribune* zamieściła artykuł (przełożony potem na polski) konserwatywnego publicysty Normana Podhoretza pt. „Kto twierdzi, że komunizm upada, mówi bzdury!”.

warstw i grup społecznych. W tradycji komunistycznej konflikt społeczny traktowany był, aby użyć języka teorii gier, jako gra o sumie zerowej. To co wygrywa jedna strona jest automatycznie przegraną drugiej strony, co dobre dla robotników jest złe dla kapitalistów i odwrotnie. Przeciwny pogląd, występujący często na prawicy, neguje istnienie konfliktu interesów; według znanego (i często wyśmiewanego) sloganu *co dobre dla General Motors jest dobre dla USA*.

Obydwa te skrajne poglądy są nieprawdziwe.

Konflikty społeczne dają się najczęściej opisać jako gry o sumie niezerowej. Możliwe są więc wyniki dobre (lub złe) dla obydwu stron naraz, chociaż wynik bardzo dobry dla jednej strony jest z reguły bardzo zły dla drugiej.

Nawet dążąc od początku do kompromisu, nie da się na ogół uniknąć wyboru strony w konfliktach między grupami społecznymi o różnych interesach; kompromisy uwzględniają bowiem interesy różnych stron w rozmaitym stopniu.

Polski *underdog* ma dziś, jak mi się wydaje, prawo zapytać dawnych działaczy opozycji, którzy kiedyś go reprezentowali czy dalej są z nim solidarni, czy dalej chodzi im przede wszystkim o jego dobro; działacze ci natomiast winni mu są odpowiedź, a jeżeli ich lojalności zmieniły się – przeprosiny.

Nie chodzi tu bowiem o akademickie rozważania np. nad pojęciem „wolność”. W historii filozofii i myśli politycznej słowo definiowano bardzo rozmaicie. Nie ma wielkiego sensu dociekanie co to pojęcie „naprawdę” oznacza (pod warunkiem, że nie uprawia się manipulacji podstawiając rozmaite znaczenia w różnych kontekstach). Rację ma Żakowski, że ograniczenia możliwości wyboru są niesłychanie dotkliwe dla człowieka również i wtedy, kiedy wynikają z barier ekonomicznych, a nie politycznych, np. z braku papierków wystawianych przez NBP, a nie przez MSW. Jeżeli ograniczenia dotyczą spraw bardzo żywotnych: zaspokojenia podstawowych potrzeb biologicznych, leczenia⁶, nauki, działają nie tyl-

6. Często słyszy się, że Polska nie może sobie pozwolić na bezpłatne leczenie. Znaczy to naprawdę: „Nie chcemy tak opodatkować zamożniejszych, aby stać nas było na leczenie najbiedniejszych chorych; muszą oni umierać, gdyż mamy ważniejsze sprawy”. *Mutatis mutandis* to samo

ko boleśnie, ale też upokarzająco i poniżająco. Przekonywanie ludzi, których spotykają takie nieszczęścia, że są wolni, gdyż tak wynika z wydumanych definicji, spowodować może tylko usprawiedliwiony gniew.

Twierdzenie, że Polski nie stać na kapitalizm o ludzkim obliczu, uważam za nie do przyjęcia ze względów tak merytorycznych, jak moralnych.

W konkluzji wydaje mi się, że hasło „nie ma wolności bez chleba” jest słusznym i koniecznym uzupełnieniem hasła „nie ma chleba bez wolności”. Niezrozumienie tego jest równie ważną lub ważniejszą przyczyną bolączek współczesnej Polski niż wiele innych, omawianych przez Adama Michnika i ks. Tischnera z Jackiem Żakowskim

Gustaw KERSZMAN

da się powiedzieć na temat bezpłatnej oświaty. Obietnica, że transformacja przyniesie kiedyś pozytywne skutki i dla tych, którzy obecnie ponoszą ofiary na jej rzecz, nie na wiele tu się zda. Umarli nie będą mogli konsumować przyszłych owoców postępu gospodarczego, a biedna młodzież zmuszona do zaprzepaszczenia swoich talentów i zainteresowań, nigdy już tego nie naprawi.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

3.10.95

Staraniem pisma literackiego *Fraza* odbyło się w Rzeszowie spotkanie autorskie z Bolesławem Taborskim, poetą, teatrologiem, tłumaczem, zamieszkałym stale w Londynie.

19.10.95.

Rada m.st. Warszawy podjęła decyzję o nazwaniu ronda na skrzyżowaniu ulicy Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi imieniem Romana Dmowskiego. *Myśl Polska*, organ Stronnictwa Narodowego, podkreśla, że w Radzie Miejskiej nie ma żadnego przedstawiciela Ruchu Narodowego i wzywa do ufundowania przez narodowców specjalnej tablicy w tym miejscu.

ZACHÓD – EMIGRACJA

11.10.95.

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 88 lat Michał Budny. Urzędnik służby dyplomatycznej RP przed wojną. Od 1947 r. w Nowym Jorku. W latach 1972-83 dyrektor Instytutu Piłsudskiego, redaktor *Niepodległości*. Autor licznych prac historycznych.

20.10.95

W Nowym Jorku miał miejsce uroczysty bankiet na rzecz Instytutu im. Józefa Piłsudskiego z udziałem przedstawicieli dyplomacji polskiej, Senatu i Kongresu USA oraz dyrektorów wielkich amerykańskich korporacji. Podczas bankietu wyróżniono medalami następujące osoby: Medal Zasług im. Marszałka Piłsudskiego (*Marshal Józef Piłsudski Leadership and Achievement Award*) otrzymali Elizabeth i Zachary Fisher, znani przedsiębiorcy amerykańscy, zasłużeni filantropi, twórcy i fundatorzy *Intrepid Sea Air Space Museum* oraz licznych fundacji weterańskich, a także inicjatorzy wielu akcji mających na celu upamiętnienie wkładu Polski w dzieło rozgromienia faszyzmu. Medal Historii im. Wacława Jędrzejewicza otrzymał dr Norman Davies, profesor Oxford University, najwybitniejszy zachodni krytyk specjalizujący się w działach Polski. Medal Sztuki im. Ignacego Paderewskiego otrzymał Wiesław Ochman, światowej sławy śpiewak operowy, artysta-malarz, znany kolekcjoner malarstwa polskiego i filantrop. Medal Nauki im. Marii Skłodowskiej-Curie otrzymała absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego dr Małgorzata Zielińska-Pfabe, profesor fizyki nuklearnej na Smith College.

24.10.95

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 70 lat Lucjan Dobroszycki, profesor Yale University. Pracował w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, gdzie wydał m.in. Centralny Katalog Polskiej Prasy Konspiracyjnej 1939-1945 oraz „Cywilną obronę Warszawy”. Opracował również Kronikę Getta w Łodzi 1941-44, której cenzura nie dopuściła do druku. W 1968 r. Dobroszycki po nagone antysemickiej wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. W tym czasie opublikował kilka prac w *Kulturze*. Dobroszycki był gorącym orędownikiem porozumienia między Żydami a Polakami.

27.10.95.

Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie odbył się odczyt prof. Zdzisława Kędzia, doradcy Wysokiego Komisarza Praw Człowieka, na temat „ONZ wobec praw człowieka”. ■ W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Jerzy Kłoczowski wygłosił odczyt na temat „Białoruś, Litwa, Polska, Ukraina – zbliżenia w ostatnich latach”. A 10-go listopada odbyło się spotkanie na temat „Rzeczypospolitej w oczach czterech narodów” z udziałem prof. Anatola Hryckiewicza (Mińsk), prof. Michała Kirszenko (Kijów), prof. Juozafa Tumelisa (Wilno) oraz prof. Jerzego Kłoczowskiego (Lublin).

31.10.95

Zmarł w Londynie ks. dr Władysław Fierla, zwierzchnik Polskiego Kościoła ewangelicko-augsburskiego na obczyźnie, proboszcz polskiej parafii w Londynie i Paryżu, redaktor *Posta Ewangelickiego*.

5.11.95

Zmarł w Tulsie, Oklahoma, w wieku lat 87, Albin Maria Bończa Boniecki artysta rzeźbiarz, żołnierz AK, więzień Majdanka, twórca szeregu rzeźb obozowych, w tym Kolumny Trzech Orłów. Do śmierci, artysta nie doszedł do porozumienia z kolejnymi zarządcami Muzeum Martyrologii w Majdanku w kwestii odtworzenia oryginalnej rzeźby Trzech Orłów. Zniszczona przez wojska sowieckie, wbrew zakazowi artysty, została zastąpiona przez władze zniekształconą podobizną, stojącą do dziś. ■ Nagrodę specjalną za najpiękniejszą książkę akademicką za rok 1995 przyznano na Targach Książki Akademickiej w Warszawie albumowi „Kultura i jej krag” wydanemu przez Wydawnictwo UMCS w Lublinie.

7.11.95.

Zmarł we Fryburgu ks. prałat Jan Frania, emerytowany Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Szwajcarii. Za czasów jego posługi kapłańskiej PMK była ośrodkiem jednoczącym Polonię szwajcarską w duchu tolerancji, co niestety po jego odejściu uległo drastycznej zmianie.

11.11.95.

W Radoszycach staraniem Środowiska Warszawskiego Żołnierzy 25 pp wmurowano pamiątkową tablicę ku czci mjr. Józefa Wyrwy (1898-1970) pseud. „Furgalski”, „Stary”. ■ Zmarł w wieku 75 lat Waldemar Voise, historyk, muzykolog.

13.11.95.

W Musée des Augustins w Tuluzie, została otwarta wystawa rzeźb Augusta Zamoyskiego z udziałem ambasadora RP we Francji Jerzego Łukaszewskiego i mera Tuluzy Dominique Baudisa.

15.11.95.

Pod patronatem Generalnego Sekretarza UNESCO, Frederico Mayora, oraz ambasadorów Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy odbyło się kolokwium zorganizowane przez Towarzystwo Historyczno-Literackie oraz Federację Instytutów Wschodnio-Europejskich na temat: „Republique polono-lithuano-ruthene – quelle heritage commun, pour quelle Europe en l'an 2000?”. Udział w kolokwium wzięli: prof. Daniel Beauvois (Sorbona), Anatol Hryckiewicz (Uniwersité Minsk), Michailo Kirsenko (Akademie Mohylanska Kijów), Jerzy Kłoczowski (dyr. Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie), Juozas Tumelis (Uniwersytet i Biblioteka Narodowa w Wilnie).

18.11.95.

W Paryskim Domu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów – Barbara Czekaj-Kubicka, prezes Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, wygłosiła odczyt „Stefan Żeromski w 70-tą rocznicę śmierci”.

5.12.95.

W Bibliotece Polskiej w Paryżu prof. Jerzy Parvi z Uniwersytetu Warszawskiego wygłosił odczyt na temat: „Hugo i Mickiewicz – dwie wizje zjednoczonej Europy” zaś 13 grudnia prof. Daniel Beauvois przedstawi swoją nową książkę „Historia Polski”, która ukazała się w kolekcji „Nations d'Europe”.

9.12.95.

Z okazji wydania przez Wyd. Gallimard pełnego wydania Dzienników Witolda Gombrowicza (Journal, T. I – 1953-1958, T. II. – 1959-1969) w księgarni Andrzeja Dobosza w Paryżu odbędzie się wieczór poświęcony Gombrowiczowi z udziałem: Rity Gombrowicz, M. Cataluccio, Jerzego Jarzębskiego, Wojciecha Karpińskiego i Małgorzaty Smorąg.

Z nordyckiej perspektywy

„SZOK” I „NARODOWA KATASTROFA”

Najwięksi pesymiści przewidywali, że frekwencja w pierwszych szwedzkich wyborach do Parlamentu Europejskiego będzie wynosić 50-55%; jednak 17 września 1995 do urn wyborczych udało się zaledwie 41,2% uprawnionych do głosowania obywateli szwedzkich. Warto przypomnieć, że frekwencja wyborcza w krajach skandynawskich jest tradycyjnie bardzo wysoka – w ubiegłorocznych szwedzkich wyborach parlamentarnych wynosiła 86,3%

Największy szwedzki dziennik poranny *Dagens Nyheter* opublikował dwa dni przed wyborami artykuł redakcyjny pod zmiennym tytułem: „Centralnym problemem szwedzkich wyborów do Parlamentu Europejskiego jest <tak> lub <nie> powiedziane Baltikum i Polsce”. Autor artykułu stwierdzał nieco patetycznie, że głosy oddane na komunistów i „zielonych” będą zatrzaśnięciem drzwi do Europy przed nosem sąsiadów Szwecji. Debata przedwyborcza była rzeczywiście zdominowana przez rozważanie konsekwencji przystąpienia Szwecji do Europejskiej Unii Monetarnej oraz przyjęcie do Unii Europejskiej krajów Europy Wschodniej i Baltikum. Nie było to chyba zbyt rozsądne.

Dn. 17 września aż 60% narodu w ogóle nie poszło głosować, a z tych, którzy jednak do urn się udali aż 30% głosowało właśnie na komunistyczną Partię Lewicy i Partię Ekologiczną, a więc na przeciwników europejskiej integracji, unii monetarnej i przyjęcia do Unii Europejskiej „tych ze Wschodu”.

Wybitny politolog z uniwersytetu sztokholmskiego, Olof Ruin uważa, iż szwedzkie elity polityczne popełniły poważny błąd: nie wyjaśniając narodowi jasno i rzetelnie wszystkich „za” i „przeciw” przyjęcia do europejskiej rodziny państw Europy Wschodniej a równocześnie sprowadzając prawie całą kampanię przedwyborczą do dyskusji o przyszłości zjednoczonej Europy, przekształciły one wybory do Parlamentu Europejskiego w źle przygotowany plebiscyt na temat unii monetarnej i ewentualnego poszerzenia składu Unii Europejskiej.

Ponadto – co w artykule dyskusyjnym na łamach *Dagens Nyheter* (27/9) przypomniało dwóch młodych politologów, Marie Demker i Ulf Bjereld, że poczucia wspólnoty z Europą Wschodnią nie można na narodzie szwedzkim wymusić. Takie poczucie opierać się musi o jakąś wspólną wrażliwość, tożsamość akceptowanych wartości i norm moralnych, o światopoglądowe zbieżności.

Wypada zgodzić się z konstatacjami pary Demker-Bjereld. Można rzeczywiście zapytać, co wspólnego ma przeciętny szwedzki wyborca z dzisiejszą Łotwą i Litwą, w których to krajach nadal wykonuje się wyroki śmierci, a uchodźcy trzymani są w więzieniach i to w warunkach, które o atak serca przyprowadziłyby każdego szwedzkiego inspektora ochrony zwierząt? Albo z Rumunią, która w mass mediach prezentowana jest głównie jako kraj potwornej nędzy i bezdomnych dzieci żyjących w kloacznych kanałach Bukaresztu? Albo z Polską, tym niepojętym krajem antysemickich księży, staroświeckich zakonnic, ludzi owładniętych obsesją de sexto i protestujących z różańcami w garści przed kinami, z krajem katolickiego Kościoła i jego prymasa, którzy tak samo nie lubią Unii Europejskiej jak szwedzcy komuniści?

Przeciwnicy poszerzania Unii szermowali też argumentem, że przecież nikt nie wie, czy narody państw Europy Wschodniej rzeczywiście pragną włączenia w europejską rodzinę i czy wiedzą, co to oznacza. Jeden z głównych przedstawicieli szwedzkich „zielonych”, Birger Schlaug – opierając się o materiały analiz prasowych szwedzkiego MSZ – twierdził, że w państwach Europy Wschodniej nie odbywa się absolutnie żadna poważna debata na temat konsekwencji ich przyszłego członkostwa w Unii i że ludność nie ma pojęcia o pozytywach i negatywach tegoż członkostwa.

W wypadku Polski, o której głównie wypowiadać się może autor niniejszych słów, zarzut Schluga jest w dużej mierze prawdziwy. Uczestników debaty o wejście naszego kraju do Unii Europejskiej podzielić można umownie na „Sarmatów” (wołających, że obcy nas wynarodowia, zdegenerują moralnie i puszczą z torbami) oraz „Europejczyków” (twierdzących, że dopiero w Unii wszystko wreszcie będzie wspaniałe). Gdy młody człowiek, który dziś marzy o przyjęciu do Unii, gdyż wierzy, że wtedy wreszcie kupi upragnionego mercedesa, dowie się, iż być może straci pracę lub źródło dochodów z drobnego handelku, to w przyszłym referendum może głosować „nie”. Jeżeli za przykładem innych

krajów nie będzie uruchomiona masowa akcja uświadamiająca, to możemy przeżyć w Polsce własny „szok” i „narodową katastrofę”, gdy Unia już zgodzi się nas przyjąć, a większość polskiego społeczeństwa odrzuci w referendum tę możliwość.

CIĄGŁA NIEUFNOŚĆ

Z ponad tysiąca fundacji, lokujących pieniądze swoich klientów na tzw. *emerging markets*, mniej niż dwadzieścia dokonuje inwestycji kapitałowych na terenie Europy Wschodniej. Dysproporcja ta jest tym bardziej uderzająca, iż dotyczy dużego i bliskiego obszaru, dysponującego ciągle jeszcze tanią oraz relatywnie dobrze wykształconą siłą roboczą. Znamienne jest, że żaden z wielkich aktorów nordyckich, aktywnych na azjatyckich i latynoamerykańskich *emerging markets*, nie jest zainteresowany prywatyzacją w Polsce.

David Masters, szef działu analiz w londyńskiej firmie Micropal, która śledzi rozwój sytuacji na *emerging markets* całego świata, twierdzi, iż inwestycje kapitałowe w Europie Wschodniej nadal należy uważać za ryzykowne i gwarantujące zyski „w dalszej przyszłości”. Także szwedzcy analitycy uważają, iż lokowanie kapitałów w Europie Wschodniej związane jest z ciągle dużym ryzykiem politycznym, który naturalnie wydatnie zmaleje po przyjęciu krajów tego obszaru do Unii Europejskiej. Håkan Skoglund, wykształcony na uniwersytecie w Lund analityk z maklerskiej firmy Bangkok Securities, sądzi, że np. akcje firm polskich jeszcze przez długi okres czasu nie osiągną atrakcyjności akcji thailandzkich. Za ten stan rzeczy odpowiedzialny jest w wypadku Polski niekorzystny klimat społeczny wokół prywatyzacji, wytwarzany przez partię chłopską, związki zawodowe, partie prawicowe i ludzi powołujących się na enigmatyczną „naukę społeczną Kościoła katolickiego” oraz marzących o jakiejś „trzeciej drodze”.

Szwedzi są prawdopodobnie szczególnie uczuleni na mrzonki o „trzeciej drodze”, gdyż ich ambicja zbudowania czegoś lepszego od kapitalizmu i komunizmu kończy się właśnie bolesnym i wręcz drastycznym demontażem *welfare state'u*, a dzieje się to w kraju, którego obywatele przez wiele lat płacili najwyższe na świecie podatki. Jeżeli nawet za zapoczątkowaną przez poprzedni rząd mieszczański, a kontynuowaną przez obecny rząd socjaldemokratyczny prywa-

tyzacją szwedzką stoi głównie deficyt budżetowy, nie zmienia to faktu, że do lamusa zwiedłych ideologii odłożono przekonanie o większej pożyteczności sektora państwowego dla gospodarki, wynikające z aksjomatu, iż przecież państwowi biurokraci „wiedzą lepiej”.

Jednak nie tylko inwestorzy kapitałowi, ale także firmy przemysłowe uznają Europę Wschodnią za obszar dużego ryzyka. Szwedzki *forteiting market* zdominowany był do niedawna przez jednego tylko, państwowego aktora, którym jest EKN (= *Export-kreditnämnden*) czyli Komisja Eksportowych Gwarancji Kredytowych. Działalność EKN otacza woal państwowej tajemnicy, gdyż analizy i rekomendacje EKN nie są jawne. Jednak w kwietniu 1995 państwowy organ kontrolny RRV (= *Riksrevisionsverket*) sporządził raport oceniający działalność EKN. Wnioski są dość niepokojące, zwłaszcza odnośnie tzw. *spreading of risks*: choć w roku 1994 dokonał EKN analizy ryzyka blisko 200 krajów, to ponad 50% rządowych gwarancji kredytowych zostało udzielonych na działalność w trzech krajach; są nimi głównie Chiny i Indie, a w mniejszym stopniu – Rosja. Nadmienmy, że w tymże roku 1994 udzielił EKN gwarancji kredytowych na poważną sumę nieco ponad 250 miliardów SEK. Jakiegokolwiek trudności ekonomiczne jednego tylko z powyższych trzech krajów, trudności płatnicze czy restrykcje wobec zagranicznych inwestorów odbiłyby się poważnie na finansach państwa szwedzkiego, które i tak są już w stanie godnym pożalowania. Ponadto aż 86% wszystkich gwarancji kredytowych przyznało pięciu wielkim firmom szwedzkim, którymi są ABB, Ericsson, Skanska, Volvo i Elof Hansson.

Ponieważ jednak szwedzki business nie składa się na szczęście tylko z pięciu firm i ponieważ istnieją analitycy, którzy uważają, że np. Hiszpania czy Polska są jednak krajami mniejszego ryzyka niż Chiny, pojawił się w Szwecji prywatny konkurent EKN. Jest nim poważna londyńska firma LFC (London Forfeiting Company), specjalizująca się w Europie Wschodniej, Ameryce Łacińskiej i częściowo Azji. Szwedzki reprezentant LFC w Skandynawii, Henric Thörnberg nie ukrywa, że jego firma ma być na gruncie szwedzkim prywatną alternatywą dla EKN i że zapotrzebowanie na taką alternatywę jest bardzo duże.

Dla średnich i małych firm, które pragną uruchomić jakąś działalność w Europie Wschodniej największym problemem jest nadal zdumiewająca podejrzliwość rodzimych ban-

ków. Lars Forsman – szwedzki businessman działający na Litwie – twierdzi, że wprawdzie politycy czy dziennikarze mają usta pełne frazesów o szczególnych więzach łączących Norden z Baltikum, ale te wszystkie wniosłe deklaracje rozbijają się o próg banków.

– Gdy tylko zupełnie nowe maszyny czy urządzenia produkcyjne zostaną przetransportowane ze Szwecji na Litwę – mówi Forsman – w oczach szwedzkich bankowców nabierają one wartości zerowej, przestają być majątkiem. Sama myśl, iż na Litwie można uruchomić opłacalną produkcję jest dla szwedzkich banków ekonomiczną herezją. Nie znaczy to, iż stosunek do Litwy jest jakoś szczególnie negatywny, Litwa po prostu nie istnieje w świadomości szwedzkich bankowców, jej obszar jest próżnią, a w próżni nie można podejmować sensownych działań gospodarczych.

Lars Forsman nie ukrywa problemów, z jakimi musi się borykać businessman na Litwie: – Ogromnym problemem jest, że coś sensownego można zrobić tylko w dużych miastach, że istnieje tylko Wilno, Kaunas, Kłajpeda czy Panevežys. Robotnicy z dawnych kołchozów to w większości ludzie straceni, całkowicie zdemoralizowani, przyzwyczajeni do uzupełniania kradzieżami swoich dawnych niskich pensji, które praktycznie otrzymywali za nic. Natomiast w dużych miastach nie brakuje młodych, dobrze wykształconych i rzetelnych młodych ludzi, którzy nawet mogą się porozumieć po angielsku. Ta nieznana nam w Szwecji dysproporcja między dużymi miastami a resztą kraju jest chyba najpoważniejszym problemem całej Europy Wschodniej, nie tylko gospodarczym, ale także politycznym, np. w wypadku referendum na temat przyszłej przynależności do Unii Europejskiej.

Opinie Forsmana oparte na obserwacjach z różnych części Litwy: w centrum Wilna prowadzi hotel Victoria (który wyremontował i wyposażył kosztem 2 milionów SEK), pod Wilnem posiada dom towarowy (800 m²) szwedzkich materiałów budowlanych, a w tzw. terenie – duży tartak; jest skądinąd w trakcie realizowania dwóch kolejnych projektów. Lars Forsman przyznaje jednak, że działalność na Litwie szwedzkiego businessmana wymaga dużej odporności psychicznej: podejrzliwość, z jaką patrzą na niego litewskie władze jest równa tej, z jaką spotyka się w szwedzkich bankach.

„DIGITALNA INWAZJA” EUROPY WSCHODNIEJ PROWADZONA BĘDZIE ZE SZTOKHOLMU

Amerykańska firma SUN Microsystems Inc., założona w roku 1982 przez grupę naukowców ze Stanford University, szybko uzyskała dominującą pozycję na rynku światowym w zakresie tzw. *work stations*, które dzięki zastosowaniu *distributed systems* stopniowo zaczęły wypierać duże komputery. Cechami charakterystycznymi firmy SUN jest oparcie się o otwarte systemy (Unix), powszechnie dostępne procesory i tzw. *multitasking* oraz koncentrowanie się na aspektach technicznych, z pewnym lekceważeniem *marketing*'u. Mimo to zyski SUN ciągle rosną (w roku 1994 wyniosły 356 milionów US\$), a obrót jest znaczny (5,9 miliardów US\$ w roku 1994).

Work stations używane są głównie przez zawodowców: do animacji, operowania obrazami z sieci TV, profesjonalnych technik obliczeniowych, a także przez architektów i konstruktorów pracujących z systemem CAD (*computer aided design*) oraz inżynierów używających CAE (*computer aided engineering*) i CAM (*computer aided manufacturing*).

W końcu sierpnia 1995 przebywał z wizytą w Sztokholmie główny strateg rynkowy firmy SUN, Joe Roebuck.

– Dynamicznie rozwijające się kraje Europy Wschodniej już wkrótce będą potrzebować dużych ilości profesjonalnego sprzętu, a więc staną się dla nas bardzo ważnym rynkiem – powiedział Joe Roebuck (28 VIII 1995). – Nie byłoby jednak właściwe wysyłanie do Moskwy czy Warszawy naszych ludzi z Silicon Valley, gdyż w bardzo małym stopniu orientują się oni w specyfice tego obszaru. Dlatego odpowiedzialność za rynek Rosji i Europy Wschodniej przejmie nasza szwedzka filia.

Powyższa decyzja Roebucka oznacza, że dyrektor sztokholmskiej filii SUN, Elis Nemes jest odpowiedzialny za największy ludnościowo i obszarowo rynek swojego kalifornijskiego mocodawcy, bo za rynek składający się z całego Norden, Baltikum, Rosji i Europy Wschodniej.

Jak wiadomo, większość przedstawicieli wielkiego biznesu zarażona jest dziś „gorączką chińską”: w Chinach chcą inwestować, w Chinach sprzedawać, do Chin jeździć, Chinami się zachwycać. W Rosji nie bardzo nawet i wiadomo, ile

jest partii, a na ulicach demonstrują jacyś wariaci, nawet ze swastykami, czarnymi chorągiewkami czy portretami Stalina. natomiast w Chinach płace są przyzwoicie niskie, ludzie pokorni, policja silna i w ogóle panuje *low and order*, czasami trochę nieprzyjemny, ale to już problem tubylców, a nie zachodnich businessmenów.

Jednak Joe Roebuck jest na „gorączkę chińską” chyba immunizowany, gdyż powiedział dosłownie: – Chiny są ogromnym i rozwijającym się dynamicznie rynkiem, ale według mojego osobistego poglądu Europa Wschodnia prześcignie Chiny w dynamice rozwoju. Część Rosji i bardziej rozwinięte kraje Europy Wschodniej osiągnęły już dziś poziom Argentyny, a nie jest to poziom niski.

S. ABNER

Kronika niemiecka

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: W przyszłym roku po raz pierwszy zmniejszony zostanie transfer finansowy do nowych landów do sumy 130 miliardów marek. ■ Obecnie w starych landach na 1.000 pracujących 120 osób zatrudnionych jest w przemyśle, w nowych landach 67. Produkcja w Niemczech wschodnich wzrosła w ubiegłym roku o 20%, lecz jednostkowe koszty produkcji wyższe są 40% niż w starych krajach związkowych. Wydajność produkcji osiąga tam też tylko 53%, natomiast płace już 75% poziomu zachodnioniemieckiego. ■ Według opinii Niemieckiego Związku Rolników DBV w pięć lat po zjednoczeniu Niemiec rolnictwo wschodnioniemieckie należy obecnie do czołówki europejskiej. Mimo pozostawienia odłogi 17% powierzchni rolnej tegoroczne zbiory wyniosły 13,8 miliona ton i przekroczyły tym samym „magiczną granicę” z czasów NRD o wysokości 11 milionów ton. Liczba miejsc pracy zmniejszyła się w tym czasie z 850.000 na 150.000. ■ Firma Adam Opel AG z siedzibą w Rüsselsheim planuje budowę fabryki

samochodów w Polsce i chce zainwestować w nią 400 milionów marek. ■ Bezrobocie w zachodnich dzielnicach Berlina (14,3%) jest wyższe niż w dzielnicach wschodnich (12,7%). Podobne zjawisko występuje też przy porównaniu niektórych landów wschodnio- i zachodniemieckich. ■ Do końca br. suma dotychczasowych inwestycji państwowych i prywatnych w nowych landach zamknie się kwotą 800 miliardów marek. ■ Niemiecka wymiana handlowa z krajami byłego bloku wschodniego wzrosła w pierwszej połowie br. o 18,6% w porównaniu do roku ubiegłego i osiągnęła 57,4 miliarda marek. W pierwszym półroczu największym partnerem handlowym Niemiec na wschód od Odry i Nysy po raz pierwszy była Polska (11,8 miliarda marek obrotu) przed Federacją Rosyjską (11,6 miliarda). ■ Niemiecki Związek Zawodowy Metalowców zaproponował rezygnację z podwyżek płac ponad stopę inflacji w zamian za zobowiązania pracodawców do zwiększenia liczby miejsc pracy i kształcenia zawodowego. ■ W ubiegłym roku wskaźnik absencji chorobowych w starych landach wyniósł 21 dni roboczych, w nowych 17. ■ 44% ankietowanych młodych obywateli niemieckich oczekuje dobrej, a tylko 7% złej przyszłości. 83% pragnie posiadać przynajmniej jedno dziecko, a 75% wziąć ślub. 74% młodocianych pochwała współżycie różnych kultur w Niemczech, 73% posiada przyjaciół wśród cudzoziemców, a 69% chciałoby prawa wyborczego dla obcokrajowców. W landach wschodnich „niezbyt lubi cudzoziemców” 23 %, a w zachodnich 7% młodocianych. Dane pochodzą z reprezentatywnej ankiety przeprowadzonej na zlecenie concernu IBM. ■ **POLITYKA:** Bundestag zatwierdził skrócenie zasadniczej służby wojskowej z 12 do 10 miesięcy, a zastępczej służby socjalnej z 15 do 13 miesięcy. Równocześnie koalicja rządząca zapowiedziała wprowadzenie ostrzejszych kryteriów dla osób odmawiających służby wojskowej. ■ Aktualnie 8,5% mieszkańców Niemiec posiada paszport innego kraju. Bez względu na liczbę cudzoziemców wynosi 6,9 miliona osób. Jedna czwarta spośród nich żyje w Niemczech od więcej niż 20 lat. W dużych miastach zachodniemieckich cudzoziemcy stanowią 16 % mieszkańców. Tylko 7% wszystkich osób zatrudnionych w miejskich służbach publicznych to obcokrajowcy, zatrudnieni przeważnie do prac porządkowych. ■ Z dużym rezonansem spotkała się akcja zbierania podpisów w ramach plebiscytu kościelnego prowadzonego przez rzesze katolików na rzecz reform kościoła katolickiego w Niemczech. Do głów-

nych żądań jego inicjatorów należy m.in. zniesienie celibatu księży i przyznanie kobietom prawa do święceń kapłańskich. ■ Podczas debaty w sprawie polityki europejskiej w Strasburgu prezydent Niemiec Roman Herzog stwierdził m.in., iż jeśli Europa zaprzepaści teraz szansę na realizację unii gospodarczej i monetarnej, powstanie groźba wojen gospodarczych, renacjonalizacji polityki gospodarczej, deflacji i depresji, i dodał: „Byłoby to cofnięciem się w lata 30-te”. ■ Zdaniem przewodniczącej organizacji „Matek rosyjskich” i rosyjskich organizacji obrony praw człowieka, Armia Rosyjska stanowi nadal zagrożenie dla pokoju na świecie. Przewodnicząca tej organizacji Ella Poljakowa stwierdziła też podczas sympozjum zorganizowanego przez Akademię Ewangelicką i Fundację im. Heinricha Bölla w Berlinie, że państwa jak Finlandia, Norwegia, Polska i Niemcy nadal służą w tej armii za obraz wrogów. Równocześnie podano, iż w czasie wojny w Czeszczeniu poległo dotychczas 17.000 żołnierzy rosyjskich oraz 50.000 ofiar cywilnych. ■ Pod koniec października br. prezydent Republiki Czeskiej, Vaclav Havel, i prezydent Republiki Federalnej Niemiec, Roman Herzog, wzięli udział w posiedzeniu wspólnej czesko-niemieckiej komisji historyków. Obydwaj prezydenci nie wypowiedzieli się jednak w sprawie wspólnego oświadczenia parlamentów obu krajów, w którym dokonane ma być „zamknięcie przeszłości”. Strona czeska pragnie oświadczenia o rezygnacji z politycznego i prawnego zajmowania się przeszłością. Dla strony niemieckiej równałoby się to oświadczeniu o rezygnacji z roszczeń w imieniu Niemców Sudeckich, a tym samym spowodowałoby lawinę miliardowych roszczeń z ich strony pod adresem rządu RFN. ■ Z odpowiedzi rządu RFN na interpelację przedstawicieli partii Sojusz 90/Zieloni wynika, iż w roku 1991 rozpatrzone pozytywnie 14.943 wnioski obywateli polskich zameldowanych w Polsce o paszporty niemieckie, w 1992 r. – 51.677 wniosków przy 3 odmowach, w 1993r. – 49.367 wniosków przy 10 odmowach, w 1994 r. – 54.251 wniosków przy 122 odmowach. Była to pierwsza oficjalna wypowiedź na ten temat. ■ **KULTURA:** Forum Literackie Ost-West w Düsseldorfie uskarża się na słabnące zainteresowanie literaturą wschodnioeuropejską po „euforii okresu przełomu”. ■ Tegoroczne 47 Targi Książki we Frankfurcie nad Menem przyciągnęły 8.889 firm wydawniczych z 97 krajów całego świata. W centrum uwagi tegorocznych targów znajdowała się Austria. ■ Od końca września do końca grudnia w ramach

corocznego cyklu o nazwie „Bez granic” ma miejsce największa z dotychczasowych prezentacja polskiej sztuki współczesnej w stolicy Niemiec. Program obejmuje serię koncertów, wystaw i pokazów filmowych, wieczorów literackich, sympozjów i dyskusji. Prezentowane są m.in. dzieła mistrzów polskiej grafiki 20-go wieku. Odbywa się też zbiorcza prezentacja prac najbardziej znanych galerii polskich. Niemniej okazałe w programie przedstawia się polska oferta teatralna, na którą składają się m.in. występy Teatru Wielkiego z Warszawy, teatru KTO z Krakowa, Akademii Ruchu z Warszawy oraz Teatru Ósmego Dnia z Poznania. Serię koncertów muzyki polskiej otworzył Kwartet Wilanowski. Jednym z punktów ciężkości tegorocznego programu „Grenzenlos” jest polska literatura współczesna. ■ W dniach od 23 do 28 października miał miejsce w Lipsku szeroko zakrojony cykl imprez kulturalnych pt. „Kraków w Lipsku”. W jego ramach odbyły się m.in. wystawy plastyczne i fotograficzne, wieczory literackie i koncerty oraz projekcje filmów polskich. Prowadzony przez Eugeniusza Piliszka Polski Instytut w Lipsku jest trzecią tego rodzaju instytucją polską w Niemczech. ■ W roku ubiegłym Niemiecka Służba Wymiany Akademickiej DAAD przyznała stypendia 35.500 naukowcom i studentom z różnych krajów. Adres fundacji dla zainteresowanych: Deutscher Akademischer Austauschdienst, Kennedyallee 50, D-53175 Bonn.

Andrzej STACH

Kronika australijska i nowozelandzka

Światowy Bank ogłosił listę najbogatszych państw na świecie, po raz pierwszy nie opierając się na dochodzie narodowym, lecz na wartości zasobów naturalnych, wody i na kolejach. Według tej nowej listy Australia jest najbogatszym krajem na świecie; na jednego jej mieszkańca przypada 835 tys. dolarów amerykańskich (jest to oczywiście założenie teoretyczne). Na drugim miejscu jest Kanada (704 tys. dol. amer.). Powodem, że Australia i Kanada są według tej, listy najbogatszymi krajami jest, że posiadają wielkie ilości zasobów naturalnych przy stosunkowo małej liczbie ludności. Zasoby naturalne i wody Australii stanowią czterdzieści procent w porównaniu do Stanów Zjednoczonych (które są na dwunastym miejscu na tej liście), ale stan ludności Australii to osiem procent w porównaniu do Stanów Zjednoczonych. ■ W Canberze, stolicy Australii, odbył się zjazd delegatów Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii, centralnej organizacji australijskiej Polonii, liczącej obecnie około sto sześćdziesiąt tysięcy osób. Wybrane zostały nowe władze Rady Naczelnej na kolejne dwa lata. Prezesem został ponownie wybrany Krzysztof Łańcucki (z Melbourne), wiceprezesem Ryszard Majewski (prezes Rady Organizacji Polskich w Canberze). Do Rady Naczelnej należą prawie wszystkie polonijne organizacje w tym kraju (a jest ich blisko dwieście). W wywiadzie dla polskiego programu radia australijskiego, nowowybrany prezes Krzysztof Łańcucki zaznaczył, że Rada Naczelna zamierza nadal utrzymywać stały kontakt z władzami Australii w celu lansowania spraw polskiej grupy etnicznej, uczestniczyć w pracach Rady Federacji Społeczeństw Etnicznych oraz utrzymywać kontakt z Polską przez „Wspólnotę Polską”. W skład Rady Naczelnej wchodzi również: Fundusz Wieczysty i Komisja Oświatowa. Fundusz Wieczysty wspiera finansowo m.in. polonijne szkolnictwo, polonijną działalność kulturalną i naukową. Komisja Oświatowa koordynuje i opiekuje się polonijnym szkolnictwem w Australii (40 szkół z 120 nauczycielami i 2.200 uczniami). ■ Na zaproszenie Australijskiego Instytutu Spraw Polskich przybył do Australii dr. Jan Krzysztof Bielecki, były premier rządu RP. ■

Walne zebranie Polskiego Koła Kulturalno-Artystycznego w Melbourne, które odbyło się w tym roku, postanowiło zakończyć swoją działalność, po spełnieniu swojej roli w okresie czterdziestu lat. Koło, oprócz comiesięcznych zebrań, w ramach których odbywały się literackie i dyskusyjne wieczory, koncerty muzyczne, żywe dzienniki, odczyty, urządzało także większe imprezy artystyczne i kulturalne, m.in. pierwszy w Australii festiwal teatru polskiego (z udziałem zespołów teatralnych z różnych stanów Australii). ■ Zespół Pieśni i Tańca Polonez, z siedzibą w Melbourne, liczący 150 osób (plus orkiestra), jeden z największych i najlepszych tego rodzaju zespołów w polonijnej diaspory, obchodzi w tym roku – dając specjalne jubileuszowe występy – trzydziestolecie istnienia. Inicjatorem i założycielem zespołu był nieżyjący już inż. Zbigniew Czech. Zespół ten prowadzi nadal jego żona Janina wraz z córką Barbarą. ■ W Canberze miał miejsce zjazd rodziny Platerów. Przybyło ponad sto dwadzieścia osób z różnych stanów Australii, reprezentujących piąte, szóste a nawet siódme pokolenie potomków hrabiego Lucjana Platera, uczestnika powstania listopadowego, który przybył do Australii w roku 1840. ■ W Perth (stanie Zachodniej Australii) zmarł Ludwik Tabaczyński, działacz polonijnego tygodnika *Echo* (w Perth), autor dwóch tomów poezji „Żywica” i „Błękitny Wiatr”, wydanych przez londyńską Oficynę Poetów i Malarzy. ■ W Townsville, w stanie Queensland, ambasador dr. Agnieszka Morawińska udekorowała Krzyżem Powstańcym australijskiego lotnika Loyda Trottera, który brał udział w lotach do Polski ze zrzutami dla Armii Krajowej. ■ Kompozytor, poeta, pieśniarz – Jacek Kaczmarski, osiedlił się w Australii (w Perth). ■ Na walnym zebraniu Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii, wybrany został zarząd, z prezesem Jackiem Śliwińskim (z nowszej emigracji), prawnikiem. Stowarzyszenie liczy obecnie 350 członków. Oprócz Stowarzyszenia prowadzi swoją działalność, również w Wellington, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, posiadające 110 członków oraz Koło Polek – 80 członkiń. Polonia nowozelandzka liczy obecnie około czterech tysięcy osób. ■ W Auckland, w Nowej Zelandii, został udekorowany Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta, były żołnierz Armii Krajowej, Anglik, Ron Jeffrey. Dekoracji dokonał konsul RP w Nowej Zelandii Stanisław Amanowicz. Ron Jeffrey w czasie wojny dostał się do niemieckiej niewoli, skąd zbiegł i ukrywał się w okupowanej przez Niemców Warszawie. Wstąpił do Armii Krajowej i dzięki zdolnościom językowym został przydzielony do pracy wywia-

dowczej. Wysyłany był na bardzo niebezpieczne misje do Wiednia, Pragi i Berlina. Po wojnie wyemigrował z Anglii do Nowej Zelandii, gdzie napisał i wydał książkę „Red runs the Vistula”, w której opisał swoje wojenne przeżycia.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Kronika kanadyjska

Udział w referendum przekroczył wszystkie dotychczasowe wybory federalne i prowincjonalne: wyniósł bowiem ponad 93% uprawnionych. Głosowało 4.600.000 osób z tego za niepodległością Quebecu 49,4%, a przeciw – 50,6%. Różnica wyniosła ponad 50.000 głosów. Klęska separatystów jest poważniejsza aniżeli zwycięstwo federalistów. I tak premier Parizeau, po ogłoszeniu wyników, zapowiedział ustąpienie a Lucien Bouchard, najwybitniejszy rzecznik separatystów, szef w federalnym parlamencie, rozważa całkowite wycofanie się z polityki, bądź też z Ottawy, i objęcie steru rządu w Quebecu. Premier rządu federalnego, Chretien, zapowiedział uregulowanie stosunków z Quebecem, to jest uwzględnienie pewnych przywilejów i uprawnień. ■ Po ustanowieniu na Uniwersytecie w Toronto Katedry Studiów Polski wznowiono zbiorczą funduszy na prowadzenie studiów badawczych i rozszerzenie prac tej placówki. ■ Nowy konserwatywny rząd prowincji Ontario, wyłoniony po wyborach w czerwcu, zgodnie z zapowiedziami przystąpił do obniżenia deficytu budżetowego przez zmniejszenie, względnie skreślenie, różnych wydatków na opiekę społeczną. Obniżył o 21,6% zasiłki na opiekę społeczną dla około 210.000 mieszkańców Toronto. W tej liczbie jest sporo nowo przybyłych emigrantów. Rząd zapowiedział zmniejszenie liczby pracowników państwowych, zniesienie niektórych placówek oraz obniżenie diet posłom. ■ Bezrobocie w dalszym ciągu jest poważnym problemem. W lipcu br. wyniosło 9,8% – 1.509.000 osób i najsilniej dotknęło młodych wiekiem robotników oraz pracowników państwowych, federalnych i prowincjonalnych. ■ Ontario Cancer Institute torontońskiego szpitala ofiarował Akademii Medycznej w Gdańsku mikroskop elektroniczny. Zainstalować go może tylko specjalista, na wysłanie którego zbiórka w Toronto przyniosła \$ 20.000.

Listy do Redakcji

Paryż, 2 listopada 1995

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* nr 7/8 w Wydarzeniach miesiąca na stronach 215 i 216 ukazało się obszerne sprawozdanie z wykładu J.E. Profesora Jerzego Łukaszewskiego Ambasadora RP we Francji.

Był to wykład i dyskusja w ramach imprez zorganizowanych przez Centre de Civilisation Polonaise działające na Sorbonie. Wieczór w wielkim Amfiteatrze Guizot poprowadził profesor Daniel Beauvois, znany historyk i autor ostatnio wydanej historii Polski. W sprawozdaniu z 17 maja br. zamieszczonym w *Kulturze* zostało opuszczone miejsce i organizator wykładu. Proszę więc o łaskawe umieszczenie sprostowania.

Pozostając z wyrazami szacunku i sympatii

Juliusz A. CHROŚCICKI

London, 27/10/95

Szanowny Panie Redaktorze,

KONGRES KULTURY POLSKIEJ NA OBCZYŻNIE

Nawiązując do artykułu pod powyższym tytułem (*Kultura*, Paryż, nr 10/577, 1995), pragnę oświadczyć w imieniu Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, iż nie zamierzamy polemizować z osobą ukrywającą się tchórzliwie pod pseudonimem QUID-NUNC, od felietonisty z londyńskiego *Sunday Timesa*.

Artykuł zaczyna się legendą, brnie przez kłamstwa, a kończy się drwiną z uczuć patriotycznych.

Łączę wyrazy poważania

prof. Zbigniew GĄSIEWICZ MC MA
sekretarz generalny PTNO

Warszawa, 27 października 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze wrześniowym *Kultury* (nr 9 z 1995 r.) ukazał się artykuł T. Mianowicza „Stan wojenny. Fragmenty scenariusza”. Dowiedziałem się z niego, że jestem autorem stanu wojennego, który wtrącił do obozów i więzień moich przyjaciół i kolegów, a nawet – przez pomyłkę – mnie samego. Mógłbym wskazywać, że autorowi nie są znane zasady pracy historycznej, o których dowiadują się studenci u progu studiów. Historia jest jednak dociekaniem prawdy, konstruowaniem kłamstwa zajmują się inne rzemiosła. Nie wiem czy p. Mianowicz jest politykiem czy historykiem, ale z kart tekstu zieje całkiem polityczna nienawiść. Fałszywa polityka – parafrazując Szujskiego – rodzi zawsze fałszywą historię.

Z niezmiennym podziwem i szacunkiem dla Pana Redaktora i dla *Kultury*

Bronisław GEREMEK

8 listopada 1995

Sądzę, że każdy czytelnik, który ukończył szkołę podstawową, zauważył bez trudu, że mój tekst we wrześniowym numerze *Kultury* nie jest pracą historyczną, lecz publicystycznym artykułem. Podobnie nie potrzeba specjalnych kwalifikacji intelektualnych, aby dostrzec, że posłużyłem się wyłącznie znanymi już uprzednio dokumentami czy świadectwami i że sam nie wyraziłem żadnej opinii dotyczącej p. prof. Geremka. „Polityczna nienawiść” ziać musi przeto z którejś z przytoczonych przeze mnie wypowiedzi, ale p. Geremek nie ujawnia z której. Również „konstruowanie kłamstwa” polegać musi na zestawieniu informacji zawartych w telegramie ambasadora Neubauera ze zbieżnymi opiniami pochodzącymi z polskich publikacji, trudno mi zatem zrozumieć, dlaczego p. prof. Geremek kieruje swe oburzenie pod moim adresem. Podobnie nie wyjaśnia, dlaczego rozgniewał się dopiero 27 października br., choć cytaty, które wykorzystałem, pochodzą z publikacji znanych od wielu lat. Także telegram ambasadora Neubauera znany jest w Polsce co najmniej od 9 sierpnia br., jeśli zatem w odczuciu prof. Geremka polityczną nienawiścią zioną przytoczone w tym dokumencie wypowiedzi Stanisława Cioska, to pytać można, dlaczego przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu RP poczuł się urażony dopiero ich publikacją w *Kulturze*. Ale to chyba pytanie retoryczne.

Tomasz MIANOWICZ

Neapol, 3 listopada 1995

Drogi Redaktorze,

dopiero niedawno dowiedziałem się, że jako Polak zamieszkały za granicą nie mam prawa głosować w drugiej turze wyborów. W tej sytuacji nie zamierzam oczywiście głosować w pierwszej turze, byłaby to bowiem procedura, którą biegli w łacinie juryści (a w Polsce roi się od biegłych w łacinie jurystów) musieliby określić słowami *coitus interruptus*.

Nic mnie już w Polsce nie dziwi po przeczytaniu Manifestu Post-komunistycznego Michnika i Cimoszewicza. I po oświadczeniu Prezydenta Wałęsy we Florencji (wywiad udzielony turyńskiemu dziennikowi *La Stampa*), że za ileś tam lat kraj nasz usiany będzie pomnikami Wałęsy, a i Włosi wystawią mu pomnik (pewnie na *Piazza delle Signoria*, właśnie we Florencji). Dziwi mnie tylko jedno. Polacy zamieszkali za granicą (w tym, dla przykładu, Ty i ja) otrzymali status obywateli drugiej kategorii, po co więc zabiega się o ich zgłędy i głosy wyborcze? Minister Olechowski (były) zatelefonował do mnie z prośbą, abym przystąpił do tworzonego przez niego nowego ruchu politycznego. Nazajutrz przeczytałem w *Rzeczpospolitej* rozmowę z nim: wynikało z niej, że miałby ochotę utworzyć rząd w razie re-elekcji Prezydenta Wałęsy. Jest to jego sprawa (a raczej pragnienie), o tyle zrozumiałe że z dawnych jego wypowiedzi wiem jak wysoko ceni Wałęsę (stawia go, jako Polaka, wyżej od Chopina i Kopernika). Ale dlaczego do tej operacji politycznej potrzebny jest obywatel drugiej kategorii z półgłosem? Tadeusz Zieliński, Rzecznik Praw Obywatelskich, mój były kandydat w wyborach prezydenckich, był łaskaw przysłać mi list, w którym mile uderzyło mnie zdanie: „Oceniam, że w odrodzonej po 1989 roku Polsce nie został należycie wykorzystany kapitał politycznego doświadczenia oraz kwalifikacji zawodowych wybitnych przedstawicieli polskiej emigracji”. Gdyby autor tego zdania przeszedł do drugiej tury, nie mógłbym mu się za nie odwdziżyć kartką wyborczą. Więc po co rzecznik Rzecznika, czyli Andrzej Micewski, poradził swemu pryncypałowi napisanie takiego listu?

Drogi Redaktorze, piszę mój list opanowany nagłym lękiem: a może moja niepodległa nareszcie ojczyzna wpadła w sieć zbiorowego obłędu?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Londyn, 26.10.1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Pani Helena Miziniak jako Sekretarz Generalny Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii poczuła się w obowiązku zarzucenia

p. Jakubowi Strzeleckiemu iż w swojej korespondencji z Londynu podał niecisłe czy nawet wręcz nieprawdziwe wiadomości (*Kultura*, Nr 6/573). Chodzi o sprawę „nominacji Karola Drozda na stanowisko Konsula Generalnego RP w Londynie”. P. Miziniak z racji swojej funkcji stwierdza, że protest Walnego Zjazdu Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii miał formę nie wniosku lecz tylko apelu „proszącego MSZ o ponowne rozpatrzenie tej nominacji”. (*Kultura*, Nr 9/576). Jest to stwierdzenie sprzeczne z opinią wnioskodawcy i uczestników Walnego Zjazdu, którzy potwierdzają, że uchwalono właśnie wniosek „o zwrócenie się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Kraju z prośbą o uchylenie tej decyzji” gdyż „objęcie przez p. Drozda stanowiska Konsula Generalnego w Londynie jest ubliżające w stosunku do emigracji niepodległościowej”. Wniosek uchwalono ogromną większością głosów przy sprzeciwie jedynie 3 osób. P. Miziniak powinna natomiast wyjaśnić dlaczego i na czyją postronną interwencję Zarząd Zjednoczenia Polskiego zdecydował później wniosek zmienić na dezyderat a dezyderat na apel i usunąć jego tekst z listy wniosków, dezyderatów i apeli ogłoszonych w *Tygodniu Polskim* z 3.6.1995”.

Nie chodzi tu zresztą o tę czy inną osobę, ale o stałą praktykę przysyłania starych funkcjonariuszy i przedstawiania ich jako rzekomo nowych pracowników dyplomacji polskiej. Od dawna też protestując przeciwko tej metodzie zmuszania społeczności emigracyjnej do obcowania z dawną, niegdyś zwalczaną, nomenklaturą zgłaszaliśmy postulat podawania do wiadomości publicznej prawdziwych życiorysów przysyłanych na zagraniczne placówki dyplomatów a nie ciągłego ich utajniania. Podobnego stanowiska można się dopatrzeć w memoriale Rady Polonii Belgijskiej o ileż bardziej niezależnym i otwartym, a nie tak bojaźliwym, uległym i ustepliwym tam zwłaszcza gdzie za fasadą pochlebnego pustosłowania w istocie emigrację lekceważy się nie licząc się z jej zdaniem i zasadami jakimi kierowała się w swojej działalności niepodległościowej.

Łączę wyrazy szacunku

Zdzisław JAGODZIŃSKI

4 października 1995

Wielce Szanowny i Drogi Panie!

W numerze lipiec/sierpień 95 *Kultury*, taki kwiatek: Jacek Nowicki (czy to jego prawdziwe nazwisko?) w artykule „Jedyna prawda”, na stronie 47 pisze, że w 1945 wszyscy Polacy poczuwali się w Kraju do odpowiedzialności w odbudowie „Ludowej Ojczyzny”.

Byłem wtedy w Polsce i nie tylko do takiej racji stanu nie poczuwałem się, ale wyrzucony z gospodarstwa wiejskiego przez bojówki PPR-owskie, musiałem opuścić dom rodzinny i ukrywać

się przed agentami U.B., a potem uciekać z życiem za granicę. Co gorsze autor tego niefortunnego artykułu rzuca gorszące inwektywy, poprzez anonimowego „kolegę”, który cieszył się z płonącego getta, ale „wyszedł z Brygadą Świętokrzyską”... Dziwię się Panu Redaktorowi, że umieszcza takie insynuacje, godne pisma *Nie* niejakiego Urbana, w którym ukazał się prawie równolegle paskudny paszkwil na NSZ i na mego przyjaciela ś.p. ppłk. Leonarda Zub-Zdanowicza, pseud. „Zab”.

Łączę najlepsze wyrazy

Józef KLESZCZYŃSKI

Cooma, 31 października 1995

Drogi Panie Redaktorze,

W październikowym (1995) numerze *Kultury*, w liście do Redakcji, Jerzy Grot-Kwaśniewski polemizuje z moim artykułem o prasie polskiej w Australii – w szczególności z pewnymi danymi liczbowymi cytowanymi przeze mnie.

Nie wysłałem tych danych z palca, ani z interpretacji. Jak napisałem powyżej: *cytowałem* –

– (a) z Raportu Badań Imigracyjnych, Wielokulturowych i Ludnościowych (*Community Profiles 1991: Poland Born*) opublikowanego 14 lutego br. przez ministra imigracji i spraw etnicznych, senatora Nicka Bolkusa;

– (b) z ostatniego spisu ludności.

Jerzy Grot-Kwaśniewski pisze o grupie urodzonych w Australii obywateli polskiego pochodzenia: 64.347 osób i potem dodaje, że te osoby w dużej większości mówią w domu po angielsku. Wychodząc z tegoż założenia, gdy omawiałem prasę *polską* w Australii wyłączyłem tę grupę nie potencjalnych czytelników; jak również urodzonych w Niemczech, w Wielkiej Brytanii i w innych krajach.

Wszystkie dane liczbowe w moim artykule są oficjalne. Natomiast Jerzy Grot-Kwaśniewski opiera pewne lekko już przestarzałe (1986) wnioski pseudo-statystyczne na takich określeniach jak: „trudno sobie wyobrazić”, „wydaje się”, „z moich spostrzeżeń i obserwacji wynika”, „w dużej większości” i „w olbrzymiej większości”. Chwalebna retoryka mająca na celu umocnienie morale polskości na tym kontynencie przez cytowane wyżej, raczej mgliste określenia i konkluzje oparte na *wishful thinking*, na subiektywnym punkcie widzenia ich autora. Supozycje nie tak bardzo naukowe.

A statystyka jest nauką, jak wykladał nam na Uniwersytecie Warszawskim prof. Stefan Szulc.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

Oxford, dn. 2 listopada 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Do sprawozdania z Kongresu Kultury Polskiej w Londynie wkradła się nieścisłość. Pan Quidnunc napisał, że „Tuż po zakończeniu wojny powstał Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie”. Otóż tuż po wojnie powstało Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, placówka odczytowo-wydawnicza o dość szerokim programie kulturalnym.

Tymczasem PEN-Club Polski działał w dalszym ciągu, urządził imprezy i spotkania literackie, m.in. wraz ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich w Londynie wystosował do marszałka Montgomeri'ego depechę w sprawie ułaskawienia Polaków skazanych na śmierć w Paderborn. Jedna z ostatnich – jeśli nie ostatnia – impreza nosiła tytuł „W obliczu chwili”, poruszyła w sposób kassandryczno-proroczy zagadnienia kryzysu kultury współczesnej (10.IV.1946).

I tak w maju 1946, na parę tygodni przed Zjazdem PEN-Clubów w Sztokholmie, odbyło się Nadzwyczajne Walne Zebranie PEN Clubu Polskiego w Londynie. Po konferencji sztokholmskiej minęło jeszcze dwa miesiące, zanim doszło do zebrania likwidacyjnego Pen-Clubu w Londynie (31.VII.1946), słowami jednego z uczestników, które było – „nieprawdopodobnie chaotyczne, męczące, nudne” i „szczytem nieprzygotowania i nieporządku”.

Związek powstał właściwie na zgłoszczach PEN-Clubu, troszkę na zasadzie Feniksa, wynika bowiem z ówczesnych ogłoszeń i notatek prasowych że uchodził za spadkobiercę czy jak kto woli namiastkę byłego PEN-Clubu. W każdym bądź razie dn. 8.VIII.1946 odbyło się zebranie organizacyjne nowego Związku, na którym Stanisław Stroński okazał się niezawodny, a w tydzień później, dn. 15.VIII.1946 zebranie założycielskie, uchwalając statut i wybierając władze związku.

Pozostaję z wyrazami głębokiego szacunku

Nina TAYLOR

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1995

Spis autorów

ABNER Stefan. – BAKUŁA Bogusław, BARAN Zbigniew, BĄKOWSKI Adam Tadeusz, BERBERYUSZ Ewa, BERDYCHOWSKA Bogumiła, B.H., BNIŃSKI Wacław H., BOGUSŁAWSKI Andrzej, BONIECKI Jerzy, BORZESTOWSKI Waldemar, BÓBR-TYLINGO Stanisław, BRAGIŃSKI Aleksander I., BRODZIŃSKI Konrad, BRONSKI M., BUJNICKI Tadeusz, BZOWSKA Katarzyna. – ČERNÝ Václav, CHABROWSKI Tadeusz, CHEŁMIŃSKI Leszek, CHMIELECKA Ewa, CHROŚLICKI Juliusz A., CHRZANOWSKI Tadeusz, CHYLIŃSKA Kamila, CISEK Janusz, CYBULSKA Maja E., CZAYKOWSKI Bogdan, CZEKMAN Walery. – DANIELEWICZ-KERSKI Dorota, DANILEWICZ-ZIELIŃSKA Maria, DASZKIEWICZ Piotr, DEJMEK Kazimierz, DELAPERRIERE Marie, DŁUSKI Stanisław, DOMINIĄK Zbigniew, DREWŃSKI Tadeusz, DUBAWIEC Siarhiej. – EHRENKREUTZ Andrzej S. – FEDECKI Ziemowit, FEUERMAN E.J., FLORCZAK Zbigniew (PELIKAN). – GAJOWNICZEK Paweł, GĄSIEWICZ Zbigniew, GEREMEK Bronisław, GRONKIEWICZ-WALTZ Hanna, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy. – HAIN Bruno, HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HANOWER P., HELLER Michał, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HEYDENKORN Benedykt. – IŁOWIECKI Maciej, IWANOW Aleksander. – JACKIEWICZ Mieczysław, JAGODZIŃSKI Zdzisław, JEWTUSZENKO Eugeniusz, JÓŻWICKI Jerzy. – KACZMAREK Robert, KALININ Andrzej, KAŁYŃIĆ Ihor, KARNKOWSKI Kazimierz, KĄDZIELA Paweł, KERSKI Basil, KERSZMAN Gustaw, KLEJNOCKI Jarosław, KLESZCZYŃSKI Józef E., KOŁAKOWSKI Leszek, KOMAREK Marcin KORASZEWSKI Andrzej, KORNICKI F., KOSSOWSKA Stefania, KRAKOWSKI Jędrzej, KRUCZEK Adam, KULA Marcin, KURON Jacek, KUROWSKA-MŁYNARCZYK Joan-

na, KURSKI Jarosław, KWAŚNIEWSKI Aleksander, KWIECIŃSKI Jacek. – LANCKOROŃSKA Karolina, LEWANDOWSKI Józef, LEWANOWSKI Wacław, LIBERA Antoni, LIZAKOWSKI Adam, ŁĘTOWSKA Ewa. – MAGALA Sławomir, MARCINKOWSKI W.M., m.a.s., MCBRIEN Richard, MIANOWICZ Tomasz, MIETKOWSKI Andrzej, MIZINIAK Helena, MODZELEWSKI Karol, MONDRAL Camilla, MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik, MOSKAŁA Jerzy, M.P., MÜLLER Ruth. – NASIELSKI Adam, NOWAK-JEZIORAŃSKI Jan, NOWICKI Jacek. – ODROWĄŻ-PIEŃIĄŻEK Janusz, OKUDŻAWA Bułat, OLSZER Krystyna S., OLSZEWSKI Jan, ONYSZKIEWICZ Janusz, OSADCZUK Bohdan. – PACZOWSKI Bohdan, PAWLUS Ignacy, PĘDZIWOŁ Aureliusz Marek, PIASKOWSKI Jerzy, PIETRKIEWICZ Jerzy, POLACZEK Stanisław, POMIAŃSKI Jerzy, POPRAWA Adam, POSPIESZAŁSKI Antoni, P.D., PRZYJACIELE ZE SZWECJI. – QUIDNUNC. – RAKOWSKI Mieczysław F., RĄCZKOWSKA Anna, REDAKCJA „KULTURY”, REDAKTOR, RIEDL Anna, ROBOWSKI Andrzej, RODAK Paweł, ROKOSZOWA Jolanta, R.W., RYBAŁT Andrzej, R.W. – SCHÜTT Peter, SIEMASZKO Z.S., SKUPIŃSKI Andrzej, SŁOMIAŃSKI Andrzej, SMECZ, SONNEWEND Jerzy, STACH Andrzej, STANKIEWICZ Zygmunt, STRUGAREK Stefan, STRZELECKI Jakub, STRZEMBOSZ Adam, SUSZKO Iwona, SZAŁAMOW Wacław, SZAŁYGO Grażyna Ewa, SZARUGA Leszek, SZCZYGIELSKI W.M., ŚMIEJA Florian. – TABORSKI Bolesław, TAYLOR Nina, TERBILLE Aloys, TROJANOWICZOWA Zofia. – UNGER Leopold, URBANŃSKI Stanisław. – VALENTA Jarosław, VENULET Jan, VINCENZ Andrzej. – WALICKI Andrzej, WAŁĘSA Lech, WANDYCZ Piotr, WIERZBICKI Z.T., WILK Mariusz, WŁODAWIEC Bogumił, WOLICKI Krzysztof, WOROSZYLSKI Wiktor, WRÓBLEWSKI Andrzej Krzysztof. – ZARZĄD POLSKIEGO PEN-CLUBU, ZAWODNY Janusz K., ZIELIŃSKI Tadeusz, ZIÓŁKOWSKA-BOEHM Aleksandra.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

B.H.: *Kronika kanadyjska* (1/568-2/569, 3/570, 5/572, 7/574-8/575, 12/579).
BRODZIŃSKI Konrad: *Kaukaskie oko cyklonu* (4/571).
CHRZANOWSKI Tadeusz: *Filozofia Fensterguckera* (1/568-2/569).

- FLORCZAK Zbigniew (PELIKAN): *Teraz państwo* (4/571).
 GAJOWNICZEK Paweł: *Kronika norweska* (7/574-8/575).
 GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowo-zelandzka* (5/572, 12/579).
 KULA Marcin: *Polska 1993-1995: Motywy społeczne i narodowe*. (7/574-8/575).
 ŁĘTOWSKA Ewa: *Konstytucja dla ludzi czy elit politycznych?* (1/568-2/569).
 NOWICKI Jacek: *Jedyna prawda*. (7/574-8/575).
 POMIANOWSKI Jerzy: *Ruski miesiąc w Warszawie* (1/568-2/569).
 RIEDL Anna: *Kronika szwedzka* (3/570, 9/576).
 STRZELECKI Jakub: *Kronika angielska* (3/570, 6/573, 7/574-8/575).
 UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli:*
 – *Krajobraz przed Ankieta* (9/576)
 – *Paradoksy Rosji: cena strachu i koszt nadziei* (6/573).
Wydarzenia miesiąca (1/568-2/569, 3/570, 4/571, 5/572, 6/573, 7/574-8/575, 9/576, 10/577, 11/578, 12/579).
Z ostatniej chwili (9/576).

Archiwum polityczne

- ANKIETA „KULTURY”: *Jaka Polska na XXI wiek?* Wykaz osób do których zwróciliśmy się i treść Ankiety zamieściliśmy we wrześniowym numerze *Kultury* (9/576).
 Na pytania Krzysztofa Wolickiego odpowiedzieli: Hanna GRONKIEWICZ-WALTZ, Jacek KUROŃ i Aleksander KWAŚNIEWSKI.
 Na pytania Jarosława Kurskiego odpowiedzieli: Jan OLSZEWSKI, Janusz ONYSZKIEWICZ i Tadeusz ZIELIŃSKI.
 Odpowiedzieli sami: Ewa ŁĘTOWSKA, Adam STRZEMBOSZ i Lech WAŁĘSA.
 Odpowiedzi *in extenso* zamieściliśmy w *Kulturze* październikowej (10/571). W przygotowaniu i opracowaniu Ankiety uczestniczył Leopold UNGER.
 ABNER Stefan: *Z nordyckiej perspektywy* (11/578, 12/579).
 ČERNÝ Václav: *Czesi i Niemcy sudeccy – z czeskiego przełożył Aureliusz M. Pędzioł* (9/576).
 CHYLIŃSKA Kamila: *Niemcy a wojna* (11/578).
 KACZMAREK Robert: *Gaz a sprawa polska* (5/572).
 – *Społeczne koszty rewolucji technologicznej* (3/570).

- KERST Basil: *Polska–Niemcy: po Dniu Zwycięstwa* (7/574-8/575).
 KOMAREK Marian: *Wygnanie Niemców było bezprawiem, naprawimy je* (przełożył z czeskiego Aureliusz M. Pędzioł) (9/576).
 KORASZEWSKI Andrzej: *Szczyt pobożnych życzeń* (5/572).
 KRAKOWSKI Jędrzej: *Polska wobec Zachodu: partner czy klient?* (10/577).
 MONDRY Janusz: *A jednak czechizacja* (7/574-8/575).
 – *Plan dla Japonii* (4/571).
Notatki Redaktora (1/568-2/569, 4/571, 5/572, 6/573, 7/574-8/575, 9/576, 12/579).
 PĘDZIWOŁ Aureliusz M. (tłumacz) ob. V. Černý i M. Komarek.
 POLACZEK Stanisław: *Dyskretny urok kohabitacji* (3/570).
 STACH Andrzej: *Repatriacja Niemców rosyjskich do Niemiec* (4/571).
 UNGER Leopold: *Strachy nie na Lachy* (1/568-2/569).
 VALENTA Jarosław: *O rzekomej determinacji Pragi słów kilka* (7/574-8/575).
 WANDYCZ Piotr: *Węgierskie migawki* (9/576).
 WOLICKI Krzysztof: *Po wyborze prezydenta... Francji* (6/573).
 WRÓBLEWSKI Andrzej Krzysztof: *Jużnij albo Noworossijsk* (9/576).
 – *Na rurociągu jak na smyczy* (6/573).
- Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne**
- BARAN Zbigniew: *Julian Klaczko – portret wygnańca* (4/571).
 FLORCZAK Zbigniew (PELIKAN): *Przemalowywanie portretu* (3/570).
 HELLER Michał: *O pożytkach z Chazarów* (3/570).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (3/570, 5/572, 6/573, 9/576, 10/577, 11/578).
 – *Martwy Chrystus* (1/568-2/569).
 SZAŁAMOW Wałam: *Kilka moich żywotów*, przełożył z rosyjskiego Mariusz Wilk (9/576).
 WILK Mariusz: *Samopas na Kanin Nos i z powrotem* (11/578).
 – *Z Wysp Sołowieckich do Paryża* (5/572, 6/573, 7/574-8/575, 9/576, 11/578).
 – (tłumacz) ob. Wałam Szałamow.

**Powieści, nowele, fragmenty powieściowe,
wspomnienia**

- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Hamlet Piemoncki* (12/579).
– *Prochy* (7/574-8/575).
KALININ Andrzej: *Wigilia białych niedźwiedzi* (12/579).
LIBERA Antoni: *Komu bije dzwon?* (6/573).
MONDRAL Camilla: *Impresje i wspomnienia na temat znacząca pocztowego* (11/578).
SZAŁAMOW Wałam: *Tropa* – przełożył z rosyjskiego Mariusz Wilk (5/572).
WILK Mariusz (tłumacz) ob. Wałam Szałamow.

Utwory poetyckie

- BAKOWSKI Adam Tadeusz: *Park* (11/578).
BORZESTOWSKI Waldemar: *Singer* (5/572).
– *Świątynia* (5/572).
CHABROWSKI Tadeusz: *Drabina nonsensu* (11/578).
CZAYKOWSKI Bogdan: *Geneza lubienia* (11/578).
– *Medytacja* (9/576).
– *O czym pamiętał we śnie sen* (9/576).
– *Sekwoja* (9/576).
DŁUSKI Stanisław: *Wacława Iwaniuka strony świata* (5/572).
DOMINIĄK Zbigniew: *Na działce (I)* (5/572).
FEDECKI Ziemowit (tłumacz) ob. Aleksander Iwanow.
HAIN Bruno: *Wokół pokoju gadać* – przełożył z niemieckiego Andrzej Słomianowski (7/574-8/575).
IWANOW Aleksander: *..Zadrzała szyba* – przełożył z rosyjskiego Ziemowit Fedeki (12/579).
JEW图斯ZENKO Eugeniusz: *Druga wojna domowa* – przełożył z rosyjskiego Wiktor Woroszyński (3/570).
KLEJNOCKI Jarosław: *Kraków, mgła* (6/573).
KUROWSKA-MŁYNARCZYK Joanna: * * * (6/573).
LIZAKOWSKI Adam: *Jadąc samochodem do pracy* (12/579).
MÜLLER Ruth: *Czeczenia* – przełożył z niemieckiego Andrzej Słomianowski (7/574-8/575).
OKUDŻAWA Bułat: *Mówi pan Olbrychski* – przełożył z rosyjskiego Wikotr Woroszyński.
SCHÜTT Peter: *Most nad Neretwą w Mostarze* – przełożył z niemieckiego Andrzej Słomianowski (7/574-8/575).

- SŁOMIANOWSKI Andrzej: *Genesis* (12/579).
– *Początek* (7/574-8/575).
– *Warsztat liryczny Auschwitz* (7/574-8/575).
– (tłumacz) ob. B. Hain, R. Müller, P. Schütt, A. Terbille.
SUSZKO Iwona: *Piach będzie...* (11/578).
SZAŁYGO Grażyna Ewa: *Niedokończone pocałunki...* (11/578).
SZARUGA Leszek: *Chwywanie* (9/576).
– *Tryptyk z Wiepersdorf* (9/576).
– *Ziarna* (11/578).
TERBILLE Aloys: *Tak długo aż...* – przełożył z niemieckiego Andrzej Słomianowski (7/574-8/575).
URBAŃSKI Stanisław: *Ballada o lustrach* (5/572).
WOROSZYLSKI Wiktor (tłumacz) ob. E. Jewtuszenko i B. Okudźawa.

Sprawy krajowe

- BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (1/568-2/569, 4/571).
BERDYCHOWSKA Bogumiła: *O Białorusinach w Polsce* (4/571).
BNIŃSKI Wacław: *Dar rodziny Bnińskich* (9/576).
CHMIELECKA Ewa: *Szkoła Nauk Społecznych w Warszawie* (9/576).
KARNKOWSKI Kazimierz: *Byłem w Polsce* (11/578).
MIANOWICZ Tomasz: *Dezinformacja wczoraj, dziś i jutro* (5/572).
– *Stan wojenny. Fragmenty scenariusza* (9/576).
SMECZ: *Z ukosa* (1/568-2/567, 3/570, 4/571, 5/572, 6/573, 7/574-8/575, 9/576, 11/578, 12/579).
SZARUGA Leszek: *Upadek prasy tygodniowej* (3/570).
WOLICKI Krzysztof: *Czerwoni, czarni i Wałęsa* (4/571).
– *Kiedy ten numer „Kultury” wyjdzie z druku...* (11/578).
– *Kryzys rządowy* (3/570).
– *Kwaśniewski 51,72% – Wałęsa 48,28%* (12/579).
– *Prezydenci* (5/572).
– *Prezydenci – ciąg dalszy* (7/574-8/575).
– *W partiach i na plebanii* (1/568-2/569).
WOROSZYLSKI Wiktor: *Kto się boi Jacka Kuronia?* (1/568-2/569).

Sąsiedzi

- DUBAWIEC Sierhiej: *Warszawski dziennik* (6/573).
 JACKIEWICZ Mieczysław: *Impresje litewskie* (4/571, 5/572, 6/573).
 – *Mińsk po referendum* (7/574-8/575).
 – *Przez Królewiec do Klajpedy* (1/568-2/569).
 KRUCZEK Adam: *Notatki rosyjskie* (1/568-2/569, 3/570, 4/571, 5/572, 6/573, 7/574-8/575, 9/576, 10/577, 11/578, 12/579).
 OSADCZUK Bohdan: *O Ukrainie i Krymie... w Berlinie* (5/572).
 – *Pierwszy rok odnowy przy Kuczmie* (7/574-8/575).
 – *Powakacyjne refleksje* (12/579).
 – *Powakacyjne refleksje ze zjazdów i konferencji* (11/5785).
 – *Święto nie swojego zwycięstwa* (6/573).
 – *Ukraina między Wschodem i Zachodem* (4/571).
 SIEMASZKO Z.S.: *Sprawy wschodnie* (3/570).
 – *Wilno i Lachowszczyzna* (1/568-2/569).
 VINCENZ Andrzej: *Notatki węgierskie* (1/568-2/569).
 – *Notatki praskie* (5/572).

O religii bez namaszczenia

- KOŁAKOWSKI Leszek: *Nasza sprawa wieczna z Jezusem* (1/568-5/569).
 McBRIEN Richard: *Radykalny teolog szuka rdzenia chrześcijaństwa* – przełożył z angielskiego Antoni Pospieszalski (11/578).
 MORAWSKI Dominik: *Działalność l'Eglise en Détresse* (1/568-2/569).
 POSPIESZALSKI Antoni: *Dwa pokłady polskiego chrześcijaństwa* (4/571).
 – *Encyklika „Ut Unum sint”* (9/576).
 – *Kilka uwag o nowej encyklice* (6/573).
 – *Nieomyślność czy niezawodność* (5/572).
 – *Rachunek sumienia Kościoła* (3/570).
 – (tłumacz) ob. Richard McBrien.

Wywiady „Kultury”

- BAKUŁA Bogusław: *Jestem wciąż dysydentem* (rozmowa z poetą Ihorem Kałyńciem) (6/573).
 CZEKMAN Walery – ob. Dubawiec Sierhiej.
 DUBAWIEC Sierhiej: *Białorusini chcą by było jak przedtem* (rozmowa z Walerym Czekmanem. Przełożył i opracował – Ziemowit Feddecki) (9/576).
 FEDECKI Ziemowit (tłumacz) ob. Sierhiej Dubawiec.
 KAŁYNEĆ Ihor – ob. Bogusław Bakuła.
 MODZELEWSKI Karol – ob. Aureliusz Marek Pędziwol.
 PĘDZIWOŁ Aureliusz Marek: *Stan wojenny bis?* Rozmowa z Karolem Modzelewskim (3/570).

Polemiki – Wolna Trybuna

- BONIECKI Jerzy: *Uwagi o elicie i pospółstwie* (7/574-8/575).
 KERSZMAN Gustaw: *Trzy grosze dla Pana i Plebana* (12/579).
 NOWAK-JEZIORAŃSKI Jan: *Spór o Powstanie Warszawskie* (1/568-2/569).

Sprawy i troski

- BERDYCHOWSKA Bogumiła: *Polska polityka narodowościowa w latach 1989-1994* (5/572).
 DASZKIEWICZ Piotr: *Historia i przyszłość Puszczy Białowieskiej* (3/570).
 – *Puszcza Białowieska nie może zginąć* (12/579).
 HEYDENKORN Benedykt: *Prasa polonijna w Kanadzie* (12/579).
 Komunikat nr 1 Zarządu Fundacji „Polska Katedra” w Uniwersytecie Jerozolimskim (5/572).
 NASIELSKI Adam: *Polska prasa w Australii* (7/574-8/575).
 OLSZER Krystyna S.: *2B or not to be polskiego czasopiśmiennictwa w Ameryce* (11/578).
 Oświadczenie Polskiego PEN-Clubu (9/576).
 PAWLUS Ignacy: *Dziwne drogi polskości na Syberii* (7/574-8/575).
 STACH Andrzej: *O Fundacji Krzyżowa/Kreisau* (5/572).
 – *Polonia berlińska 1995* (9/576).

- ŚMIEJA Florian: *Prasa polonijna w Kanadzie* – ob. Benedykt Heydenkorn.
 TROJANOWICZOWA Zofia: *Komentarz* (7/574-8/575).
Wybory prezydenckie w Polsce: Oświadczenie Stowarzyszenia Polskiego w Genewie (11/578).

Ci, co odeszli

- BRAGIŃSKI Aleksander I.: *Jacek*. (Wspomnienie o Jacku Jędruchu) (10/577).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Pożegnanie przyjaciela Moskala* (5/572).
 KOSSOWSKA Stefania: *Jan Badeni* (12/579).
 OSADCZUK Bohdan: *Pożegnania z Kedrynem* (5/572).
 PIETKIEWICZ Jerzy: *Bogumił Andrzejewski (1922-1994)* (1/568-2/569).
 PRZYJACIELE ZE SZWECJI: *Wspomnienie o Adamie Heynowskim* (5/572).
 WŁODAWIEC Bogusław: *Melchior Wańkowicz (1/568-2/569)*.

Kronika kulturalna

- Antologia poezji niemieckojęzycznej schyłku dwudziestego wieku* (3/570).
 BARAN Zbigniew: *Akademia Mozartowska* (6/573).
 BUJNICKI Tadeusz: „*Wileńskie konteksty romantyczne*” (4/571).
 DANIELEWICZ-KERSKI Dorota: *Granice poznania* (12/579).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *90-lecie urodzin Tymona Terleckiego* (10/577).
 DASZKIEWICZ Piotr: *Polscy badacze ukraińskiej przyrody (1/568-2/569)*.
 DREWNOWSKI Tadeusz (opr.): *Z Dzienników Marii Dąbrowskiej (1945-46) (1/568-2/569)*.
Komunikat Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej (10/577).
Komunikat POLCUL Foundation (4/571).
 LANCKOROŃSKA Karolina: *Podziękowanie* (3/570).
Lubelskie „Spotkania kultur” (3/570).
 M.A.S.: *VI Polski Zjazd Filozofów w Toruniu* (11/578).
 M.P.: *Polska na Montmartre* (11/578).

- ODROWAŻ-PIENIAŻEK Janusz: *Przed dwusetną rocznicą urodzin Adama Mickiewicza* (12/579).
 OSADCZUK Bohdan: *Literatura i polityka na Ukrainie* (3/570).
 – *Mychajło Dobrianskyj* (12/579).
 QUIDNUNC: *Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie* (10/577).
 RODAK Paweł: *Symposium Redaktorów Pism Literackich* (6/573).
 ROBOWSKI Andrzej: *Trzy kraje – trzy światy* (11/578).
 ROKOSZOWA Jolanta: *Jubileusz Państwowego Instytutu Języków i Cywilizacji Wschodu w Paryżu* (4/571).
II Spotkanie kultur (12/579).
 SZARUGA Leszek: *O prasie literackiej po 1989* (4/572).
 TABORSKI Bolesław: *KONTAKT 95* (9/576).
Wyróżnienia POLCUL Foundation (11/578).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BAKUŁA Bogumił: *Poezja wyobraźni* (12/579).
 BERDYCHOWSKA Bogumiła: *Śpiewać każdy może...* (11/578).
 B.H.: *Gorzka prawda* (4/571).
 BRONSKI M.: *Dwa pióra Pelikana* (5/572).
 – *Gruzy wieży Babel* (3/570).
 – *Magnetyzm umiaru* (9/576).
 – *Niepokojąca Ameryka* (7/574-8/575).
 – *Słowo i ciało* (12/579).
 – *Wenecja ma gondole...* (5/572).
 – *„Wojenka” i autentyzm* (12/579).
 BZOWSKA Katarzyna: *Ocalenie przeszłości* (1/568-2/569).
 CYBULSKA Maja E.: *Kobieta sukcesu* (11/578).
 FEDECKI Ziemowit: *Daleko od Moskwy, daleko od Rosji* (7/574-8/575).
 HALIKOWSKA-SMITH Teresa : *Podróż bezdrożami Europy i historii* (7/574-8/575).
 KACZMAREK Robert: *Eksploracja ignorancji* (6/573).
 KOSSOWSKA Stefania: *W jej oczach* (9/576).
 MAGALA Sławomir: *Koniec z końcem* (3/570).
Nadestane nowości wydawnicze (1/568-2/567, 4/571, 5/572, 6/573, 7/574-8/575, 9/576, 11/578, 12/579).
 PACZOWSKI Bohdan: „*Przypomnieć jak najwięcej*” (10/577).

- P.D.: *Tajemnica Beniowskiego* (3/570).
 R.W.: *Antologia dramatu emigracyjnego* (4/571).
 SZARUGA Leszek: *Antologia literatury kresowej* (12/579).
 – *Dotykać nicości* (notatki z lektury „Kamienia granicznego” (6/573).
 – *Między Wschodem i Zachodem* (10/577).
 – *„Rzeczpospolita Pułaska”* (11/578).
 – *Skraj nieba* (7/574-8/575).
 WALICKI Andrzej: *Dzieje utopii w Rosji* (11/578).
 WANDYCZ Piotr: *Spór o PRL* (1/568-2/569).
 ZIÓŁKOWSKA-BOEHM Aleksandra: *Wydawnictwo Hippocrené* (3/570).

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1995 (12/579).

Tłumaczenia

Z języka białoruskiego

DUBAWIEC Siarhiej: *Białorusini chcą by było jak przedtem* (rozmowa z Walerym Czekmanem) przełożył i pracował Ziemowit Fedecki (9/576).

Z języka angielskiego

McBRIEN Richard: *Radykalny teolog szuka chrześcijaństwa* – przełożył Antoni Pospieszalski (9/576).

Z języka czeskiego

ČERNÝ Václav: *Czeši i Niemcy Sudeccy* – przełożył Aureliusz Marek Pędziwol (9/576).

KOMAREK Marian: *Wynaganie Niemców było bezprawiem. Naprawimy je* – przełożył Aureliusz Marek Pędziwol (9/576).

Z języka niemieckiego

HAIN Bruno: *Wokół pokoju gadać* – przełożył Andrzej Słomianowski (7/574-8/575).

MÜLLER Ruth: *Czeczenia* – przełożył Andrzej Słomianowski (7-574-8/575).

- SCHÜTT Peter: *Most nad Neretwą w Mostarze* – przełożył Andrzej Słomianowski (7-574-8/575).
 TERBILLE Aloys: *Tak długo aż* – przełożył Andrzej Słomianowski (7-574-8/575).

Z języka rosyjskiego

IWANOW Aleksander: *...Zadrżała szyba* – przełożył Ziemowit Fedecki (12/579).

JEWTUSZENKO Eugeniusz: *Druga wojna domowa* – przełożył Wiktor Woroszyński (3/570).

OKUDŻAWA Bułat: *Mówi pan Olbrychski* – przełożył Wiktor Woroszyński (5/572).

SZAŁAMOW Wałam: *Kilka moich żywotów* – przełożył Mariusz Wilk (9/576).

– *Tropa* – przełożył Mariusz Wilk (5/572).

Listy do Redakcji

BERBERYUSZ Ewa (9/576). BOGUSŁAWSKI Andrzej (3/570). BÓBR-TYLINGO Stanisław (4/571). BRODZIŃSKI Konrad (6/573). CHEŁMIŃSKI Leszek (4/571). CHROŚCICKI Juliusz A. (12/579). CISEK Janusz (7/574-8/575). DEJMEK Kazimierz (7/574-8/575). DELAPERRIERE Maria (7/574-8/575). EHRENKREUTZ Andrzej S. (9/576). FEUERMAN E.J. prof. (4/571). GĄSIEWICZ Zbigniew (12/579). GEREMEK Bronisław (12/579). GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy (10/577). HANOVER P. (10/577). HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (12/579). IŁOWIECKI Maciej (5/572). JAGODZIŃSKI Zdzisław (12/579). JÓŻWICKI Jerzy (5/572). KACZMAREK Robert (1/568-2/569). KĄDZIELA Paweł (7/574-8/575). KLESZCZYŃSKI Józef E. (12/579). KORNICKI F. (5/572). KWIECIŃSKI Jacek (1/568-2/569). LEWANDOWSKI Wacław (7/574-8/575). MARCINKOWSKI W.M. (10/577). MIANOWICZ Tomasz (12/579). MIETKOWSKI Andrzej (3/570). MIZINIAK Helena (9/576). MOSKAŁA Jerzy (1/568-2/569). NASIELSKI Adam (11/578, 12/579). PACZOWSKI Bohdan (11/578). PIASKOWSKI Jerzy (3/570). POPRAWA Adam (4/571). RAKOWSKI Mieczysław F. (7/574-8/575). RĄCZKOWSKA Anna (11/578). SONNEWEND Jerzy (9/576). SKUPIŃSKI Andrzej (5/572). STANKIEWICZ Zygmunt (3/570). STRUGAREK Stefan (11/578). SZCZY-

GIELSKI W.M. (4/571). TAYLOR Nina (12/579). VIN-CENZ Andrzej (3/570). WIERZBIANSKI Z.T. (3/570). ZA-WODNY Janusz K. (9/576). ZIÓŁKOWSKA-BOEHM Aleksandra (1/568-2/569, 4/571, 10/577).

Odpowiedzi Redakcji (3/570, 5/572, 6/573, 9/576, 10/577, 12/579).

Różne

Do prenumeratorów „Kultury” (11/578).
Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim (12/579).
Komunikat POLCUL Foundation (4/571).
Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim (12/579).
Oświadczenie Redakcji „Kultury” (3/570).
Wpłaty na Fundusz Katedry Polskiej w Jerozolimie (10/577, 12/578).
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/568-2/569, 3/570, 4/571, 5/572, 6/573, 7/574-8/575, 9/576, 10/577, 11/578, 12/579).
Wpłaty na pomoc Polakom w Rosji (1/568-2/569, 3/570, 5/572, 7/574-8/575, 10/577, 11/578, 12/579).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury” w roku 1995

Tom 488 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 111). Str. 240.
Tom 489 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 112). Str. 240.
Tom 490 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 113). Str. 240.
Tom 491 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 114). Str. 240.

Numery *Kultury* marcowy (3/570), wrześniowy (9/576) miały po stron 176.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1995 roku:

Zeszyt 111-ty: A. Paczkowski: „Wielki historyczny eksperyment” czyli koniec realnego socjalizmu (w Polsce); A.

Grzywacz, G. Mazur: *Raport o pracach Oddziału II Sztabu Głównego w zakresie dyplomacji wojskowej*; W. Zajewski: *Tradycja i współczesność w sporach o model ustrojowy*; J. P. Horzelski: *Notatki z 1939 r.*; J. Rakowski: *Kulawa analogia i zaniedbane doświadczenia*; G. Mazur: *O wileńskiej Armii Krajowej. Na marginesie artykułu Zdzisława A. Siemaszki*; P. Wandycz: *Nowa wersja „Kroniki Życia” Piłsudskiego*; T. Wyrwa: *Wojna 1920 roku z perspektywy lat*; E. Halicz: *Armia ze skazą*; K. A. Kuczyński: *Uchodźstwo polskie w Rumunii 1939-1940*; K. Watanabe: *Historia Polski w Finlandii*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Zeszyt 112-ty: T. Mianowicz: *Co można znaleźć w archiwach STASI?*; Z. Woźniczka: *Podziemna PPS-WRN w latach 1945-1948 (zarys działalności)*; R. Mackiewicz: *O rękopisie Michała Romera „Dwie teorie o Polakach Litewskich”*; W. Biczunas: *Wywiad prof. M. Römera w sprawie wileńskiej. (Pierwsza rozmowa: Prof. Römer o zagrabieniu Wilna; Druga rozmowa: Droga do Wilna)*; Z.S. Siemaszko: *Brytyjczycy zaangażowani w sprawy polskie*; H. Świdarska: *Z powiązań Polska-SOE-NKWD*; L. Kowalski: *Komisarze stanu wojennego*; M.P. Deszczyński: *Sprawa Zaolzia w 1938 r.*; T. Dubicki: *Wojenne losy prezydenta Ignacego Mościckiego według zapisów mjr. Józefa Hartmana 28.VIII.1939 – 8.I.1940*; J. Krzyżanowski: *Wyjazd z Nowonikołajewska*; M. Danilewicz Zielińska: *„Antemurale” (1954-1985). Działalność Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie*; T. Wyrwa: *Londyńskie „Teki Historyczne”*; W. Zajewski: *Hamlet na tronie*; W. Zajewski: *Mocarstwa europejskie wobec insurekcji 1794*; L. Gajos: *Początki opozycji demokratycznej w PRL*; K. Tarka: *Polacy i Białorusini*; B. Heydenkorn: *Amerykańska ksenofobia*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Zeszyt 113-ty: W. Grochala, T. Kędziora, M. Kielak, J. Kodym, M. Kula, T. Markiewicz, D. Smoleń: *Missi dominici nowych czasów*; A. Grzywacz, G. Mazur: *Lotnictwo polskie w Planie Operacyjnym „Wschód”*; Wł. Zajewski: *Polska – Belgia: dwie drogi do niepodległości*; B. Skaradziński: *Wronki - Warszawa - Wronki*; Wł. Kempfi: *Między Katowicami, Wrocławiem i Legnicą*; St. Iwanowski: *Samoobrona w Lidzie i Grodnie w 1918-1919*; L. Kowalski: *KOK wobec opozycji politycznej i Kościoła w latach 80-tych*; K. Lanckorońska: *Rada Regencyjna*; P. Daszkiewicz: *„Pamiętnik Farmaceutyczny” i Maison*

Verreaux; Wł. Kijuć: *Armia Krajowa na Litwie i Białorusi; Generał Sikorski od kulis*; R. Löw: *Paweł Glikson*; T. Wyrwa: *Polskie Radio w powstańczej Warszawie oraz Lotny Oddział A.K. „Szarugi” na Lubelszczyźnie*; Z.S. Siemaszko: *Siostry Dziewulskie*; J.M. Majchrowski, G. Mazur: *Generalicja II Rzeczypospolitej*; K. Tarka: *Rząd na uchodźstwie*; P. Żbikowski: *O insurekcji kościuszkowskiej i jej przywódcach*; oraz LISTY DO REDAKCJI.

Zeszyt 114-ty: A. Paczkowski: *Aparat Bezpieczeństwa w latach odwilży: casus polski*; G. Mazur: *Agonia Armii Krajowej 1944-1945*; K. Tarka: *Spór o Wilno. Ze stosunków polsko-litewskich w latach drugiej wojny światowej*; E. Kossoy: *Ziarno i plewy*; A. Misiuk: *Sojusze wywiadowcze II Rzeczypospolitej w latach 1918-1939*; J. Szymański: *Wojenne losy inteligencji polskiej; Zjednoczona Organizacja Partyzancka w Wilnie (Z.P.O.)*; C. Mondral: *...złego początku*; M. Rudzki: *Winietki okupacyjne*; M. Pruszyński: *Bohdan Skaradziński o wojnie 1920*; A. Łodyński: *Kronika Konina*; J.K. Machniewicz: *Dokument z leitmotivem*; P. Daszkiewicz: *Opowiadania Konstantego Jelskiego*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Włoski korespondent „Kultury”: **Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI**
Napoli, via Crispi 69 – Telefon: (39 81) 66 57 28.

Wydawca: **INSTITUT LITTERAIRE**
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: **Jerzy Giedroyc**.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1995.

Skład komputerowy: **MacWire Diffusion**.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: **JERZY GIEDROYC**

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04
Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Przenumerata

1/2-rocznia roczna

Ceny na rok 1995

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, Postfach 340108, D 80328 München, tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszek, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore , 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn, 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 491 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO CZTERNASTY

zawiera opracowania: A. Paczkowski: *Aparat Bezpieczeństwa w latach odwilży: casus polski*; G. Mazur: *Agonia Armii Krajowej 1944-1945*; K. Tarka: *Spór o Wilno. Ze stosunków polskolitewskich w latach drugiej wojny światowej*; E. Kossoy: *Ziarno i plewy*; A. Misiuk: *Sojusze wywiadowcze II Rzeczypospolitej w latach 1918-1939*; J. Szymański: *Wojenne losy inteligencji polskiej; Zjednoczona Organizacja Partyzancka w Wilnie (Z.P.O.)*; C. Mondral: *... złego początki*; M. Rudzki: *Winiетки okupacyjne*; M. Pruszyński: *Bohdan Skaradziński o wojnie 1920*; A. Łodyński: *Kronika Konina*; J.K. Machniewicz: *Dokument z leitmotivem*; P. Daszkiewicz: *Opowiadania Konstantego Jelskiego*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F